

2008 r. - D.V. - 21.01.2011 + 2022

MEMORIAŁ

Generał Marii Wittek



CZERWIONKO-PRZYBYSZEWSKA

Ewa

z d. Podgórska

ps. "Ewa T"

[1918 - 1933]

3367/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — Czerwionko-Przyby-
SZEWSKA Ewe
201. Podgórska 3367/WSK

I/1. Relacja ✓ k. 163, s. 1-163

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora ✓ k. 25, s. 1-28

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ k. 14, s. 1-15

III/1 – Materiały dotyczące rodziny relatora ✓ k. 33, s. 1-33

III/2 – Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 – Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 – Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – inne... ✓ k. 2, s. 1-2

IV. Korespondencja ✓

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓ ksero pkt. I s. 24, pkt. II s. 11 oraz
2 reprodukcje szkółki Podchorążych Artylerii
w Teremnie

I₁ Relacje

- Ewa Podgórska Prybylszewska, Jak działałam w czasie II wojny światowej, W-wa 1988, mps, rkp, oryg., k. 7, s. 1-7
- E. Prybylszewska, Moja medycyna (nieopublikowany pamiętnik), W-wa 2001, mps., k. 146, s. 8-153
- Biogram E. Czewiönko-Prybylszewskej oprac. przez M. Suleję i W. Mißtala, 2002, mps, rkp, oryg., k. 3, s. 154-156
- Biogram oprac. przez A. Justkiewicz, 2003, mps, rkp, oryg., k. 4, s. 157-160
- Biogram oprac. przez E. Zawacką i D. Kromp do tomu „Stowiska kobiet odznaczonych VM” mps, rkp, oryg., k. 3, s. 161-163



Ewa z Podgórskich Przybylska
/pseudo. "Ewa 1"/

p. 145/2002

Przybył F Zubiak
z Bydgoszczy 19 III 02 B 35

1/1-1

Jak działałam w czasie II wojny
Światowej

Napaść Niemiec hitlerowskich na Polskę we wrześniu 1939 roku zastała mnie w Bydgoszczy, w domu rodzinnym. Byłam wówczas studentką II-ego roku Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego im. Adama Mickiewicza.

Terror i zbrodnie hitlerowskie rozpoczęły się bardzo prędko. Razem z niszczeniem ludzi ofiarą padało wszystko co stanowiło polską kulturę. Tętnastego października aresztowano mego ojca /był profesorem gimnazjum oraz znanym społecznikiem - prezesem Związków Zawodowych oraz członkiem Związku Zachodniego/ - zginął, zamordowany wraz z 41 innymi zasłużonymi obywatelami Bydgoszczy, w początkach listopada 1939 roku. W tym czasie pedel gimnazjum, które kończyłam w Bydgoszczy, dał znać, że Niemcy wyrzucają książki z naszej szkolnej /dość bogatej/ biblioteki na podwórze, gdzie mają je spalić. By ułatwić mi i kilku moim koleżankom akcję ratowania najcenniejszych egzemplarzy, pozostawił on otwarte drzwi naszego gimnazjum od strony podwórza. Wieczorami wywoziłyśmy książki na tyle, na ile pozwolił nam czas i możliwości. W ten sposób uratowałyśmy część zbiorów bibliotecznych. Większość uległa jednak, niestety, zagładzie.

Po aresztowaniu ojca zostałam z matką i młodszym bratem w naszym mieszkaniu przy Pl. Weyssenhoffa. Rychło jednak kazano nam się stamtąd wynieść. I wówczas wynajęliśmy 2 pokoje u znajomych. W tym czasie, w celu uzyskania środków do życia, zajęłyśmy się z mamą szyciem, brata zaś skierowano do pracy.

Od początku 40-ego roku zaczęłam organizować komplety tajnego nauczania. Nauka, przy zachowaniu pełnej ostrożności, odbywała się w domach moich uczniów. Byli to chłopcy i dziewczęta od 1-szej klasy szkoły powszechnej do tzw. małej matury. Uczyłam ich wszystkich przedmiotów /łącznie z religią/ z przedwojennych podręczników, które udało się zabezpieczyć.



Przystał Ferdynand Ziętek z Bydgoszczy
19 III 2002 r.

Rankiem któregoś styczniowego dnia 1940 roku przyszedł do domu, w którym wówczas mieszkaliśmy, doskonale mówiący po polsku gestapowiec. Byłam sama w mieszkaniu. Otworzyłam drzwi. Zapytał, czy mieszka tu profesor Podgórski? Odpowiedziałam, że przecież 15 września został zabrany do obozu i dokądś dalej wywieziony; nie wiemy, co się z nim dzieje. Z kolei zapytał o córkę - czyli o mnie. Kazał mi się ubrać i zabrał mnie do siedziby gestapo. Przebywałam tam przez cały dzień. Co pewien czas do pokoju wchodził któryś z gestapowców i zadawał najrozmaitsze pytania. Pokazano mi jakiś list podpisany nieznanym mi nazwiskiem. Z jego treści wynikało, że wraz z ojcem miałam organizować tajne spotkania dla młodzieży a także - dzięki posiadaniu radia - rozpowszechniać wrogą Niemcom propagandę. Oczywiście, wszystkiemu zaprzeczyłam. Być może dlatego, że faktycznie ojca mego już na świecie nie było, przyjęli moje wyjaśnienia za prawdziwe. Wypuszczono mnie wieczorem. Byłam bardzo głodna, ale też mile zaskoczona, że w czasie przesłuchań nie użyto żadnych fizycznych tortur. Tego typu przeżyć więcej już nie miałam. Pamiętam tylko, że trzykrotnie wyrzucano nas i naszych gospodarzy z mieszkania, pozostawiając 10-15 minut na zabranie rzeczy. Na owe czasy nie były to szczególne zdarzenia.

Żeby mieć jakiś "ausweis" zapisałam się do konserwatorium muzycznego Niemca Winterfelda - wroga hitleryzmu i przyjaciela Polaków. Wybrałam skrzypce. Co prawda, z braku czasu, ówczyłam bardzo mało a nadto lekcje miałam tylko raz w tygodniu, to jednak udało mi się na tyle opanować instrument, że mogłam grać łatwiejsze utwory podczas zebrań, jakie organizowaliśmy w zaprzyjaźnionych domach z okazji różnych rocznic patriotycznych. Były to jakby akademie z czasów przedwojennych. Na jednej z nich obecny był kpt. Kulwiec - znany w Bydgoszczy historyk wojskowy. Pamiętam też, że pięknym sopranem śpiewała wówczas jego córka - Róża. Pod koniec naszej "akademii" kapitan tak się wzruszył, że ze łzami w oczach orzekł, iż jeszcze nigdy nie udało się tak pięknie urządzić żadnej uroczystości, a przecież on właśnie z reguły organizował te najważniejsze w Teatrze Bydgoskim.

Wiosną 1942 roku dowiedziałam się, że w Warszawie mogę kontynuować studia medyczne. Postanowiliśmy wyjechać z Bydgoszczy. Matka moja, mająca ponad 60 lat, dostała oficjalne pozwolenie i pociągiem pojechała prosto do Warszawy. Ja zaś z bratem pojechałam do Płocka, a stamtąd po kilku dniach przez "zieloną" granicę do Generalnej Gubernii. W Warszawie znalazłam się 2 maja 1942 r.

Do 1 sierpnia 1944 roku zdażyłam w "Szkole Zaorskiego" oraz w tajnym Uniwersytecie Warszawskim /był też tajny Uniwersytet Poznański/ dojsć do połowy czwartego roku medycyny. W tym czasie oprócz nauki i pracy w klinikach /w charakterze młodszego asystenta/ zgłosiłam się do Wojskowej Służby Kobiet. Otrzymałam funkcję "patrolowej" i 3 koleżanki do pomocy. Punkt zborny, w przypadku wybuchu Powstania, wyznaczono nam przy ulicy Grochowskiej - zdaje się - pod numerem 98. Równocześnie przez cały czas pracowałam /jak wiem teraz dopiero/ dla Bojowej Organizacji Polskich Socjalistów. Robiłam fałszywe papiery /najczęściej: kenkarty, ausweisy i metryki/ dla "spalonych" działaczy i Żydów. Jako kurierka przewoziłam też w różne miejsca Warszawy materiały do produkcji "sidolek", czy czegoś podobnego a także oddawałam broń do naprawy. W tym czasie utrzymywałam się z lekcji udzielanych znajomym dzieciom w ich domach. Pamiętam, że kończyłam właśnie naukę w domu na rogu Puławskiej i Reytana, gdy syreny oznajmiły początek Powstania Warszawskiego. W tym to domu 2-gi pluton kompanii O 3 pułku "Baszta" rozpoczął akcję. Dowódcą kompanii był "Ludwik Sybirak" /porucznik Ludwik Kotowski/. Już w pierwszym dniu Powstania zastępca dowódcy kompanii "Bem" /podporucznik Wojciech Czerwionko-Przybyszewski/ dostał postrzał w głowę, zaś wkrótce potem jednego z żołnierzy /"Józwa" Józef Krawczyk/ kula trafiła w łopatkę /wylotu kuli nie było/. Obaj potrzebowali pomocy. Na szczęście koleżanka z mego roku "Urszula" /Maria Malinowska/ zgromadziła w swoim mieszkanku na poddaszu sprzęt do "małej" chirurgii. Umieściliśmy tam naszych rannych. Następnie mogliśmy zrobić im opatrunki i podać konieczne leki. W nocy odwiedził nas lekarz batalionowy "Leszek" /Krystian Zawadzki/ w towarzystwie "Jurkowskiego" /kolegi "Bema"/. Stwierdzili oni, że muszą odejść wraz z całym batalionem "Olza" /O/, dowodzonym przez majora "Redę" /Witold Obarski/, na południe. Rannych uznano za tak ciężko chorych, że nie tylko nie mogli ich z sobą zabrać, lecz także "Leszek" nie rokował im nawet przeżycia najbliższej nocy. 3 września, po odejściu naszych oddziałów, weszli na nasze tereny Niemcy. Wówczas nie byliśmy jeszcze uznanymi przez aliantów kombatantami, co ^{powinno} ~~zmuszało~~ hitlerowców ^{nie} ~~do~~ traktowania powstańców, jak normalnie walczących żołnierzy. Stało się to dopiero 15 września. Tymczasem więc byliśmy oficjalnie i głośno nazywani "bandytami", których należało zabijać bez pardonu. Musiałyśmy

1/1-4

więc mieć się na baczności, w przypadku bowiem wykrycia nas - groziła wszystkim śmierć. Na domiar złego dom nasz - ze względu na fakt, że stąd właśnie Powstańcy rozpoczęli akcję - - skazany został w odwecie na zniszczenie. Wszystkich jego mieszkańców Niemcy zabrali do siedziby Gestapo przy alei Schucha. Na szczęście hitlerowcy bali się chodzić po strychach i piwnicach; i to nas uratowało. Dom nasz jednak podpalili. W ciągu tych dwóch dni nasi ranni poprawili się na tyle, że - udając cywilów - mogli samodzielnie zejść z trzeciego piętra. Z wielkim trudem znalazłam dom, w którym mogliśmy się ukryć. Powodem tych trudności był strach, jaki zapanował wśród większości mieszkanek pobliskich posesji. Mężczyzn bowiem w domach wówczas już nie było, zaś Niemcy zagrozili rozstrzelaniem wszystkich mieszkanek domu w przypadku znalezienia ukrywającego się. Nic też dziwnego, że ranni "bandyci" nie byli nigdzie mile widziani. A jednak pomogła nam dozorczyńni z sąsiedniego budynku. Nasz dom stał już w płomieniach, gdy przechodziliśmy do piwnic sąsiedniego bloku. W piwnicach tych udało nam się przez 8 dni ukrywać naszych rannych.

W 9-tym dniu Powstania Niemcy zaczęli wypędzać z naszych okolic wszystkich "na zachód", czyli do obozu w Pruszkowie. Szczęśliwie w tym dniu znalazła nas łączniczka "Bema" - - "Narcyza" /Zena Gąsinowska/, co pomogło nam znaleźć drogę do swoich. Nie było to jednak łatwe. Zamiast na zachód, musieliśmy iść prawie cały czas na południe. Udało się to, dzięki prostemu manewrowi zagadywania niemieckich patroli w ich języku /słabo znałam ten język, ale jakoś wystarczyło/. W ten sposób dotarliśmy do ulicy Madalińskiego. Tu trzeba było przebiec /a raczej: przeczołgać się/ przez pusty plac koło szkoły zajętej przez wojska hitlerowskie. Udało się! Seria puszczona za nami nie trafiła nikogo. Z ulicy Różanej wyskoczyli nasi chłopcy, ostrzelali Niemców i pomogli nam przejść przez krzaki i porwaną siatkę płotu. Teraz spokojnie już doszliśmy do miejsca postoju dowództwa kompanii O 3 przy ulicy Krasickiego.

Po radosnym przywitaniu obaj ranni zostali zaraz oddani do szpitala /szpital S.S. Elżbietanek mieszczący się przy

ulicy Goszczyńskiego był w naszych rękach/. Okazało się, że "Józwa" nie ma żadnej kuli buszującej w płucu - postrzał styczny w łopatkę spowodował jej wgięcie, płuco natomiast uszkodzone było tylko przejściowo. Gorzej było z "Bemem". Nieprzytomnego, po tak wielkim wysiłku, odniesiono na noszach prosto na stół operacyjny, gdzie doskonały chirurg - dr Raczyński - zdecydował się na trepanację czaszki.

Zostałam wówczas przydzielona do kompanii O 3 jako sanitariuszka i otrzymałam pseudonim "Ewa 1". Jeszcze tego samego dnia dwukrotnie z koleżanką "Anielę" chodziłyśmy przez front na ulicę Starościńską, gdzie mieścił się punkt sanitarny naszej kompanii. Przeprowadziłyśmy stamtąd kilku /na szczęście nie tak ciężko, jak "Bem" i "Józwa"/ rannych chłopców. Równocześnie z opieką nad rannymi wyznaczono mi dyżury /najczęściej nocne/ w szpitalu. W sali, która się tam opiekowałam, do moich obowiązków należała zarówno praca sprzątaczkii, pielęgniarki jak i częściowo lekarza. Jednym z moich pacjentów był operowany niedawno "Bem" - wówczas już mój narzeczony /zaręczyny odbyły się 6 sierpnia w piwnicy przy ulicy Reytana/. 29 sierpnia Niemcy rzucili na nasz szpital pocisk z moździerza kolejowego "Gruba Berta". Szpital uległ tak znacznemu zniszczeniu, że trzeba było ewakuować z niego rannych. "Bem" czuł się w tym czasie na tyle dobrze, że wrócił do akcji. 22 września nasz kapelan spisał akt ślubu mojego z "Bemem" przy świadkach: "Ludwiku Sybiraku" i "Jurkowskim". W niedzielę, 24 września, przygotowaliśmy się do sakramentu małżeństwa, który miał nam być udzielony podczas uroczystej mszy polowej. Niestety, nad ranem właśnie 24 września Niemcy przypuścili na nas ostateczny atak i ani mszy, ani ślubu nie było. Do 27 września walki były bardzo trudne i krwawe. Traciliśmy ludzi i ulice. "Leszek" - lekarz baonowy zabity został przy cekaemie, lekarz kompanijny "Kowalski" /Aleksander Lanckinicki/ został ranny, więc jako studentka końcowych lat medycyny zaczęłam pełnić /jak umiałam i mogłam/ także rolę lekarza. Te ostatnie dni były straszne - biegaliśmy od domu do domu, gdzie byli ranni, często, niestety, stwierdzając zgon, lub znajdując tak ciężko rannego, że pomóc mu nie mogłam.

26 września wieczorem powiedziano nam, że zejdziemy do kanałów, by przejść do Śródmieścia, które się jeszcze broniło. Wyznaczeni byliśmy do zejścia na końcu, ale w nocy dowiedzieliśmy się, że kanały są zagazowane; nie zeszlśmy. Następnego dnia, tj. 27 września, już praktycznie nie było o co się bić - zostały nam tylko dwie ulice. Parlamentariusze z dowództwa poszli do Niemców uzgodnić warunki Kapitulacji. Długo nie wracali. Chłonce nie wiedzieli - strzelać, czy nie. Niemcy jednak nadal strzelali, więc i nasi zrywali się do walki, ale to już musiał być koniec.

Wreszcie Kapitulacja - zbiórka Akowców w Forcie Mokotowski, a stamtąd zdrowi, w szyku, pieszo do Pruszkowa; ranni, niezdolni do chodzenia, otrzymali podwozy. Nie miałam żadnego stopnia wojskowego /podporucznikiem uznana zostałam dopiero po wojnie/, ale wobec perspektywy umieszczenia w obozie jenieckim moja sukienka wydała się nam niepraktyczna. W związku z tym mój narzeczony dał mi swój "mundur", czyli kombinezon z gwiazdkami na naramiennikach. W tej sytuacji Niemcy uznali mnie za oficera i dali mi pod opiekę konwój rannych. Pozwolono mi kontaktować się z gospodarzami mijanych zabudowań na Rakowcu, którzy dawali rannym wodę i owoce. W pewnej chwili podeszli do mnie dwaj mężczyźni, przedstawili się, że są z ruchu oporu i podali adresy domów, do których można uciekać oraz listę domów niemieckich. Podałam te adresy moim podopiecznym /wiem, że ci, którzy mieli zdrowsze nogi - uciekli/. O pełnym zmierzchu i ja przebiegłam między otaczającymi nas konnymi patrolami i wbiegłam do domu pewnego ogrodnika. Przyjęto mnie bardzo gościnnie. Następnego dnia znajomi z ruchu oporu zmienili w mojej karcie adres warszawski na podwarszawski. Od tej pory mogłam względnie swobodnie poruszać się w Generalnym Gubernatorstwie.

Poszukując rodziny osiadłam ostatecznie we wsi Niedźwiedź koło Słomnik w powiecie miechowskim. Natychmiast zgłosiłam się do lekarza miejskiego - dr Mroźkiewicza, z którym opiekowaliśmy się "szpitalikiem" dla chorych i ludzi starszych, będących uchodźcami z Warszawy. Poza tym, ile mogłam, pomagałam innym chorym i rannym.

W tymże Niedźwiedziu 28 października wzięłam ślub z narzeczonym "Bemem", któremu także udało się uciec z obozu przejściowego w Skierniewicach. Z chwilą końca wojny wywędrowaliśmy do Krakowa.

I/1-7

Tam zaraz zgłosiłam się jako wolontariusz do pracy w Szpitalu św. Łazarza "w charakterze lekarza". Równocześnie kontynuowałam studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego absolutorium uzyskałam w czerwcu 1946 roku.

Po powrocie z niewoli w Woldenbergu brat mój przekazał mi wiadomość od naszego dowódcy pułku "Baszta" - "Daniela" /ppłk Stanisław Kamiński/, że przyznano mi odznaczenia bojowe: Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami i Srebrny Krzyż Virtuti Militari. Początkowo nie uwierzyłam, ale rzeczywiście po 18 latach otrzymałam oficjalne zawiadomienia o odznaczeniach i oryginalne legitymacje. *podpisane przez "Bon" w Londynie.*

*Ewa z Podgórska
Przybyrska*

w Warszawie, 10 kwietnia 1988

EWA PRZYBYSZEWSKA
SPISZCZKA 10-008 0-001
ul. A-enska 2/122, tel. 17-70-82
WARSZAWA



Przyjeżdżaj Ferdymend Dietek z Bydgoszczy

F/1-8

EWA PRZYBYSZEWSKA



MOJA MEDYCyna

Nakładem rodzinnym

Warszawa 2001

FUNDACJA "Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek" w Toruniu
Wpłynęło dnia: 28 X 2008 r.
L. dz. 16.99 / WSK-412 / 08
Załączniki:
Referent:

Dlaczego wybrałam studia medyczne?

W ostatnich latach gimnazjum, na kilka lat przed wybuchem wojny, wyjeżdżałam w czasie wakacji na obozy pracy społecznej "Straży Przedniej" (organizacji prorządowej piłsudczyków) na tzw. Kresy Wschodnie, nieopodal granicy z Rosją Sowiecką. Z reguły w dość licznej gromadzie (około 100 dziewcząt) spędzałyśmy miesiąc mieszkając w tamtejszej wsiach, gdzie bieda aż piszcziała – przemysłu prawie żadnego, handel bardzo ubogi, oświata na niskim poziomie, pomoc lekarska niemal niedostępna. Doszłam do wniosku, że potrzebni są tam: ksiądz, lekarz i aptekarz. Siebie widziałam w roli lekarza, który jest najbliższej potrzebujących i może pomóc w różnych kłopotach. Kusiło mnie też trochę to, dziewczynie że nie tak łatwo było dostać się na studia medyczne w czasach, kiedy uważano, iż jest to kierunek dla chłopców (dla dziewcząt przeznaczano jedynie 10% miejsc, z zastrzeżeniem, że nie będą to osoby pochodzenia żydowskiego). Mnie zawsze cechował optymizm. Wierzyłam we własne możliwości, byłam przekonana, że to, czego bardzo chcę, uda mi się osiągnąć. Musiałam spróbować.

Najbliższa dla mnie, mieszkanki Bydgoszczy, Akademia Medyczna znajdowała się w Poznaniu. Egzamin pisemny (wcale niełatwy – tłumaczenie z łaciny na stronę, wypracowanie w żywym języku obcym na dowolny temat związany z medycyną) poszedł mi dobrze. Gorzej było z ustnym. Rozmowa z prof. Wrzoskiem zupełnie mnie zaskoczyła. Na pytanie,

co myślę o komunizmie, nie bardzo umiałam odpowiedzieć. Jakoś nigdy się nad tym nie zastanawiałam. O ile dobrze pamiętam, odpowiedziałam, że to chyba piękna teoria, ale utopijna. Moja odpowiedź profesorowi się nie spodobała. Orzekł, że mogę sobie dalej tak myśleć, ale nie na medycynie w Poznaniu. Cóż począć? Zwyczajem przyjętym w stolicy Wielkopolski kandydaci na lekarzy, którym nie udało się zdać za pierwszym razem, zgłaszali się na Wydział Rolniczo-Leśny, gdzie wykładali niektórzy profesorowie z Wydziału Medycznego. Ja też tak zrobiłam. Muszę przyznać, że był to doskonały pomysł. Bardzo sympatyczne towarzystwo, zwłaszcza leśnicy, spora gromada kolegów, z którymi później studiowałam, spokojne przejście z prowincjonalnego, choć na dobrym poziomie stojącego, gimnazjum do wyraźnie innego życia studenckiego, stosunkowo łatwa i przyjemna nauka wybranych przedmiotów, w jakiś sposób związanych z medycyną. Pierwszy rok tego wydziału był zawsze najliczniejszy – ok. 1/3 leśników, 1/3 rolników i 1/3 (tj. ok. 75 osób) kandydatów na lekarzy. Bardzo miło wspominam ten "wstępny" rok na studia medyczne. Spośród zdawanych tam egzaminów dla nas – "lekarzy" – najważniejsza była fizyka. Prof. Kalandyk napisał podręcznik tak zwięzły, jak zwięzłe sam prowadził wykłady. Należało nauczyć się go na pamięć. To była dla mnie bardzo trudna sprawa. Co prawda łatwo uczyłam się wierszy, piosenek, a nawet prozy, jeśli mi się podobała, ale suche, nic mi nie mówiące prawa fizyki zupełnie nie miały ochoty zatrzymać się w mojej głowie. Jak wspomniałam, zawsze byłam optymistką i uważałam, że mam dużo szczęścia w życiu, choć często

wpadałam w tak zwane "tarapaty". Jak mówiła mi moja mama, urodziłam się w "czepku" – stąd to szczęście w każdym nieszczęściu. Poszłam więc we wskazanym terminie na egzamin do prof. Kalandyka i jak się należało spodziewać moje odpowiedzi nie mogły go zadowolić. W czasie wakacji starałam się włożyć sobie do głowy treść książki profesora, a we wrześniu poszłam jeszcze raz spróbować swoich sił. Profesor sam pytań prawie nie stawiał. Rozkładał na stole kartki z pytaniami, a my wybieraliśmy z nich jedną (oczywiście leżącą "na plecach", by pytań nie było widać). Wyciągnęłam ... tę samą kartkę, którą miałam na wiosnę, więc jednym tchem odpowiedziałam na znane mi od dawna pytania. Profesor spojrzał na mnie z podziwem i zadał jakieś dodatkowe pytanie, na które też szczęśliwie udało mi się odpowiedzieć. Jakże miło było patrzeć na egzaminatora, który wręcz nie posiadał się z radości, że może mi postawić najlepszy stopień – celujący. Z innych przedmiotów zaliczyłam dobrze te, które mi się podobały: anatomię zwierząt domowych, zoologię i botanikę. Z tym dorobkiem zgłosiłam się ponownie na egzamin na medycynę. Jak poprzednio, pisemny poszedł mi dobrze, a rozmowa z komisją egzaminacyjną (prof. Różycki i prof. Kurkiewicz) była wprawdzie podobna do poprzedniej, ale krańcowo różna w zakończeniu. Zdziwieni egzaminatorzy pytali mnie, dlaczego nie dostałam się przed rokiem (specjalnie zadziwił ich mój celujący z fizyki). Odpowiedziałam, że właściwie nie wiem dlaczego, ale wyjaśniłam, że nie bardzo wiedziałam co odpowiedzieć prof. Wrzosekowi na pytanie o komunizm, a moja odpowiedź, że to chyba piękna, choć utopijna teoria, najwyraź-

niej pytającemu się nie spodobała. Tym razem usłyszałam, że mam rację i egzamin zdałam.

Pierwszy rok medycyny absorbował nas właściwie w dwóch zagadnieniach – fizyki i chemii, które trzeba było zdać. Ponadto odbywały się obowiązkowe wykłady z anatomii prawidłowej, z której zaliczaliśmy tylko kolokwia i to jedynie w czasie ćwiczeń prosektoryjnych, co nie było trudne, a egzamin mieliśmy zdawać po drugim roku. Tym razem przyłożyłam się ile mogłam do podręcznika pana prof. Kalandyka i ze strachem poszłam na egzamin. Jakież wstyd będzie – nie wiem, czy większy dla profesora czy dla mnie – jak mi źle pójdzie. Ze strachem podeszłam do losowania kartek i ... wyciągnęłam po raz trzeci tą samą. Profesor ze spokojem spojrzął na mnie i bez słowa postawił znowu celująco. Aż się złękłam, czy nie za dużo szczęścia na raz? Pewnie właśnie tak, bo już nie było mi danym studiować w tym Uniwersytecie. Wkrótce miałam odczuć całą masę skutków napaści hitlerowskiej na Polskę.

* * *

Pierwsze lata wojny w Bydgoszczy, gdzie mieszkałam z rodziną od kilkunastu lat, były bardzo ciężkie. Ojciec został rozstrzelany przez hitlerowców razem z dużą grupą kolegów – profesorów gimnazjów, księży i innych osób uznanych za "niebezpieczne", aresztowanych w połowie października 1939 roku. Młodszy brat – Andrzej, "zgarnięty" podczas ulicznej łapanki, był przez kilka tygodni przetrzymywany w obozie zorganizowanym w koszarach naszego 18 P.A.L-u. Następnie skierowano go do pracy fizycznej w Łęgnowie, gdzie budowano tajną fabrykę broni. Co prawda miał prawo wracać na noc do domu, ale za swoją pracę wynagrodzenia nie dostawał. Ja także nie miałam początkowo żadnego płatnego zajęcia. W tej sytuacji, żeby znaleźć jakiegokolwiek środki na utrzymanie, nasza matka przyjęła robotę z fabryki kombinezonów robotniczych, a ja – nie mogąc kontynuować studiów – postanowiłam uczyć dzieci, bo polskich szkół nie było (język polski został przez Niemców oficjalnie zabroniony, a za rozmowę w tym języku na ulicy można było dostać po twarzy). Szybko znalazły się dzieci w różnym wieku – po kilkoro od pierwszej klasy szkoły powszechnej do tzw. "małej matury". Choć w zasadzie uczenie miało być bezpłatne, rodzice uczniów znajdowali na ogół jakieś sposoby "rewanżu". Żeby trochę bezpieczniej poruszać się po mieście trzeba było postarać się o "Ausweis". Udało mi się uzyskać ten dokument dzięki pomocy właściciela Konserwatorium Muzycznego, p. Winterfelda (Niemca o poglądach antyhitlerowskich, który od lat mieszkał w Bydgoszczy i był

zżyty z Polakami). Przyjął mnie on fikcyjnie do Konserwatorium tworząc tym samym podstawę do wydania "Ausweisu". Ja jednak postanowiłam skorzystać z okazji i podjąć przerwana w wieku dziesięciu lat naukę gry na skrzypcach. Profesor uczył nas – obok mnie było jeszcze kilkoro Polaków – za darmo. Choć lekcje odbywały się tylko raz w tygodniu, a w domu też nie poświęcałam na ćwiczenie zbyt wiele czasu, nauczyłam się tyle, że mogłam podczas okazjonalnych spotkań grać wraz z moją przyjaciółką, pianistką Melitą Rymkiewicz, niezbyt trudne utwory. Wykorzystywaliśmy takie spotkania na organizację czegoś w rodzaju "akademii" poświęconych ważnym datom z historii Polski.

Wiosną 1942 roku dowiedziałam się, że w Warszawie działa jakaś szkoła medyczna, która zastępuje wydział lekarski Uniwersytetu. Uznałam więc, że pora opuścić Bydgoszcz. Moja mama, która ukończyła 60-ty rok życia, miała prawo do legalnej przepustki, a ja i Andrzej za ostatnie pieniądze (zawsze mieliśmy ich bardzo mało) kupiliśmy bilety kolejowe do Płocka, skąd dzięki kontaktom brata mieliśmy być przeprowadzeni do G.G. Mieć szczęście w nieszczęściu – to wielka rzecz. Otóż w drodze usnęliśmy, a podróżujący z nami robotnicy przekonali sprawdzających bilety i przepustki (niezbędne – o czym całkowicie zapomnieliśmy – przy przekraczaniu granicy między Wartheland, do którego należał Płock, a Rzeszą, do której włączono Bydgoszcz) żandarmów, że jesteśmy wracającymi z pracy robotnikami. Gdyby nie to, najpewniej nasza podróż zakończyłaby się na prawdziwych robotach gdzieś w głębi Niemiec. Szczęśliwie "wylądowali-

śmy" jednak w Płocku, gdzie znowu udało nam się uniknąć niebezpieczeństwa. Kiedy dochodziliśmy do domu, w którym miał być kontakt z miejscowym polskim działaczem, z ust przechodnia usłyszeliśmy, że w mieszkaniu jest "kocioł", a Niemcy tylko czekają na takich jak my. Oczywiście nie poszliśmy tam, a dobry los dalej nam sprzyjał. Wiedziałam, że jeden z moich kolegów z poznańskiego wydziału lekarskiego – Staszek Ostrowski – mieszkał w Płocku i był synem aptekarza. To wystarczyło, żeby odnaleźć jego rodzinę, a państwo Ostrowscy przygarnęli nas jak najukochańszych krewnych. Spędziliśmy u nich dziesięć dni, podczas których Staszek szukał możliwości przerzucenia nas przez granicę. Kiedy je znalazł, ruszyliśmy nocą. Szliśmy przez pole, przygotowane prawdopodobnie pod kartofle, bo poroite bruzdami. Chowali się w nich, kiedy padało na nas światło reflektorów żołnierzy niemieckich. Także tam szczęście nas nie opuściło. Kiedy wydawało się, że szczekanie psów i błyski świateł są już bardzo blisko, gdzieś daleko musiało się coś wydarzyć, bo nagle Niemcy skierowali się w tamtą stronę. Udało się. Przeszliśmy przez granicę i czuliśmy się już bezpieczni. Parę godzin spędziliśmy pod Sochaczewem w jakiejś szopie z sianem, a następnie powędrowaliśmy do Warszawy.

* * *

Moim celem było – jak wspomniałam – kontynuowanie studiów w tzw. Szkole Zaorskiego, która mieściła się w jednym z gmachów Uniwersytetu Warszawskiego przy Krakowskim Przedmieściu. W maju 1942 roku, kiedy znalazłam się w Warszawie, trwała tam nauka w zakresie pierwszego roku studiów medycznych. Docent Zaorski przyjął mnie życzliwie i zaprosił do zgłoszenia się w końcu sierpnia, jako że drugi rok miał rozpocząć naukę od września. Dowiedziałam się też wówczas, że choć faktycznie w szkole tej przerabiany jest program pierwszych lat normalnych studiów medycznych, oficjalnie – dla władz niemieckich – uczelnia kształci pomocników lekarzy (Arctpflegers), zbliżonych poziomem wiedzy do naszych felczerów. Opowiadano mi, że w zimie Niemcy zrobili inspekcję, po której nakazali szkołę zlikwidować, stanowczo sprzeciwiając się prowadzeniu studiów medycznych. Wobec postawy studentów, którzy bardzo chcieli kontynuować naukę, docent Zaorski starał się uchronić szkołę przed likwidacją wprowadzając tematy zajęć sugerujących inny od faktycznego program. Na przykład zamiast "anatomii człowieka" pojawiła się "nauka o tkankach ludzkich", zamiast "histologii" – "nauka o komórkach" itd. My zaś mieliśmy w razie zapytań inspektorów odpowiadać, że chcemy jak najprędzej rozpocząć pracę w charakterze pomocników lekarzy.

Jako dowód, że byłam studentką Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu miałam legitymację studencką. Nie było w niej jednak wskazania roku studiów, a tego

wymagał doc. Zaorski. Szczęśliwie spotkałam prof. Kurkiewicza, który w Poznaniu wykładał na pierwszym roku histologię i zwróciłam się do niego z prośbą o zaświadczenie, że ukończyłam pierwszy rok studiów. Nie wiem, czy rzeczywiście profesor mnie zapamiętał czy też tylko życzliwie udał, że pamięta, ale zaświadczenie wystawił, a dodatkowo uzyskał jeszcze potwierdzający podpis prof. Różyckiego, naszego poznańskiego "anatora". Przyjmując mnie na studia doc. Zaorski zażądał opłaty wpisowego w wysokości 1 zł. Niestety w tym momencie nie miałam przy sobie ani grosza. Docent wyjął więc z kieszeni 1 zł, włożył mi do ręki i polecił zapłacić wpisowe. Oczywiście zrobiłam to z wdzięcznością. Wówczas Docent oświadczył mi, że to jest wszystko, co może dla mnie zrobić. Nie było żadnych stypendiów ani "akademików". Musiałam sobie radzić sama.

Nie było to łatwe życie. Szczęśliwie zaprosił mnie do siebie mieszkający w Warszawie stryj. W jego mieszkaniu było tak ciasno, że spałam na podłodze na materacu. Nie mogłam też oczekiwać od stryja środków na utrzymanie, więc musiałam znaleźć jakiś sposób na zarobienie pieniędzy. Moje szczęście trwało jednak nadal. Na ulicy spotkałam koleżankę z klasy w bydgoskim gimnazjum, Wandę Kalnik. Zostałam zaproszona na obiad do jej domu, a kiedy rodzice koleżanki dowiedzieli się o mojej sytuacji, pożyczili mi trochę pieniędzy. Dzięki nim mogłam przeżyć kilka dni, ale trzeba było myśleć także o następnych. Szybko doszłam do wniosku, że na lato muszę wyjechać z Warszawy i wrócić dopiero na wrzesień, kiedy się rozpoczną zajęcia uniwersyteckie. Zorientowałam się też, że

życie w G.G. polega na handlu. Zdawało mi się, że tego nie potrafię, ale potrzeba naprawdę jest najlepszym nauczycielem. Postanowiłam pojechać pod Kraków, gdzie we wsi Niedźwiedź zatrzymała się, u znajomego profesora gimnazjów, któremu udało się uciec z rodziną z Bydgoszczy i zamieszkał w zamienionym na szkołę pałacu dawnego majątku, moja mama. Państwo Stępniewscy także mnie przyjęli bardzo życzliwie. Już po kilku dniach wiedziałam, że w tym żyznym regionie mąka pszenna jest dużo tańsza niż w niedalekim przecież Krakowie. Przewieźć kilka kilogramów mąki w zwykłej torbie nie było trudno, choć pewne ryzyko istniało, bo na dworcach żandarmi rewidowali przyjezdnych i zabierali żywność. Nie zarobiłam dużo, ale wystarczyło to na dalszą jazdę, tym razem z wędliną do Jarosławia. Gdziekolwiek odwiedzałam znajomych przyjmowali mnie bardzo chętnie. Wszyscy byli też ciekawi, co się dzieje w innych "kątach" naszego Gubernatorstwa. Nikomu się jednak nie przelewało i wręcz wypadało prędko się dowiedzieć, co można w danej miejscowości za małe pieniądze kupić, aby następnie z zyskiem sprzedać.

W ten sposób spędziłam właściwie całe lato. W końcu moja matka przeniosła się z Niedźwiedzia do Buska, gdzie brat mego ojca – Stefan Podgórski – wraz z doktorem Starkiewiczem wybudowali swego czasu tzw. "Górkę", czyli usytuowany na niewielkim wzniesieniu Dom Sanatoryjny dla dzieci z uszkodzeniem narządów ruchu (niestety dom ten, po wyrzuceniu chorych dzieci, zajęli Niemcy). Blisko "Górki" stryj wybudował też dom dla siebie, by zawsze służyć doktorowi pomocą jako "buchalter". Tam zatrzymała się mama, a w

połowie sierpnia udałam się także ja. Jechałam z Krakowa wąskotorówką przez Kazimierz Wielką do Wiślicy. Potem miałam jeszcze 11 kilometrów przebyć autobusem. Do Wiślicy dotarłam niestety dość późnym wieczorem. Nocowanie tam przejmowało mnie zgrozą; żadnego hotelu nie było, a oferujący nawet niedrogi nocleg ludzie wyglądali odstraszająco. Doszłam do wniosku, że przy pięknej pogodzie lepiej będzie przejść te 11 kilometrów na piechotę. Nawet nie pomyślałam, że może mnie złapać niemiecki patrol (wtedy skończyłaby się moja medycyna!). W rzeczywistości po drodze spotkałam tylko jednego człowieka. Siedział o północy nad małym jeziorkiem czy stawem i moczył nogi. Nie odezwaliśmy się do siebie. Zupełnie spokojnie o godzinie drugiej po północy przyszedłam do domu stryja. Nikt się tu mnie o tej porze nie spodziewał. Delikatnie zapukałam do okna, a moja mama, która spała akurat w tym pokoju, szybko się zorientowała, że to ja, tak więc nawet większej bury za swój wyczyn nie dostałam.

Dobrze mi było u stryja. Zaraz następnego dnia otrzymałam "Kennkartę" z adnotacją, że od lat mieszkam w Busku, a z tym dowodem osobistym mogłam spokojnie jechać do Warszawy. Tuż przed wyjazdem z Buska na spacerze w parku spotkałam przypadkiem koleżankę z czasów szkolnych, Basię Siemaszko. Gdy powiedziałam jej, że wybieram się do Warszawy, poprosiła, bym zawiozła niewielką paczkę dla jej męża, który mieszkał w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej. Oczywiście obiecałam spełnić tę prośbę.

Kiedy znalazłam się ponownie w Warszawie, prosto z dworca udałam się do mieszkania stryja, u którego mieszkałam

przed wakacjami. Miałam nadzieję, że i teraz będę mogła się tam zatrzymać. Niestety. Sierpniowe bombardowanie zniszczyło dom, w którym mieszkała moja rodzina. Oprócz gruzów nie znalazłam niczego. Nikt nie potrafił mi podać ich nowego adresu. Zbliżała się godzina policyjna, na ulicach czy na dworcu czyhało niebezpieczeństwo aresztowania i wywiezienia do Niemiec. Dysponowałam tylko adresem męża koleżanki, któremu miałam przekazać przywiezioną z Buska paczuszkę. Nie było innego wyjścia. Poszłam na Nowogrodzką, oddałam przesyłkę, po czym zamiast się pożegnać poprosiłam zdumionego gospodarza o nocleg. Zostałam przyjęta bardzo życzliwie, poczęstowana kolacją, a rano zostawiłam walizkę i poszłam szukać oparcia na dłużej. Szczęśliwie znalazłam Ewę, narzeczoną mego starszego brata Julka, który wówczas przebywał w obozie jenieckim w Woldenbergu. Dzięki jej znajomościom wynajęliśmy pokój u inżyniera Jankowskiego na Walecznych. (W tym czasie moja mama przeniosła się do Międzyrzecza, gdzie u przyjaciół zamieszkał mój młodszy brat – Andrzej). Moja przyszła bratowa, żeby coś zarobić produkowała modne wówczas w Warszawie "drewniaczki". Miałam jej w tym pomagać, ale bardzo prędko zostałam wciągnięta do ruchu oporu, dla którego sporządzałam fałszywe dokumenty, co zajmowało mi dużo czasu. Różne to były "papiery": metryki, "Kennkarty", "Ausweisy" z różnych firm, a wszystko dla naszych uciekinierów walczących w "podziemiu". Otrzymałam maszynę do pisania, zszywacze, pseudopieczątki itp. Najtrudniej było zrobić starą metrykę na czystym, nowym papierze. Dla bezpieczeństwa jako miejsce wystawienia wybierałam

najczęściej różne miejscowości z rejonów nadgranicznych, gdzie wojna zrobiła największą "czystkę", a więc z okolic Przemyśla, a nawet Lwowa. Technika przygotowywania odpowiedniej pieczątki była właściwie bardzo prosta. Podobną, prawdziwą pieczętkę przykładałam do szyby i przez kalkę techniczną odrysowywałam, starając się, aby wyglądała na słabo odbitą i dlatego trudno czytelną. Słyszałam, że moje papiery dobrze służyły swoim użytkownikom. Zarobione zaś w ten sposób niewielkie pieniądze wystarczały przynajmniej na zupe pomidorową (pomidory były bardzo tanie) z "polskim ryżem", który miał te wspaniałe właściwości, że ciągle powiększał swoją objętość.

W dalszym ciągu czułam nad sobą jakiś "parasol szczęścia". Ominęły mnie wszystkie łapanki uliczne. Na przykład któregoś dnia powinnam była wpaść w ręce żandarmów, ale udało mi się tego uniknąć. Po wykładzie wychodziłam z kolegami z Uniwersytetu mając na ręku paczkę książek, a między nimi owinięty w gazetę zepsuty browning, który niosłam do reperacji. Już z daleka zobaczyłam stojących w bramie żandarmów. Zatrzymywali, legitymowali i rewidowali wychodzących. Bez namysłu pożegnałam się z kolegami i szybkim krokiem ruszyłam w kierunku bramy. Żandarmi rozstąpili się robiąc mi przejście. Nie rewidowana opuściłam niebezpieczny teren. Innym razem przewoziłam z Saskiej Kępy na Żoliborz (do umówionego sklepikarza) materiał wybuchowy – minię, tj. czerwoną farbę w proszku, i argentium nitricum – w dużych paczkach po proszkach do prania "Ata" i "Radion sam pierze". Nasi chłopcy z tych półproduktów robili "sidol-

ki". W tym czasie przejazd przez Plac Krasińskich, ze względu na getto żydowskie, odbywał się podwodami, bardzo często rewidowanymi przez Niemców poszukujących towarów przewożonych ewentualnie dla Żydów. Mnie udało się takiej rewizji uniknąć. Innym razem wiozłam podobne paczki tramwajem przez Krakowskie Przedmieście. W pewnym momencie bardzo zwolniliśmy, a pasażerowie zaczęli opuszczać wagon. Gdzieś przed nami, chyba w okolicy Królewskiej, była łapanka. W tramwaju został tylko motorniczy i ja z moimi paczkami; nie mogłam z nimi wyskoczyć, bo były za ciężkie, nie mogłam ich zostawić, bo były potrzebne, a poza tym naraziłabym w ten sposób Bogu ducha winnego motorniczego. Bardzo wolno zbliżaliśmy się do Królewskiej, a kiedy tam dojechaliśmy, stojące przed nami tramwaje ruszyły, a nas nikt nie zatrzymywał. Szczyt szczęścia przeżyłam rok później. Mieszkałam w wynajętym pokoju u pewnej samotnej starszej pani przy ulicy Stanisława Augusta. Cały mój warsztat pracy niezbędny przy produkcji fałszywych dokumentów znajdował się pod zwykłym żelaznym łóżkiem. Maszyna do pisania wciśnięta głęboko w kąt, reszta – papier, druki różnych zaświadczeń, czyste "Kennkarty", rozmaite zszywacze, tusz i kalka techniczna do robienia pieczętek – w osobnej walizce. Maszyny do pisania nie było widać, ale walizka stała blisko. Spod niedomkniętego przykrycia wystawał kawałek koronki różowej halki. Przez kilka miesięcy w zupełnym spokoju produkowałam potrzebne dokumenty, ale niestety któregoś dnia wieczorem w całym dużym, kilkupiętrowym domu rozległy się głośne krzyki Niemców, odgłosy ich podkutych butów i

dobijania się do mieszkań. Moja przerażona gospodyni otworzyła drzwi i szybko pobiegła do W.C. Trzech Niemców natychmiast weszło do mego pokoju. Jeden stanął w drzwiach, drugi otworzył szafę i wyrzucił z niej wszystko na podłogę, trzeci spacerował po pokoju od czasu do czasu zaczepiając mnie wymawianym jakby z półśmiechem pytaniem "no, Fräulein?" W pewnej chwili podszedł do łóżka, a ja odwróciłam się do okna, żeby nie zobaczył mojego przerażenia. Tymczasem on kopnął walizkę tak, że całkowicie schowała się pod łóżkiem. Jeszcze raz usłyszałam "no, Fräulein?" i wszyscy trzej spokojnie wyszli. Pokoju gospodyni, która co chwila chowała się w W.C., nawet nie rewidowali. Kto to był? Niemiec sprzyjający Polakom? Polak w mundurze hitlerowskim? Nie wiem. Ważne, że mogłam dalej robić to co dotąd.

Po siedmiu miesiącach nauki w Szkole Zaorskiego zaliczyliśmy drugi rok medycyny. Dla mnie najtrudniejsze było nauczenie się na pamięć anatomii prawidłowej człowieka bez ćwiczeń w prosektorium. Przerobiłam całego "Bochenka", ale nie ruszyłam dodatkowego tomu dotyczącego układu nerwowego (bo niby dlaczego właśnie tego miał mnie profesor pytać?). Była wiosna. Uczyłam się z kolegą z grupy – Maćkiem. To też była przeszkoda. Przepytywałam go i wydawało mi się, że sama też to umiem. Niestety, prof. Edward Loth, wspaniały, bardzo dzielny – jak się w Powstaniu okazało – człowiek, uczony wielkiej wiedzy i kultury nie wymagał ode mnie niczego innego, tylko znajomości poszczególnych nerwów. Na ten temat niewiele miałam do powiedzenia, więc moje męczarnie profesor zakończył słowami: "panno Ewuniu, pani nerwów

nie uznaje, ale ja je mam i one dłużej tego nie wytrzymają. Musi się pani nauczyć, a wtedy jeszcze raz się zobaczymy". Egzamin u prof. Lotha odbywał się w jego prywatnym mieszkaniu przy ul. Różanej. Profesor był spokojny, a nawet uśmiechnięty. Gdy wstaliśmy i chcieliśmy odejść, zatrzymał nas i zaprosił do wnętrza mieszkania, gdzie pani profesorowa przygotowała kawę z ciastkami (w owym czasie był to wielki rarytas).

Po skończeniu Szkoły Zaorskiego i zaliczeniu wymaganych egzaminów całą grupą (było nas razem pięcioro: Wanda Kalnik, Aniela Popielarska, ja, tzn. Ewa Podgórska, Maciej Olszewski i Tadeusz Zieliński) zgłosiliśmy się do Tajnego Uniwersytetu Warszawskiego (istniał także Poznański), by studiować przedmioty kliniczne. Kierownikiem tego Uniwersytetu był prof. Czubelski, z którym jednak mieliśmy bardzo luźny kontakt. Opiekowali się nami profesorowie poszczególnych przedmiotów. Przed zgłoszeniem się na interne musieliśmy na przykład odrobić propedeutykę interny na oddziale wewnętrznym Szpitala Ujazdowskiego u dr. Wąsowicza, doskonałego diagnosty, wybitnie cierpliwego pedagoga. Pomimo braku odpowiedniego podręcznika, dzięki jego wysiłkom doskonale nauczyliśmy się podstawowych metod badania pacjenta, łącznie z dokładnym wywiadem choroby i rozpoznawaniem umotywowanym precyzyjnym określeniem poszczególnych narządów wyrysowywanych dermografem na skórze. Do dziś używam przejętej od dr. Wąsowicza metody określenia sylwetki serca nie tradycyjnym pukaniem palcem po palcu całej ręki, lecz posługiwaniem się słuchem i opukiwaniem samymi

czubkami palców. Szczególnie przydaje mi się ta metoda u najmłodszych dzieci, gdy nie ma miejsca na dłoń lekarza. Podziwialiśmy także cierpliwość badanych przez nas najczęściej starszych, chronicznie chorych, kobiet, które z miłym uśmiechem poprawiały układ naszych rąk przy rysowaniu sylwetki wątroby czy żołądka, żeby ich ukochany lekarz ucieszył się z wyników swej nauki. Poszczególnych przedmiotów uczyliśmy się pod opieką różnych profesorów w ich klinikach. I tak, dermatologię "robiłam" i zaliczyłam u prof. Borkowskiego obserwując na bieżąco pacjentów z różnymi dolegliwościami (miałam na przykład okazję zobaczyć zmiany skórne kiły drugo- i trzeciorzędowej na ślicznych nogach młodych prostytutek), a profesor bardzo cierpliwie i wnikliwie wkładał mi do głowy teorię tych chorób. Niestety, z powodu zbyt krótko mieliśmy możliwość pobierania nauki u profesora histopatologii, którego nazwiska nie pamiętam, gdyż – podobno z uwagi na żydowskie pochodzenie – został aresztowany przez Niemców. Prof. Gądzikiewicz wykładał higienę, przedmiot niestety lekceważony przez studentów, a szkoda, bo w praktyce okazuje się, że brak wiedzy w tym zakresie bardzo przeszkadza w uzyskiwaniu dobrych wyników w leczeniu.

Wymagano też od nas umiejętności badań laboratoryjnych. Przez trzy miesiące uczyliśmy się w laboratorium analitycznym i bakteriologicznym na terenie Szpitala Dzieciątka Jezus przy ul. Nowogrodzkiej. Muszę przyznać, że kilka lat później wiadomości te bardzo mi się przydały. Najwięcej czasu zajęła nam jednak nauka anatomii patologicznej u prof. Ludwika Paszkiewicza. Wspaniały profesor miał duże wymagania,

ale też dobrze zorganizował naukę tej wcale nie łatwej dziedziny. Dla każdego z nas wyznaczył sześć sekcji, które musieliśmy omówić, rozpoznać i skomentować. Niektórzy spośród moich kolegów i koleżanek wykonali znacznie więcej niż wyznaczone minimum liczby sekcji. Mnie tych sześć zupełnie wystarczyło. Owocne było przyglądanie się i słuchanie relacji kolegów, szczególnie gdy umiejętnie opiekujący się nami chyba jeszcze nie docent, ale doktor Witold Niepołomski podkreślał w opisach i wyciąganych wnioskach momenty ważne dla ustalenia rozpoznania. Ogólnie mówiąc uczyliśmy się chętnie. Nikt nas nie popędzał, wyjątkowo nawet zdarzało się, że któryś ze zdolniejszych kolegów, gdy "przysiadł fałdów", po 2–3 miesiącach nauki i zaliczeniu kolokwiów u dr. Niepołomskiego zgłaszał się na egzamin (najczęściej nauka tego przedmiotu trwała 8–12 miesięcy, a bez odpowiedniego przygotowania nikt "nie podchodził" do egzaminu u kochanego profesora, bo nie wypadało zdać na gorzej niż dobrze). Choć wspomnienia ze wszystkich lat tajnej nauki w czasie okupacji w Warszawie, mimo bardzo trudnych warunków życia i ciągłego zagrożenia ze strony okupanta, są bardzo sympatyczne, to okres nauki u prof. Paszkiewicza wydaje mi się najprzyjemniejszy. W tej grupie czuliśmy się dziećmi lub nawet wnukami pana profesora, bo nazywaliśmy go dziadkiem. W czasie Wielkiej Nocy 1943 roku w pokoiku obok sali prosektoryjnej urządziliśmy wspólne "jajeczko"; u profesora czuliśmy się bezpieczni, bo nawet Niemcy rzadko tam zaglądali. Pewnego razu z Maćkiem Olszewskim opracowując wykonane sekcje zasiedzieliśmy się nieco dłużej w sali prosektoryjnej. Gdy chcieliśmy wyjść,

okazało się, że woźny wszystkie wyjścia pozamykał. Znaleźliśmy się w pułapce – zwłoki i my. Byliśmy jednak tak zżyci z tym prosektorium, że nie zrobiło to na nas większego wrażenia. Zresztą udało nam się jakoś opuścić to miejsce, zeskakując z okna na dach przybudówki, a stamtąd na podwórze.

Egzamin u prof. Ludwika Paszkiewicza uchodził za bardzo trudny, bo temat był ogromnie obszerny, a profesor pytał dosyć wnikliwie. Uczyliśmy się więc pilnie, aby wypaść co najmniej dobrze. Zdarzało się, że po egzaminie zdanym na dostateczny delikwent prosił o wyznaczenie nowego terminu, by lepiej się przygotować i poprawić ocenę. Mnie się wydawało, że dobrze opanowałam materiał, jednak pierwsze pytanie profesora zupełnie zbiło mnie z pantałyku; pozornie bowiem nie było ono związane z anatomią patologiczną. Chciałam już podziękować i poprosić o wyznaczenie drugiego terminu, kiedy asystujący profesorowi dr Witold Niepołomski zorientował się, że trzeba mi pomóc i po cichu zaproponował profesorowi, żeby wyszli. Po kwadransie wrócili i profesor zaczął mnie pytać od początku. Tym razem poszło gładko i dobrze.

Zaliczenie anatomii patologicznej było ostatnim szczeblem przygotowawczym przed wejściem do kliniki internistycznej. Naszą grupę przydzielono do Szpitala na Lesznie – do prof. Zbigniewa Semerau–Siemianowskiego, który jako opiekuna przydzielił nam swego syna – młodego lekarza. Praca z nim przebiegała w miłej atmosferze, ale młodego lekarza interesowało dużo różnych zagadnień, które były nieco za mało naukowe. Postanowiliśmy przenieść się całą grupą do prof. Witolda Orłowskiego w klinice Szpitala Dzieciątka Jezus.

Byłam zawsze dość pewna siebie, więc zaproponowałam, że ja to załatwię. Następnego dnia wybrałam się do kliniki. Drzwi wejściowe były otwarte, ale w korytarzu zatrzymał mnie jakiś postawny młody lekarz pytając, czego tu szukam. Odpowiedziałam, że chcę rozmawiać z prof. Witoldem Orłowskim. Tak? A czy jest pani z nim umówiona? Nie – odpowiedziałam – to ja mam interes do niego. Na to lekarz oburzonym tonem wyjaśnił mi, że profesor na mnie nie czeka, że ma dość innych zajęć. Nie pomogło moje tłumaczenie, że jestem studentką medycyny i występuję w imieniu większej grupy kolegów. Pozwoliłam sobie nawet powiedzieć, iż gdyby nas – studentów nie było, profesor nie byłby potrzebny. To jeszcze bardziej zdenerwowało mego rozmówcę, który kategorycznie wyrzucił mnie z kliniki. Wróciłam do kolegów zmartwiona, ale okazało się, że są jeszcze inne drogi, którymi można trafić do prof. Orłowskiego. Otóż jedna z naszych koleżanek, szczególnie mi bliska poprzez wspólne losy od czasów studiów w Poznaniu Narka Hartłówna, skończyła gimnazjum sióstr Nazaretanek z dobrą opinią, a przełożona tych Sióstr była bliską znajomą profesora. Ta znajomość teraz zaowocowała. Już po kilku dniach wyczytaliśmy na tablicy ogłoszeń w klinice chorób wewnętrznych wszystkie nasze nazwiska, w dodatku z dopiskiem, do jakiego lekarza mamy przydział bezpośredni. Mnie przypadł dr Kodejszko. Zaczęłam się rozglądać, szukać tego doktora, a gdy okazało się, że to właśnie ten lekarz sromotnie mnie wyrzucił, wpadłam w popłoch. Co zrobić, jeżeli mnie pozna? Zmieniłam uczesanie, choć normalnie się nie malowałam, użyłam wszelkich możliwych kosmetyków i

rzeczywiście doktor na mój widok nie wyraził żadnego zdziwienia. Praca przy jego boku nie była jednak łatwa. Profesor życzył sobie, by każdy nowo przyjęty pacjent został bardzo dokładnie zbadany i opisany (łącznie z kolorem oczu, linią brwi itp.). Do profesora szło się jak na Olimp (chyba był już trochę stary, a może tylko zbyt wielki – nie chodził po salach chorych, a pacjentów dowożono na jeżdżącym łóżku do jego gabinetu, gdzie należało też dostarczyć opracowaną historię choroby). Zanim się tam wybraliśmy dr Kodejszko przeglądał przygotowaną przeze mnie historię choroby kilka razy, przepisywał, dopisywał, a ja musiałam przepisywać na czysto – czasem dwa lub trzy razy. Widziałam, że mój opiekun był stremowany. Bardzo mu zależało, żeby profesor choć jednym słowem pochwalił naszą pracę, ale to ponoć zdarzało się niezwykle rzadko. Koledzy uważali, że mam szczęście, iż to właśnie dr Kodejszko się mną opiekuje, bo uchodził on za pupila profesora, jednego z najlepszych lekarzy klinicznych. Faktycznie skorzystałam dużo z jego nauki. Szkoda tylko, że trwała ona tak krótko: od wiosny do końca lipca 1944 roku. 1 sierpnia o godzinie 17⁰⁰ syrena rozpoczynająca Powstanie Warszawskie przerwała moje studia.

* * *

Z uwagi na fakt, że byłam studentką medycyny tajnego Uniwersytetu Warszawskiego zostałam zaprzysiężona w A.K. jako sanitariuszka patrolowa; dołączono do mnie dwie inne studentki i w razie powstania miałyśmy przydział przy ulicy Grochowskiej. Niestety, wyczekiwana godzina "W" zastała mnie w zupełnie innej dzielnicy – na Mokotowie, u znajomych, gdzie właśnie skończyłam lekcje, których udzielałam ich córce. Duży dom na rogu Puławskiej i Reytana. Właściciele zajmowali całe pierwsze piętro. Okna wychodziły na Puławską i na podwórze. Na strychu – jak się później okazało – miała swoje małe mieszkanie Maria Malinowska, tak jak ja studentka medycyny, ale nie w grupie internistycznej lecz chirurgicznej.

Patrzyłam przez okno, co się dzieje na zewnątrz. Niemcy mieli przetrząść przez całą Puławską. W pewnym momencie zobaczyłam przebiegającego ulicę młodego człowieka. Niestety, trafił go jakiś pocisk i chłopiec upadł. Szczęśliwie przeczołgał się jednak do muru "naszego" domu. Po chwili z drugiego okna zobaczyłam na naszym podwórzu dwóch żołnierzy. Starszy, z zakrwawioną głową, był podtrzymywany przez młodszego. Zbiegłam na dół – przecież trzeba udzielić mu pomocy. Niemal równocześnie ze mną pojawiła się tam wspomniana, jeszcze wówczas nieznana mi, Maria Malinowska. Powiedziała, że jest lekarzem, więc ustąpiłam jej miejsca. Na środku dużej piwnicy służącej za schron leżał na łóżku chłopiec, którego widziałam na ulicy. Otaczały go koleżanki, z którymi – jak się okazało – pracowali w pobliskim sklepie

Wedla. Nie był postrzelony, tylko obsypany drobnymi odłamkami szrapnela – nie wymagał specjalnej pomocy. Ta była niezbędna powstańcowi rannemu w głowę – zastępcy dowódcy kompanii O3 pułku "Baszta" ppor. "Bemowi" (Wojciechowi Przybyszewskiemu), który dowodził plutonem atakującym wyznaczone pozycje niemieckie. Zajęliśmy się nim razem z "Urszulą" (Marysią Malinowską). Z pomocą kaprała-podchorążego "Józwy" (Józefa Krawczyka), który przyprowadził swojego dowódcę, zaprowadziliśmy rannego na strych, do mieszkania koleżanki. Niestety za pół godziny przyniesiono do nas także "Józwę", rannego postrzałem w plecy.

Szczerliwie "Urszula" nie zdążyła przenieść ze swojego mieszkania sprzętu "małej chirurgii", który był przeznaczony dla jakiegoś punktu sanitarnego. Mogliśmy – co prawda nie na stole operacyjnym, ale na podłodze – ułożyć "Bema" na sterylnej serwecie pod głową i mając odpowiednie narzędzia wyjąć drzazgi kości z przebitych kości ciemieniowych (dł. 6 cm, szer. 1,5 cm) wciskające się do wnętrza czaszki. Po nałożeniu opatrunku ułożyliśmy go na kanapie i zaraz zajęliśmy się "Józwą". Stan obu rannych był bardzo ciężki. "Bem" miał wysoką gorączkę, był półprzytomny, pisał charakterystycznym piskiem chorego mózgu. "Józwa" kulił się, nie mógł się wyprostować, musiał siedzieć. Dusił się, kaszlał i pluł krwią. Taki był ich stan, kiedy w nocy zjawili się ich koledzy – lekarz batalionowy pułku "Baszta" Krystjan Zawadzki "Leszek" i przyjaciel "Bema" – Zbigniew Bednarski "Jurkowski". Po zbadaniu rannych "Leszek" orzekł, że stan ich jest beznadziejny, że z całą pewnością umrą jeszcze tej nocy. Z

uwagi na fakt, iż pułk "Baszta" przesuwa się bardziej na południe, może aż do lasów kabackich, a tu zaraz wejdą Niemcy, którzy gdy zobaczą sanitariuszki z rannymi czy martwymi "bandytami" (tak nas nazywano do czasu ogłoszenia przez aliantów, że jesteśmy kombatantami) na pewno nas zabiją, zaproponowali byśmy zostawiły umierających i przyłączyły się do pułku. Nie musiałyśmy się namyślać ani porozumiewać. Było oczywiste, że nie możemy zostawić rannych. Przecież oni żyli.

Niemcy na dobre weszli dopiero po dwóch dniach. Na ulicach panowała cisza, nawet strzałów nie było słychać, a nasi ranni oprzytomnieli, okazali nawet względnie dobry apetyt. "Józwa" już lżej postękiwał, a "Bem" zupełnie przestał pisać. Trzeciego dnia widziałyśmy przez okno ruch na ulicy i wyprowadzanie ludzi, głównie mężczyzn, z domu na przeciwko. Koło południa usłyszałyśmy stukot niemieckich butów i straszne gardłowe krzyki w naszym domu – Niemcy wyprowadzali z niego wszystkich mieszkańców, łącznie z dziećmi. Do nas jednak nie weszli. Ktoś zajrzał na strych, ale naszego mieszkania nie zauważył.

Po kilku godzinach poczułyśmy swąd i gorąco – to za karę, że stąd zaczęto akcję Niemcy podpalili dom. Gdy wyrzaliśmy, wolne od ognia były tylko schody. Bałyśmy się, że nie damy rady znieść naszych rannych, ale musiałyśmy spróbować. Poszłyśmy do schronu – tam gdzie zostawiłyśmy lekko kontuzjowanego chłopca – po nosze. Chłopiec nadal leżał na łóżku. Zabity. Wróciłyśmy na górę, gdzie okazało się, że nosze nie są potrzebne. Ranni wstali, umyli się, ubrali w to, co mieli (a

mieli mało, bo obie zakrwawione marynarki zostały wyrzucone) i orzekli, że sami potrafią chodzić. I faktycznie wyszliśmy, wynosząc nieco potrzebnych rzeczy z zapasów Marysi. Udało się schować chłopców w piwnicy sąsiedniego domu (przez poprzebijane ściany piwnic można było przechodzić z domu do domu). Już po tych kilku dniach znajomości wydawało nam się, że znamy się od lat. Tak się jakoś złożyło, że ja bardziej zajmowałam się "Bemem", a Marysia "Józwą". 6 sierpnia Marysia urządziła w większej piwnicy "przyjęcie". Na nasze pytania o okazję, odpowiedziała, że to zaręczyny "Ewy" i "Bema". Zaskoczenie było duże, ale nie broniliśmy się i chyba słusznie, skoro pięćdziesiąt lat przeżyliśmy jako zgodne małżeństwo. Rano zaprowadzałam chłopców do piwnicy pod naszym płonącym domem, zastawiałam jakimiś pakami, by ich nie było widać, i zamykałam kłódkę. Marysia starała się o prowiant, który tylko z początku bywał urozmaicony, w ostatnich pięciu dniach mieliśmy tylko płatki owsiane na wodzie, już nawet bez cukru.

8 sierpnia Niemcy wypuścili z Szucha zabrane z tego domu kobiety. Do piwnicy, gdzie "mieszkali" nasi chłopcy, zaczęła się dobijać jej właścicielka, pewnie myśląc, że coś tam znajdzie. Trzeba było się przenieść. Na trzecim piętrze w oficynie mieszkała młoda dziewczyna Werka (nazwiska nie znałam), która mówiła, że chce zostać lekarzem. Zaprosiła nas do siebie na noc. Straszna to była noc, rozświetlana lampionami kolorowych pocisków bombardujących centrum Warszawy, co obserwowaliśmy przerażeni z balkonu.

Wreszcie, po kilku dniach przerwy, mogłam zmienić "Bemowi" opatrunek. Narzekał, że go bardzo swędzi, na co odpowiadałam, że to dobrze, bo oznacza, iż rana się goi. Po zdjęciu opatrunku w pierwszej chwili wzdrygnęłam się: poczułam zapach zgniłego ciała i zobaczyłam około dziesięciu pełzających robaków – to mucha plujka zabezpieczyła ranę przed zakażeniem bakteryjnym składając jajeczka z których wylęgły się ropożerne robaczki. Po obmyciu okazało się, że rana jest czyściutka, choć śladów gojenia jeszcze nie było widać.

Następnego dnia zrobiło się bardzo niespokojnie. Niemcy biegali po wszystkich klatkach schodowych, więc nasze wygodne mieszkanie przestało być bezpieczne. Szukając schronienia pomyślałam, że trzeba wrócić na zgliszcza spalonego domu; tam nikt nie będzie chodził. Poszliśmy więc. Padał lekki deszcz, a pokrywa była wystarczająco ostygła, by na niej stać. Późnym wieczorem, zostawiając tam panów wróciliśmy z Marysią do naszej piwnicy, gdzie miałyśmy dwa polowe łóżka. Dotąd w nocy spali na nich chłopcy, a my trzymałyśmy wartę. Teraz obie wygodnie się ułożyłyśmy. Po paru godzinach, nad ranem, gdy jeszcze było szaro, obudziłam się, bo wydawało mi się, że słyszę nawoływanie mojego narzeczonego. Marysia wyśmiała mnie mówiąc, że to zbyt daleko, by było słychać. Ja jednak poszłam i dobrze zrobiłam. Zastałam "Józwę" spacerującego, ale "Bem" leżał półprzytomny w wysokiej gorączce. Był to efekt wysokiej temperatury i oparów, bo co prawda powierzchniowa warstwa zgliszcz już wystygła, ale pod nią tliło się rumowisko. Razem z "Józwą" przenieśliśmy jakoś "Bema"

do naszej piwnicy i położyliśmy na zimnym klepisku korytarza. Wydawało się, że całkiem stracił przytomność. Uznałam, że potrzebuje szpitala. Najbliższy był na Chełmskiej. Pobiegnęłam tam i znalazłam lekarza nadzorującego ewakuację chorych. Zgodził się przyjąć rannego, z tym jednak, że przypuszczał, iż zaraz będzie go musiał oddać do niewoli, gdzie pewnie trafi (jeśli dożyje) do szpitala jenieckiego. Nie mogłam na to pozwolić. "Bem" opowiedział mi, że w kampanii wrześniowej 1939 roku też był ranny w głowę i jakoś przeżył, a umieszczony w obozie jenieckim trzykrotnie próbował ucieczki – dwa razy go złapano i zamknięto w karnych obozach, za trzecim razem uciekł z otoczonego wodą, zdawałoby się nie do pokonania, Coldnitz. Udało mu się. Dotarł do Warszawy, a potem do lasu, gdzie przez prawie rok walczył dowodząc kompanią Batalionu Zaniemeńskiego. Wiosną 1944 roku wrócił do Warszawy, do pułku "Baszta". Jakże mogłam oddać go do niewoli? Chyba zresztą nie wytrzymałby podróży.

Wróciłam do nieprzytomnego "Bema". Nadal gorączkował. Lekarz z Chełmskiej dał mi tabletkę piramidonu. Przyniosłam dzbanek zimnej wody i zaczęłam oblewać nieprzytomnemu głowę. W tym czasie usłyszałam, że ktoś szuka "Ewy" i "Bema". To łączniczka-sanitariuszka kompanii O3 "Narcyza" (Zena Gąsinowska) przysłała po nas. Koniecznie trzeba było obudzić "Bema". Podałam mu tabletkę, którą jakoś przełknął. Nic więcej nie miałam. W torebce znalazłam jeszcze jakieś drosy. Na opakowaniu było napisane "orzeźwiające". Zaczęłam Wojtkowi tłumaczyć, że musi wstać, że idziemy do walki, że dostał takie orzeźwiające lekarstwo, po którym na pewno

oprzytomnieje... Otworzył oczy, coś powiedział i z moją pomocą stanął. Musiałam teraz znaleźć łączniczkę, bo gdzieś odeszła (szukała Marysi, która wcześniej podjęła próbę przedostania się do naszych). Oparłam "Bema" o ścianę korytarza, groźnie przykazałam, żeby czekał na mnie i pod żadnym pozorem nie śmiał się położyć. Udało się. Po wyprowadzeniu na dwór oprzytomniał jeszcze bardziej i z podniesionymi rękami (tak traktowano mężczyzn, podczas gdy kobiety musiały mieć białe chusteczki) siedł z nami ponad pół godziny, bo Niemcy wypędzali ludzi na zachód, a my kierowaliśmy się na południe. Mieliśmy dużo szczęścia. Dotarliśmy – pełzając przy Rakowieckiej, gdzie były koszary niemieckie – do ulicy Narbutta, przy której czekali na nas chłopcy z kompanii "Bema" i na strzały do nas odpowiedzieli swoimi do Niemców.

Do miejsca postoju dowódca "Bem" doszedł na własnych nogach, ale po gorącym powitaniu stracił znowu przytomność. Chłopcy z kompanii zanieśli go na noszach do Szpitala Elżbietanek, gdzie – po trepanacji czaszki – pozostał. "Józwie" zaraz zrobiono rentgen, który wykazał, że w klatce piersiowej nie ma kuli. Rana na łopatce podgoiła się dobrze (w momencie postrzału "Józwa" prowadził ostrzał leżąc na dachu; pocisk z przeciwnego dachu trafił go w łopatkę pod ostrym kątem, wcisnął kość do płuca, co spowodowało duszność i krwiopłucie, ale po kilku dniach łopatka się wyprostowała i sytuacja się poprawiła), więc wcale nie poszedł do szpitala, tylko od razu do kompanii. Mnie przypadła rola sanitariuszki bezpośrednio przy kompanii O3 z tym, że zaangażowana zostałam także do pracy w szpitalu, w którym leżeli nasi chłopcy. Tam pełniłam

różne funkcje: salowej, sprzątaczk, pielęgniarki i lekarza, zwłaszcza pod koniec sierpnia, gdy wielkie działo kolejowe, tzw. gruba berta, rozbiło szpital.

Do 27 września wydawało się nam, że żyjemy w wolnej Polsce, w wyrwanej Niemcom Warszawie. Hitlerowcy mordowali nasze miasto po kawałku, zostawiając sobie Mokotów prawie na koniec, tuż przed Śródmieściem. W tym czasie można jeszcze było spokojnie leczyć, a nawet starać się o sprawianie przyjemności chorym. W sali, którą miałam pod opieką, oprócz mego narzeczonego i jego przyjaciela (przypadkowo postrzelonego), leżał starszy pan. Był chyba porucznikiem i nazywał się – jeśli się nie mylę – Siemiradzki. Miał obie nogi zmiżdżone, więc lekarze chcieli je amputować, na co jednak ranny absolutnie się nie zgadzał. Jego kończyny leżały bezwładnie w takich jakby rynnach, a robienie opatrunków było bardzo przykre. Gdzieś w połowie sierpnia ze zdziwieniem zauważyłam, że jeden palec zaczął się lekko poruszać. Porucznik i ja bardzo się ucieszyliśmy, zaświtała bowiem nadzieja, że chociaż jedną nogę uda się uratować. Niestety po rozbiciu szpitala zabrano pacjenta do któregoś z naszych szpitalików "pod zlewkiem", gdzie warunki higieniczne były tak straszne, że nic dziwnego, iż nastąpiło zakażenie, które spowodowało tzw. sepsę – ogólne zakażenie krwi i porucznik stracił nie tylko nogi, ale i życie. Wspominając o przyjemnościach dla chorych myślałam o tym, że można było, co prawda z pewnym ryzykiem spotkania przypadkowego Niemca, przejść do porzuconych działek ogrodniczych, gdzie marnowały się wspaniałe pomidory, jabłka, cebula, a nawet

róże, które pięknie przystrajały smutną salę szpitalną. Szczęście mi nadal towarzyszyło i nigdy nie spotkała mnie żadna przykra przygoda. Najczęściej chodził ze mną młody żołnierz "Antoniak" (nazwiska nie znałam). Raz się zdarzyło, że nie mógł ze mną pójść, bo musiał stać na warcie przed naszym mieszkaniem. Kiedy wróciłam, już go nie znalazłam – został trafiony przypadkową, zabłąkaną kulą. Pracy jako sanitariuszka miałam najwięcej w ostatnich trzech dniach (24–27 września), kiedy Niemcy zdecydowali się zniszczyć nas i rzeczywiście w ciągu tych kilku dni prawie tego dokonali. Gdy wreszcie nie było żadnej ulicy, przez którą można by bezpiecznie przejść na drugą stronę, zaczęły się rozmowy w sprawie kapitulacji. Część naszego pułku, a nawet naszej kompanii, przeszła kanałami do Śródmieścia. My z "Bemem" (wówczas już moim mężem) na szczęście nie zdążyliśmy i 27 września oboje, choć osobno, poszliśmy do niewoli. Mąż wraz ze swoimi żołnierzami poszedł pieszo, ja zaś, mając na sobie mundur "Bema" z gwiazdką na naramienniku zostałam uznana za oficera i otrzymałam polecenie opiekowania się rannymi wiezionymi na wozach. Po obu stronach naszej kolumny jechali pilnujący nas żandarmi na koniach. Mnie wolno było porozumiewać się z mijanymi ludźmi, którzy podawali nam owoce, pomidory i wodę, a ja roznosiłam to rannym. W pewnym momencie o szarówce podeszło do mnie dwóch panów z ruchu oporu, tzn. z A.K., z informacją, które z domów po drodze są niemieckie, a które polskie i można do nich "skoczyć". Adresy podałam rannym na wozach, zakładając, że ci w lepszym stanie i ze zdrowymi nogami będą mogli z nich skorzystać. Ja w każdym

razie, gdy pilnujący nas Niemcy byli dość daleko, wymknęłam się i trafiłam do bardzo miłych ludzi. Dostałam to, co było najważniejsze – dużą miskę z wodą do umycia się i wyprania bielizny, której nie zmieniałam przez ostatni bardzo gorący tydzień, a następnie coś fantastycznego – łóżko z czystą pościelą. Proponowano mi jakiś posiłek, ale na to już siły nie miałam. Gdy tylko się położyłam dwaj panowie z A.K. podszli do mnie chcąc wziąć moją "Kennkartę", aby zmienić w niej miejsce zamieszkania. Zapytali mnie o dane osobowe, ale nie zdążyłam podać nawet całego nazwiska. Powiedziałam "Pod"(górska) i zasnęłam.

Następnego dnia – w niedzielę – dostałam śniadanie (dawno takich specjałów, jak chleb z masłem i serem, nie jadłam), podziękowałam, z żalem rozstałam się z moim "mundurem" i legitymacją basztowską, po czym wyszłam z "Kennkartą" bezpieczna, bo już nie miałam w dokumentach warszawskiego miejsca zamieszkania. Okolica była wolna, dzień niedzielny, piękny, słoneczny. Wiedziałam, że nasi poszli do Pruszkowa, gdzie zrobiono dla nich dodatkowy, okratowany obóz na terenie wielkiego obozu dla warszawiaków. Poczułam się bardzo samotna. Tak bardzo, że przyszedł mi do głowy niezwykle mądry pomysł. Postanowiłam pójść do obozu, powiedzieć Niemcom, że uciekłam i poprosić, aby dołączyli mnie do kolegów. Gdy doszłam do miasta, nie wiedziałam w którą stronę iść. Z daleka zobaczyłam jednak jakąś kobietę, więc podbiegłam do niej, żeby zapytać o drogę do obozu. Pani ta zatrzymała się, spojrzała na mnie badawczo, po czym nie odpowiadając mi dość ostro zapytała: "Ewo, czego ty chcesz

od obozu? Tam się nie chodzi". Dopiero wtedy ją poznałam. Była to Janka Borkowska, moja koleżanka z bydgoskiego gimnazjum, która już cztery lata przed maturą, tzn. w 1933 roku, wyjechała z rodzicami do Pruszkowa i od tamtej pory się nie widziałyśmy. A więc znowu miałam szczęście. Koleżanka zbesztła mnie za głupi pomysł, kazała mi napisać krótki list do męża i obiecała go doręczyć, jako że szła właśnie do obozu, gdzie pracowała jako pielęgniarka. W liście podałam jej adres, żeby mąż mógł napisać do mnie z niewoli (bez takiej możliwości kontaktu pewnie byśmy się długo szukali). List do męża dotarł, ale nie bez przeszkód. Do obozu powstańców koleżanka wejść nie mogła. List jednak znalazł się tam owinięty w coś nieprzemakalnego i wrzucony do kotła z kawą czy zupą. Następnego dnia widziałam odjeżdżający pociąg towarowy z naszymi chłopcami machającymi do mnie przez małe okratowane okienko. Męża co prawda nie zobaczyłam, ale wiedziałam, że jest tam z nimi.

* * *

Po paru dniach spotkałam jeszcze jedną dobrze mi znaną osobę. Mira Żak – nauczycielka geografii w jednym z poznańskich gimnazjów, w czasie wojny wyszła za mąż i odtąd nazywała się Gawlikowska. Cała rodzina państwa Gawlikowskich zamieszkała w Pruszkowie wraz z matką i dwoma braćmi męża Miry. Zostałam zaproszona do ich domu i zostałam przyjęta bardzo życzliwie. Tak więc znalazłam dwa bardzo gościnne domy w Pruszkowie, ale chciałam wyjechać do Krakowa, mając nadzieję, że może tam dowiem się czegoś o mojej matce i młodszym bracie. O Andrzeju wiedziałam tylko, że w Powstaniu walczył na Sadybie i że nie zginął – taką informację przekazali mi przypadkowo spotkani jego koledzy.

Do wyjazdu niezbędna była przepustka. Poszłam więc do odpowiedniego biura. Tam urzędnik zapewnił mnie, że przepustkę otrzymam, ale muszę poczekać. Rozejrzałam się dookoła i zobaczyłam, że wśród czekających są wyłącznie młode dziewczęta. Nie bardzo mi się to spodobało, bo o wywóz do Niemiec na roboty było tak łatwo. Postanowiłam poszukać przepustki gdzie indziej. Ktoś mi powiedział, że we Włochach mieszka kolejarz, który przewozi kobiety jako swoje siostry. Poszłam więc go szukać. Niestety znalazłam tylko jego matkę. Była zapłakana. Sądziła, że z jej synem stało się coś złego, ponieważ z ostatniego wyjazdu nie powrócił.

W dniu 1 sierpnia 1944 roku nie miałam przy sobie ani grosza, ale podczas powstania pieniądze nie były mi potrzebne (wiem, że w podobnej sytuacji finansowej znajdowała się

większość naszych chłopców). W ostatnich dniach najbardziej krwawych walk sanitariuszki otrzymały polecenie zbierania dowodów osobistych zabitych i składania ich w dowództwie. Robiliśmy to z przekonaniem o słuszności tego rozkazu. W ostatnim dniu powstania natknęłam się na zabitą śliczną dziewczynę – jej zwłoki, ubrane w harcerski mundurek, leżały na schodach jakiegoś domu. Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam portfel. Była w nim legitymacja szkolna, a także 6 tysięcy złotych, wówczas bardzo duża suma. Odszukałam naszego dowódcę kompanii – "Ludwika", żeby mu to oddać. Legitymację wziął, chociaż powiedział, że już nie ma jej komu dać, ale pieniędzy nie chciał. Gdy w parę godzin później zdałam sobie sprawę, że pójdziemy do niewoli w osobnych grupach mężczyzn i kobiet, podzieliłam pieniądze na dwie części. Połowę – 3 tysiące – dałam mężowi do podziału z "Józwą" (zresztą obaj orzekli, że będą im one mniej potrzebne niż mnie), a połowę zostawiłam sobie. To też było jedno z moich "szczęść". Dwutygodniowe błąkanie się w okolicach Warszawy bez grosza przy duszy byłoby jeszcze trudniejsze. Wysłam z Mokotowa prawie boso (sandalki, które miałam na nogach 1 sierpnia, zniszczyły się bardzo szybko; chłopcy znaleźli mi jakiejś inne, ale z tak zniszczoną podeszwą, że musieli w nie włożyć grubą tekturę, żebym mogła w nich chodzić). Pogodę mieliśmy cały czas wspaniałą: ciepłą i suchą, ale w pierwszych dniach października zaczęły się deszcze. Któregoś dnia w Milanówku pomagałam razem z koleżanką – sanitariuszką z powstania (Lehmanową) – przy ewakuacji rannych z jakiegoś przejściowego szpitala. Wieczorem miałam wracać EKD do

Pruszkowa. Tymczasem ostatnia według rozkładu "ciuchcia" nie przyszła. Koleżanka wybierała się do znajomych, których miała w Milanówku. W tej sytuacji zabrała mnie ze sobą, bo gdzieś musiałam przenocować. Byłam zziębnięta i przemoczona. Zrobiło się zimno, a ja nie miałam płaszcza. Padało, więc tektura w moich sandałach rozmokła i częściowo znikła. Dom znajomych koleżanki był dużą willą, ale wszystkie możliwe "leża" zostały już zajęte. Miła gospodyni znalazła jednak jakieś wyjście. Na środku kuchni rozstawiła składane podróżne łóżko, a do przykrycia dostałam niewielki dywan. Taka sypialnia zupełnie mi odpowiadała, choć wiedziałam, że będę musiała bardzo wcześnie wstać, żeby można było przygotować śniadanie dla gromady "gości". Tymczasem w nocy obudziłam się z uczuciem dużego gorąca. Policzyłam sobie tętno. Wyszło 160, więc na pewno miałam bardzo wysoką gorączkę. Poczulałam też silny ból gardła. Z trudem doczekałam rana. Wstałam i poszłam szukać koleżanki. Na kartce papieru, jakby na recepcie, napisałam "<Omnadin> (dziś <Panodin>) w amp." i podpisałam: "E. Podgórska – studentka medycyny". Koleżanka poszła do apteki i zrealizowała tę "receptę". Na szczęście miała strzykawkę, więc mogła mi zrobić domięśniowy zastrzyk. Pani domu znalazła dla mnie jakiś tapczan i dywan do przykrycia. Skorzystałam z tej propozycji i zostałam do następnego dnia, kiedy poczułam się na tyle dobrze, że mogłam wstać i podziękować za gościnę. Zanim wróciłam do Pruszkowa poszłam jeszcze do Grodziska, gdzie – jak się dowiedziałam – można było kupić jakieś buty, których absolutnie niezbędnie potrzebowałam. Co prawda żadnego sklepu z

obuwem nie znalazłam, ale na "bazarze" za 1000 zł udało mi się kupić jedyne, jakie były, bardzo zniszczone, o dwa numery za duże sznurowane trzewiki. Wzięłam je bez wybrzydzenia i przechodziłam, choć się stopniowo rozlatywały, całą zimę. Kiedy dotarłam w końcu do Pruszkowa, odwiedziłam państwa Borkowskich, żeby podziękować za pomoc i pożegnać się. Oczywiście opowiedziałam też o mojej chorobie, a wtedy Janka sięgnęła do szafy i dała mi ciepły płaszcz, pokazując że ma dla siebie drugi.

Do państwa Gawlikowskich przyjechał z Krakowa jeszcze jeden syn z kolegą mającym "wejście" do Warszawy (obaj na jednej przepustce) celem wyszukiwania jakiegoś sprzętu w Urzędzie Miar i Wag. Kolega postanowił zatrzymać się na dłużej, więc mogłam skorzystać z jego przepustki i wraz z panem Gawlikowskim udać się do Krakowa. Poszliśmy na dworzec, ale tego dnia żaden pociąg w tym kierunku nie odjechał. Zmartwiło mnie to, a niepotrzebnie, bo dzięki przymusowej zwłoce właśnie tego dnia otrzymałam na adres Janki Borkowskiej kartkę od męża, o którym sądziłam, że został wywieziony do niewoli gdzieś w głąb Rzeszy. Wojtek pisał: "Uciekłem z obozu w Skierniewicach, jestem u rodziny w Kielcach – tu adres – przyjeżdżaj jak najprędzej". (Jak to dobrze, że nie było pociągu do Krakowa). W zasadzie następnego dnia mogłam jechać bezpośrednio do Kielc. Postanowiłam jednak najpierw pojechać do Krakowa, żeby spróbować dowiedzieć się czegoś o matce i młodszym bracie. Niestety w Krakowie nikt ze znajomych niczego o mojej rodzinie nie wiedział. Tego samego dnia wsiadłam więc do pociągu jadą-

cego do Kielc. Zmęczona nie sprawdziłam nawet, która jest godzina. Usiadłam w stosunkowo mało przepełnionym przedziale i dopiero kiedy spojrzałam za okno zauważyłam, że zrobiło się ciemno. Zaniepokojona spytałam sąsiadów, o której będziemy w Kielcach. Okazało się, że już po godzinie policyjnej. W tej sytuacji uznałam, że lepiej nie ryzykować i postanowiłam wysiąść na najbliższej stacji. Tak znalazłam się w Słomnikach, a przecież niedaleko od tego miasteczka, we wsi Niedźwiedź, mieszkali państwo Stępniewscy, u których byłam cztery lata temu z mamą i Andrzejem. Śmiało powędrowałam więc do miasta, choć droga nie była wcale łatwa. Trzeba było przejść 2 kilometry po błocie, w które po kilku deszczowych dniach zamieniła się tamtejsza żyzna gleba. Z tej lepkiej mazi z największym trudem wyciągałam swoje "nowe" buty. Gdy dotarłam do miasta, z uwagi na ciemną noc i okropne zmęczenie musiałam się gdzieś zatrzymać. Wyprawa do Niedźwiedzia przekraczała już moje siły. Kiedy zastanawiałam się, co począć w tej sytuacji, przypomniałam sobie, że u państwa Stępniewskich bywał młody, bardzo sympatyczny kleryk Jerzy Janczur, który przygrywał nam na skrzypcach do tańca, a mieszkał w Słomnikach. Zapytałam jakiegoś przechodnia, gdzie mieszkają państwo Janczurowie, a kiedy okazało się, że w pobliskim domu, natychmiast się tam udałam. Szczęśliwie gospodarze przypomnieli mnie sobie i zaprosili na noc. Następnego dnia, 15 października (dzień imienin mojej mamy Jadwigi), była niedziela. Rano dostałam śniadanie, po którym, dziękując za miłe przyjęcie, zaczęłam się żegnać. Zamierzałam zaraz iść na stację i jak najprędzej jechać do Kielc. Pan domu

stwierdził jednak, że wypada, abym zobaczyła się z księdzem Jurkiem, który w tym czasie był już proboszczem najbliższej parafii. Oczywiście poszłam do kościoła. Przed wejściem do świątyni wręcz wpadłam na księdza Jurka. Poznał mnie, złapał w ramiona i z wielkiej radości zaczął wręcz tańczyć powtarzając: jak ja się cieszę, że pani jest, że pani żyje, ale jak się ucieszy mama i Jędrak. Posmutniałam i powiedziałam, że niestety nie wiem, gdzie oni są i czy żyją. Jak to? – zdziwił się ksiądz. Przecież są w Niedźwiedziu u państwa Stępniewskich. Naturalnie nie poszłam na stację, tylko nad Szreniawę, wzdłuż której biegła ścieżka do Niedźwiedzia. Dzień był piękny, niebo błękitne, bezchmurne. Szłam jak mogłam najszybciej, a zdawało mi się, że całe niebo spada mi na głowę i utrudnia marsz. Wreszcie dotarłam. Zrobiłam w ten sposób prezent imieninowy dla mojej mamy; lepszego nie mogła sobie wymarzyć.

Wreszcie miałam okazję poznać popowstaniowe losy mamy i Jędrka. Jakież to splot szczęśliwych okoliczności. Okazało się, że mama była w obozie pruszkowskim, skąd starych ludzi wywożono do jakiegoś obozu koło Tarnowa. Jechali otwartymi wagonami (na szczęście nie padało), a tory przechodziły tuż koło Niedźwiedzia, gdzie – choć nie było tam wówczas przystanku – z niewiadomego powodu transport stanął. Kiedy mama zobaczyła znaną jej lipową aleję prowadzącą do pałacu w Niedźwiedziu, wyciągnęła ostatniego "górala" (500 zł), dała go żandarmowi przy wejściu z prośbą o wypuszczenie. Wraz z mamą zdołała wyjść na wolność spora grupa ludzi. Ci co nie zdążyli, pojechali niestety dalej. Mama udała się prosto do państwa Stępniewskich. Kilka dni później

dotarł tam, po ucieczce z Pruszkowa, mój braciszek, stęskniony za Janeczką, córką państwa Stępniewskich. I tak, choć nie mieliśmy umówionego żadnego adresu kontaktowego, spotkała się niemal cała moja rodzina (zabrakło tylko Julka, który siedział w obozie jenieckim w Rzeszy).

Po kilku szczęśliwych godzinach opuściłam gościnny dom i w końcu dotarłam do stacji kolejowej Słomniki na tyle wcześnie, by przed godziną policyjną znaleźć się w Kielcach. Miałam wrażenie, że rodzina Wojtka podzielała jego radość na mój widok. Chociaż mieszkanie mieli małe (poprzednie – większe – zostało zburzone podczas działań wojennych), a było ich czworo: rodzice, tzn. siostra ojca Wojtka z mężem – Malwina i Michał Miedwiednikowie – oraz ich dwie dorosłe córki, zaproponowali nam, byśmy zamieszkali u nich; gościnny dom ma przecież ściany z gumy. Uważałam jednak, że dwojgu uciekinierów z niewoli bezpieczniej będzie na wsi. Poza tym nie wyobrażałam sobie wówczas życia bez matki. Tak więc, po trzech dniach spędzonych w Kielcach, znaleźliśmy się w Niedźwiedziu. Już całkiem spora nasza rodzinna gromadka siedziała "na karku" państwa Stępniewskich. Z tym, że choć warunki mieszkaniowe były tam wyjątkowo trudne, równocześnie dziwnie łatwe okazywało się rozwiązywanie tych trudności. Podczas poprzedniego pobytu w Niedźwiedziu miejsca było dosyć, bo pan Stępniewski uczył w szkole, czyli w pustym pałacu, i miał tam kilka sal dla siebie. W międzyczasie jednak wojska niemieckie umieściły w pałacu własowców, a nauczyciela razem ze szkołą wyrzuciły. Udało się wynająć u sąsiadów jeden pokój, w którym zamieszkała cała

siedmioosobowa rodzina z moją mamą na dokładkę. Na szczęście był też strych, podzielony powałą na dwie części. Po lewej stronie zamieszkali chłopcy, tzn. Andrzej oraz syn państwa Stępniewskich, po prawej zaś ich córka z jednym z młodszych braci. Bezpośrednio po naszym przyjeździe Wojtek znalazł sobie miejsce z chłopcami po lewej stronie, a ja dołączyłam do mieszkających po prawej.

* * *



Cały czas piszę o Wojtku jako moim mężu. Tymczasem nasza sytuacja wcale nie była taka jasna. W połowie września, w czasie Powstania, postanowiliśmy się pobrać. Wojtek w myśl przepisów wojskowych zgłosił się do naszego dowódcy, płk "Daniela" (St. Kamiński), do raportu prosząc o pozwolenie zaślubin. Właśnie w tym czasie "Daniel" dowiedział się, że w którejś kompanii odbył się taki połowy ślub, po czym młodzi zdążyli się już pokłócić czy rozejść – dokładnie nie wiem, w każdym razie źle to wyszło. "Daniel" po takim doświadczeniu orzekł, że na więcej ślubów nie pozwoli. Wojtek wrócił bardzo zmartwiony, ale ja nie zamierzałam się poddawać. Poszliśmy razem. Wytłumaczyłam pułkownikowi, że jestem dość dorosła, bym mogła rządzić sobą, a moje wykształcenie gwarantuje właściwy poziom życia przyszłej rodziny (bo te rzeczy były w wojsku brane pod uwagę). W rezultacie otrzymaliśmy zezwolenie, ale niestety o tydzień za późno. W piątek wieczorem przyszedł do nas ks. Ziaja – nasz kapelan – z dwoma świadkami: "Ludwikiem" i "Jurkowskim". Odbyła się ta część ślubu, którą zwykle załatwiano się w kruchcie kościoła, czyli kontrakt cywilny. Sakrament miał się odbyć w niedzielne południe przy ołtarzu polowym. Przy moim łóżku czekały już pięknie wy-czyszczone, błyszczące "oficerki", jeden z chłopców z kompanii szykował dla nas prawdziwe "złote" obrączki z pocisku (jedna była już gotowa, druga zaś w robocie). Niestety właśnie w tę niedzielę wczesnym rankiem Niemcy przypuścili ostateczny szturm na Mokotów. Tak więc do ślubu kościelnego nie

doszło, ale byliśmy po cywilnym, kiedy znaleźliśmy się w Niedźwiedziu i poszliśmy do tamtejszego proboszcza. Ksiądz początkowo przyjął nas dość nieufnie, ale kiedy dowiedział się, że my z Powstania Warszawskiego, z rozrzewnieniem zaczął opowiadać o czasach, kiedy był kapelanem w Legionach Piłsudskiego, po czym pomógł w załatwieniu formalności ślubnych. A ślub okazał się zupełnie niezwykajny. Chcieliśmy by był jak najskromniejszy, żeby odbył się w powszedni dzień rano, bez niepotrzebnych świadków, a zobaczyliśmy przy ołtarzu trzech księży. Okazało się, że proboszcz dobrał sobie do towarzystwa dwóch braci Janczurów – znanego mi księdza Jerzego i jego starszego brata, który właśnie wyjeżdżał do jakiejś większej parafii. W efekcie otrzymaliśmy tzw. ślub rzymski, z całą mszą i podobno z wieloma błogosławieństwami, które miały utrwalić nasze wspólne życie. (Może faktycznie miało to wpływ na dalsze nasze losy. Przeżyliśmy wspólnie w spokoju pięćdziesiąt lat, udało się nam wychować czworo własnych, zdrowych dzieci i mogliśmy pomóc w wychowaniu trzem dziewczynkom potrzebującym tej pomocy). Zaraz po ślubie spotkało nas jeszcze jedno, na owe czasy wielkie, szczęście. Oto starszy ksiądz Janczur przekazał nam w prezencie ślubnym swoje mieszkanie, które opuszczał wynosząc się z Niedźwiedzia. Był to pokój z werandą, z osobnym wejściem z większego drewnianego domu, wraz z umeblowaniem, co prawda bardzo skromnym, ale wystarczającym do zamieszkania, a dla nas – mieszkających na strychu – wprost bajkowym. Tak jakoś dziwnie się wszystko szczęśliwie układało, że bez żadnych naszych starań znalazła się bryczka z koniem, która

zawiozła nas do kościoła, a po ślubie odwiozła do nieznajomego wiejskiego domu, gdzie przygotowano przyjęcie, na którym przywitano nas jak najlepszych, wyczekiwanych gości. Takie to były dziwne czasy. Życzliwość ludzka, zupełnie bezinteresowna, zaskakiwała i wzruszała. Zaraz po tym przyjęciu zajęliśmy nasze wspaniałe mieszkanie, które bardzo dobrze służyło nam do końca wojny.

Gdy dowiedziałam się, że w Słomnikach jest miejski lekarz, zgłosiłam się do niego z prośbą, bym mogła (oczywiście jako wolontariusz) asystować mu w przyjmowaniu pacjentów. Doktor Mroszkiewicz zgodził się, a wkrótce nasza współpraca zaczęła mi nawet przynosić pewne dochody. Te osiem miesięcy pracy z dr. Kodejszką w klinice prof. Orłowskiego nauczyły mnie interny na tyle, że umiałam zebrać wywiad, zbadać klatkę piersiową i jamę brzuszną. Natomiast co do diagnozy, nie zawsze byłam pewna, a wtedy z pomocą przychodził mi dr Mroszkiewicz. Dość często zdarzało się, że do pacjenta trzeba było jechać spory kawałek, a doktor miał dość roboty na miejscu. Jechałam, badałam, wracałam z kimś z rodziny lub sąsiadów (do apteki i tak musieliby jechać do Słomnik), referowałam sprawę doktorowi i diagnozę stawialiśmy wspólnie. Za takie wyjazdy dostawałam honorarium. Niekiedy wyjazd był potrzebny po to, by obłożnie choremu zrobić dożylną iniekcję. Najczęściej przysyłano wtedy po mnie jakiś wóz lub bryczkę. Pewnej wiosny, po dość ulewnych deszczach, zdarzyło się jednak, że zamiast bryczki przyjechał chłopiec na koniu przyprowadzając drugiego konia dla mnie. Na nic się nie zdało moje tłumaczenie, że nigdy w życiu nie

siedziałam na koniu. Nie było innej możliwości. Droga rozmiękła tak, że wóz nie mógł przejechać. Chłopiec powiedział: "to tylko dwanaście kilometrów, koń poniesie przez pola i łąki, a tam pani dziedziczka czeka". Nie byłam odpowiednio ubrana – cienkie pończochy i sukienka zupełnie nie nadawały się do takiej jazdy. Wróciłam z tej eskapady pół żywa, a fioletowy kolor skóry moich dolnych kończyn dość długo świadczył o moich umiejętnościach jazdy konnej. Bywało jeszcze inaczej. Na początku grudnia około południa wyruszyłam pieszo do sąsiedniej wsi, gdzie leżał piętnastoletni chłopiec chory na gruźlicę, by mu podać dożylnie jedyny lek, jakim wówczas dysponowaliśmy, czyli *calcium gluconicum* (po prostu wapno). Droga prowadziła na drugą stronę rzeki – na wysoki jej brzeg. Gdy do niego doszłam, spotkałam czekającego na mnie ojca dziecka, mężczyznę z jedną nogą z drewnianej protezy, który przeprowadził mnie przez szereg kładek położonych na licznych rowach strzeleckich przekopanych tam w 1939 roku. Po zrobieniu zastrzyku, wyszliśmy znów z ojcem chłopca. Ponieważ zrobiło się zupełnie ciemno, trzymał mnie za rękę, a macając kijem znajdował bezpieczne kładki. W ten sposób doprowadził mnie do wysokiego brzegu, z którego widać było w dole dalekie światło. Mężczyzna wytłumaczył mi, że to świeci młyn koło mostu, więc muszę iść prosto na to światło, po czym się pożegnał. Początkowo czułam, że idę po grząskiej ziemi – chyba po kartoflisku, ale wkrótce podłoże stało się miękkie – sucha łąka, jakby z sianem. Zdziwiło mnie, że idę pod górę, ale nie trwało to długo, bo nagle usiadłam i szybko zjechałam w dół. Zatrzymałam się na dnie trzymetrowego rowu

przeciwczołgowego, tuż przy lustrze wody rzeki, podczas gdy most był co prawda obok, ale wysoko nade mną. Dość długo dreptałam nad brzegiem Szreniawy, aż w pewnym momencie zobaczyłam poruszające się na moście światło. Ktoś szedł z latarką. Na szczęście usłyszał mój krzyk, znalazł gdzieś długi drąg i z jego pomocą pomógł mi wydostać się z pułapki. W sumie ta moja wyprawa musiała jednak trwać bardzo długo, bo gdy dotarłam do domu zastałam w nim nie tylko męża, ale jeszcze kilka osób naradzających się, gdzie i jak mnie szukać.

Do tej pory uczyłam się tylko badania i leczenia internistycznego. W tajnym Uniwersytecie Warszawskim nie studiowałam przedmiotów zaliczanych do chirurgicznych, nigdy też nie brałam udziału ani nawet nie widziałam porodu. Teraz okazało się, że wiedza w tych dziedzinach była mi bardzo potrzebna. Któregoś późnego wieczoru przyszedł do nas mieszkaniec naszej wsi wzywając mnie do porodu córki. Wytłumaczyłam mu, że nie znam się na tym i że musi iść do Słomnik, gdzie jest akuszerka, która prawidłowo odbierze dziecko. Ojciec rodzącej jednak nie ustąpił. Orzekł, że jak nie przyjdę jej pomóc, to nie. Niech umiera i ona, i jej bękart. Nie wiedziałam co robić. Ostatecznie pomyślałam, że może choć psychicznie coś dziewczynie pomogę. Położnica okazała się bardzo młoda. Miała 15 lub 16 lat. Leżała wyprostowana i jęczała. Zapytałam czy boli. Powiedziała, że od kilku godzin, więc chyba powinno się już urodzić, a tu nic, tylko boli. Chcąc jej pomóc intuicyjnie skłaniałam ją do prawidłowego parcia, co jednak nie przynosiło efektu. Spróbowałam ręcznie poprzeć przez ucisk na górną część brzucha. Chyba zbyt mocno pochy-

liłam się nad położnicą, bo nagle pod naszym ciężarem załamały się deski spod siennika i wpadłyśmy obie w powstałą dziurę. Pod wpływem napięcia, a może strachu, pacjentka nagle zaczęła rodzić. Moja funkcja ograniczyła się już tylko do szybkiego umycia rąk i odebrania zdrowego, sporego chłopaka. Ojciec, a raczej już dziadek, kiedy zobaczył, że to chłopiec, roześmiał się i głośno zgodził się przyjąć do rodziny nowo narodzonego, a mnie wynagrodził garnkiem jaglanej kaszy. Gdy któregoś dnia dr Mroszkiewicz zaproponował mi pójście z nim do rodzącej, zrobiłam to z ochotą, bo jak się okazało i ta dziedzina medycyny mogła mi być potrzebna w praktyce (takie to dziwne były nasze studia).

* * *

W Niedźwiedziu przesiedzieliśmy zimę. W pierwszych dniach stycznia czuło się już, że wkrótce skończy się dla nas niemiecka "opieka", a wtedy będzie można kontynuować studia. Wybrałam się więc do Krakowa, żeby zorientować się, jak by tam można było zabezpieczyć sobie jakieś lokum. W tym celu odwiedziłam moją koleżankę – Marysię Ogiegło, z którą razem mieszkaliśmy w Poznaniu, jeszcze kiedy byliśmy na Wydziale Rolniczo-Leśnym tamtejszego uniwersytetu. Marysia miała mieszkanie na Podgórzu, przy ul. Lwowskiej. Obiecała, że jak tylko zobaczy gdzieś zwalniający się lokal, zarezerwuje go dla nas. Kiedy podobną obietnicę złożyła mi także inna koleżanka – Lala Nowkuńska, znana mi z klasy w bydgoskim gimnazjum, wsiadłam do pociągu, by wrócić do domu. Niestety pociąg zatrzymał się w Michałowicach, gdzie obsługa poinformowała nas, że wraca do Krakowa. Był to widomy znak, że Rosjanie są tuż tuż. Nie było rady. Trzeba było pieszo pokonać te 11 kilometrów. Ponieważ drogi były okryte śniegiem, a okolicy nie znałam, doszłam do wniosku, że najlepiej będzie iść wzdłuż torów. Po przejściu chyba jednego lub dwóch kilometrów spotkałam niemiecki patrol. Żandarmi wycelowali we mnie lufy swoich karabinów. Dobrze, że choć nigdy nie uczyłam się niemieckiego, mieszkając na początku wojny w Bydgoszczy poznałam kilka słów w tym języku. Teraz się bardzo przydały. Powiedziałam do Niemców, że idę do domu, który jest tuż za lasem, a w tej niespokojnej sytuacji szczególnie się cieszę, że oni tu są, bo będę się czuła

pewniej. Ta przemowa chyba poskutkowała, gdyż żandarmi mnie przepuścili. Poszłam dalej. Po pięciu lub sześciu kilometrach zobaczyłam z bliska podobny patrol, tym razem sowiecki. Nie znając rosyjskiego zwróciłam się do nich po polsku, a powiedziałam to samo co Niemcom. Zrozumieli i też mnie przepuścili. Do Niedźwiedzia dotarłam już w nocy, a żeby dojść do naszego mieszkania musiałam przejść przez całą wieś. Napotkani ludzie uprzedzili mnie, że przejścia nie ma, bo w samym środku wsi toczy się walka między wojskami rosyjskimi i własowcami zgrupowanymi w pałacu. Z tej strony wsi mieszkała moja mama z bratem, więc przenocowałam u nich. Wcześniej rano odgłosy walki ustały. Droga była wolna i można było wracać do domu. Kiedy przechodziłam koło pałacu zobaczyłam porzucane zwłoki mężczyzn. Leżeli w bieliźnie i bez butów.

Po tygodniu można już było wybrać się pieszo (pociągi jeszcze nie jeździły) do Krakowa. Poszliśmy więc z mężem te 35 kilometrów i dobrze zrobiliśmy, bo w Krakowie zwalniane przez uciekających Niemców mieszkania bardzo szybko były zajmowane przez różnych bezdomnych. Szczęśliwie Marysia Ogiegło "zabezpieczyła" niewielkie, dwupokojowe mieszkanie, co prawda bardzo skromne i bez wygód (wejście przez kuchnię, ubikacja wspólna z sąsiadami), ale dla nas wówczas ogromnie cenne, w domu na przeciwko swojego, przy ul. Lwowskiej.

Chodząc po Krakowie zauważyliśmy wielu naszych żołnierzy zwolnionych z obozów jenieckich. Mój starszy brat Julek był pilotem i – jak go ostatnio widziałam – nosił mundur

lotniczy. Zaczepiałam więc wielu wojskowych, szczególnie w takich mundurach, pytając czy nie wracają może z Woldenbergu i czy nie wiedzą czegoś o Juliszu Podgórskim. Od kilku z nich dowiedziałam się, że brat z całą pewnością poszedł za Odrę, tzn. do Aliantów, a zatem w Krakowie nie ma po co go szukać. Rozczarowani poszliśmy do Lali Nowkuńskiej. Posiedzieliśmy u niej dość długo i już prawie po ciemku szliśmy do Marysi, żeby u niej przenocować. Przez Wisłę przechodziliśmy mostem pontonowym, jako że most starowiślny został zburzony podczas walk. Po drugiej stronie mostu szedł jakiś żołnierz w mundurze lotniczym, ale już nie widziałam powodu, żeby go zatrzymać i pytać o Julka. Tymczasem to on do nas podszedł i zapytał, czy nie wiemy jak iść do Marysi Ogiegło. Chociaż było dosyć ciemno przyjrzałam się mu bliżej i rozpoznałam własnego brata. Po powitaniach zamiast do Marysi poszliśmy we trójkę do Niedźwiedzia. Trudno byłoby zliczyć łyzy szczęścia mojej mamy, gdy zobaczyła swego pierworodnego.

Julek "zabezpieczył" nasze mieszkanie w Bydgoszczy, ale trzeba było tam jak najszybciej jechać, by je zająć przed nieproszonymi gośćmi. Tak więc wkrótce mama i dwaj moi bracia opuścili Niedźwiedź i wrócili do Bydgoszczy. Ja nie miałam po co jechać z nimi, bo przecież chciałam skończyć studia, a tam uniwersytetu nie było. Udaliśmy się zatem z Wojtkiem do Krakowa, gdzie prawie natychmiast znalazłam dziekanat Wydziału Lekarskiego i spotkałam kilka koleżanek z Warszawy, a wśród nich Narękę Hartel, którą zaprosiłam do naszego "wspaniałego" mieszkania. Zapisaliśmy się na czwarty

rok (uznano, że jeden semestr tego roku zrobiliśmy w Warszawie), ale ponieważ zajęcia się jeszcze nie zaczęły któryś ze spotkanych lekarzy zaproponował, abyśmy się "zaczepiły" w szpitalu klinicznym na internie, gdzie brak lekarzy i na pewno się przydamy. Poszłyśmy razem. Dwoma oddziałami – męskim i żeńskim – opiekował się prof. Oszacki, który chętnie nas przyjął i skierował jako wolontariuszki na oddział żeński, prowadzony przez dr. Kędrę. Ja zadomowiłam się tam na dłużej i pozostałam także po śmierci prof. Oszackiego, kiedy klinikę przejął prof. Szczeklik, a Narka po krótkim czasie wyjechała do Warszawy i tam kontynuowała studia medyczne.

Mój mąż skończył podchorążówkę artylerii w Toruniu w 1939 roku i brał udział w walkach z Niemcami jako podporucznik w kampanii wrześniowej, jako partyzant leśny w Batalionie Zaniemeńskim oraz jako żołnierz Armii Krajowej w Warszawie łącznie z Powstaniem Warszawskim. O tym, żeby wstąpił do wojska organizowanego przez władze PRL-u nawet nie pomyśleliśmy. Uważaliśmy, że po okupacji niemieckiej znaleźliśmy się pod okupacją sowiecką. Mieliśmy jednak nadzieję, iż w tych warunkach da się jakoś żyć, z tym że koniecznie trzeba zdobyć zawód, czyli skończyć studia. Mąż zapisał się więc na wydział prawa, a ja teoretycznie byłam studentką ostatnich lat medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim, a faktycznie uczyłam się praktycznie interny (na wykłady nie miałam czasu). W październiku 1945 roku przyjechał do Krakowa także mój młodszy brat, który zapisał się na Politechnikę – na wydział budowlany. Byliśmy więc we trójkę, a nikt z nas formalnie nigdzie nie zarabiał. Przez pierwsze

miesiące bywało bardzo ciężko. Od czasu do czasu prof. Szczeklik, prof. Aleksandrowicz lub mój bezpośredni przełożony dr Kędra zlecali mi wykonanie dożylnych iniekcji albo pobieranie krwi do badań ich prywatnych pacjentów. Była to wówczas jedyna droga zdobycie niewielkich pieniędzy. Któregoś dnia znalazłam się jednak bez grosza, tak że nie mogłam nawet wykupić kartkowego chleba. Wróciłam zdruzgotana do domu nie wiedząc co powiedzieć moim głodnym chłopcom. Wojtek otworzył drzwi i nie dając mi dojść do słowa zaprowadził do pokoju i pokazał stojący na stole wyjątkowo duży tort. Okazało się, że przyniosła go jakaś pani, która w ten sposób chciała mi podziękować za zrobienie całej serii zastrzyków.

Domyśliłam się, że przed głodem uratowała nas jedna z pacjentek chorych na gruźlicę. W piwnicy domu, w którym mieściła się klinika chorób wewnętrznych znajdowała się bowiem poradnia przeciwgruźlicza prowadzona przez bardzo miłego starszego pana – dr. Pieniążka ze Lwowa. Któregoś dnia doktor przyszedł do nas na górę i skarżył się, że nikt mu nie pomaga, a chorych na gruźlicę jest bardzo dużo i – niestety – coraz więcej. W tej sytuacji po skończonych najważniejszych zabiegach na internie zaczęłam chodzić do dr. Pieniążka. Niewiele mogłam mu pomóc, zwłaszcza że w ogóle nie znałam się na rentgenie. Robiłam co mogłam, czyli podawałam dożylnie ciągle jedyny lek na gruźlicę, jakim dysponowaliśmy, tj. calcium gluconicum. To mi się dobrze udawało. Ofiarodawczyni tortu była więc zapewne jedną z pacjentek dr. Pieniążka. Dzięki niej przez trzy dni mieliśmy zabezpieczoną zupełnie wystarczającą dawkę kalorii. Wkrótce zaś znalazła się możli-

wość zdobywania jedzenia codziennie. Dostałam bloczek na obiady, które można było jeść w stołówce lub dostawać "na wynos". Zdecydowałam się zabierać obiady do domu, co było zdecydowanie bardziej korzystne, bo okazało się, że ilość podstawowego dania (klusek, kaszy, kartofli itp.) zależała od wielkości przyniesionego garnka. Na szczęście mieliśmy rower, na którym moi panowie zawieszali garnki i codziennie przywozili obfite posiłki, z których mogłam przygotowywać zupełnie przyzwoite dania.

We wrześniu 1946 roku urodził się nasz pierwszy syn – Tomek. Poród zaczął się 14 września, więc wydawało mi się, że dziecko przyjdzie na świat w dniu moich urodzin, tj. 15-ego. Niestety, do 17-go, pomimo wielkiego bólu, żadnego postępu nie było. Jeszcze 15-go (w niedzielę) zdecydowałam się wyjść po cichu z kliniki, aby skończyć aż trzy zaczęte serie zastrzyków dożylnych zleconych mi przez moich profesorów i odebrać należne mi pieniądze. Co prawda po drodze musiałam co kilka minut zatrzymywać się, żeby przeczekać cyklicznie pojawiające się bóle, ale jakoś się wszystko udało i wróciłam z pieniędzmi do kliniki, gdzie nikt nie zauważył mojej nieobecności. Następnego dnia ból stał się tak silny, że leżąc w półśnie miałam wrażenie, iż mam nad sobą gilotynę, której ostrze co pewien czas spada na mnie, po czym się znowu podnosi, dając krótką chwilę wytchnienia. Wieczorem przyszedł docent Stępowski (?) – kierownik kliniki – i poinformował mnie, że jeśli do rana nie urodzę, zrobi mi, wówczas rzadko wykonywane, cesarskie cięcie. Nad ranem zjawiała się, zapowiadana przez dyżurną, młodziutką położną, "prawdziwa

akuszerka", która miała zakończyć mój poród. Ta stwierdziła, że płód nie ustawia się do wyjścia, a główka ciągle balotuje. Wzięła czysty korcang na długiej szyjce i przebiła nim słabo naginający się pęcherz. Po dwudziestu minutach zobaczyłam mojego pierworodnego, a obok niego dwa małe, wielkości dłoni, łożyska. (Czyżby miały być trojaczki?) Rano docent pokazywał to "dziwo" studentom, a ja uniknęłam operacji.

Z moich obliczeń wynikało, że Tomek urodził się o dwa tygodnie za wcześnie. Nie byłam więc przygotowana, to znaczy nie miałam dla niego ani pieluszek ani ubranek. Moja mama przysłała mi z Bydgoszczy puchowy, pokryty czerwonym inletem "becik" i napisała, że szyje na niego pokrowiec oraz koszulki i pieluszki, które przywiezie do Krakowa w przewidywanym terminie narodzin wnuka. Tymczasem miałam tylko uszyty przeze mnie na prędcie przed pójściem do szpitala pokrowiec, na który zużyłam jakiś stary, wyglądający na brudny materiał. Kiedy po porodzie położna zażądała pieluch i ubranek, nie miałam jej czego dać. Nie wiem w co przez pierwsze dni zawijano moje dziecko, ale już wkrótce odwiedziły mnie siostry-szarytki z naszego oddziału i przyniosły piękne, pełne falbanek i kokardek wykrochmalone pokrowce na ten nieszczęsny becik oraz kilka koszulek, z których część skądś z dawnych lat wyciągnął prof. Szczeklik. Siostry bardzo użalały się nade mną, jako panią doktor z Łazarza i w efekcie to moje biedne łazarskie dziecko mogło wrócić do domu ubrane iście po książęcemu.

W dzień po moim porodzie na sąsiednie łóżko przywieziono następną położnicę. Była nią moja koleżanka z klasy w

bydgoskim gimnazjum, z którą los łączył nas już kilkakrotnie. Obie zdawałyśmy w 1937 roku w Poznaniu na medycynę i nie przyjęte z braku miejsc zdecydowałyśmy się przez rok studiować rolnictwo, a po ponownych egzaminach wstępnych w roku 1938 dostałyśmy się obie na upragniony kierunek studiów. W roku 1942 spotkałyśmy się przypadkowo na ulicy w Warszawie, gdzie zgłosiłyśmy się do Szkoły Zaorskiego i byłyśmy we wspólnej grupie Tajnego Uniwersytetu Warszawskiego. Zgubiłyśmy się w okresie Powstania. Teraz okazało się, że niemal równocześnie wyszłyśmy za mąż (dawna Wanda Kalnikówna nazywała się obecnie Pleszyńska) i znowu byłyśmy razem. Leżałyśmy, każda z nowo narodzonym synem, w krakowskim szpitalu Św. Łazarza.

1-go stycznia 1946 roku przyjęliśmy "emigrantów" zza Bugu: siostrę Wojtkę – Lucję Markowską – z mężem i dwójką dzieci oraz ciotką (starsza pani wróciła z Syberii z odbitym okiem). Razem z nimi przybyła przyjaciółka szwagierki, też z mężem i dwojgiem dzieci. Najdalszy pokój oddaliśmy gościom, z tym że zostały tylko kobiety i dzieci, bo mężczyźni wkrótce wyjechali na ziemie odzyskane w poszukiwaniu pracy i mieszkania. Moja mama, widząc takie zagęszczenie, wyjechała do Bydgoszczy, a nasz trzymiesięczny Tomek zaczął gorączkować i dostał rozwolnienia. Ja niestety normalnie pracowałam, jako że w tym czasie nie było zwyczaju udzielania urlopu matkom karmiącym. Choć usiłowałam karmić dziecko naturalnie, to nie wystarczało. Poszłam więc z nim do pani doktor, która już kilka razy widziała Tomka zdrowego. Była to bardzo miła osoba, zasłużona w obozie oświęcimskim, a dla mnie szczegól-

nie sympatyczna (m.in. nie brała za wizyty, ponieważ wiedziała, że jestem studentką i że byłam w Powstaniu Warszawskim). Pani doktor zbadała dziecko i stwierdziła, że nie jest odwodnione ani ciężko chore. Zleciła powszechnie wówczas, kiedy o dożylnych kroplówkach jeszcze nikt nie słyszał, stosowane lekarstwa, czyli bizmut, tonwalbinę i ewentualnie węgiel. Niestety po kilku dniach nastąpiło pogorszenie. W tym samym czasie ciotka męża wysoko zagorączkowała i zaczęła mocniej niż dotąd kaszeć. Do tej pory jej kaszel nie bardzo mnie martwił, bo tłumaczyłam go paleniem "papierosów" robionych z gazety i machorki (proponowanych przeze mnie normalnych papierosów nie przyjmowała). Gorączka jednak mnie przestraszyła, więc zaprowadziłam ją do dr. Pieniązka. Choć – jak wspomniałam – słabo znałam się na zdjęciach rentgenowskich, tym razem doskonale rozpoznałam rozpadową, jamistą postać gruźlicy płuc. Niewątpliwie ciocia mocno prątkowała, a w domu było czworo dzieci i niemowlę (wtedy w Krakowie nie było jeszcze mowy o szczepieniach BCG). Bez dłuższego namysłu zaprowadziłam ją do szpitala przeciwgruźliczego na Prądniku. Tłok był tam straszny. Dowiedziałam się, że żadnych miejsc nie ma, ale nie dałam za wygraną. Kiedy opowiedziałam o kilkorgu dzieci żyjących w ciągłym zagrożeniu, udało się ciotkę w szpitalu umieścić, przy czym uzyskałam obietnicę, że możliwie szybko zostanie ona przeniesiona do jakiegoś sanatorium (po kilku miesiącach dowiedziałam się, że zmarła w sanatorium w Karpaczu).

* * *

Gdy w czerwcu 1946 roku dostawałam absolutorium, a mąż zdał wszystkie egzaminy wymagane po drugim roku studiów, doszliśmy do wniosku, że trzeba poszukać lepszego miejsca do życia, a przynajmniej jakiegoś lepszego mieszkania. Śladem naszych gości zza Buga mąż udał się więc "na Zachód", gdzie po dwóch tygodniach znalazł pracę jako kierownik administracyjny kopalni bazaltu w Węglińcu, a dom z ogrodem w niedalekim Gryfowie Śląskim – dwadzieścia kilometrów za Jelenią Górą. Co prawda trzeba było trochę poczekać, bo dom był przez jakiś czas zajęty przez wojsko rosyjskie, więc mąż musiał nająć kogoś, kto by wyniósł wszelkie nieczystości, których – zwłaszcza w wannach – było pełno. Dopiero później zabrał się do bielenia ścian i czyszczenia podłóg. Na koniec w Urzędzie Likwidacyjnym, w którym sprzedawano meble zbierane z mieszkań pozostawionych przez odjeżdżających Niemców, kupił podstawowe wyposażenie jadalni, sypialnię, łóżeczko dla dziecka itp. Gdy wreszcie przywiózł nas, tzn. moją mamę i mnie z Tomkiem, mieszkanie na pierwszym piętrze było względnie dobrze urządzone (było nawet radio). Bardzo szybko rozpakowaliśmy nasz skromny dobytek i po kilku dniach zostawiliśmy moją niezastąpioną mamę z dzieckiem, a sami wróciliśmy do Krakowa.

Ja byłam już po absolutorium, ale przed otrzymaniem dyplomu musiałam jeszcze zdać jedenaście egzaminów. Wojtek miał ich w tej sesji cztery. Dość szybko uporaliśmy się z tym wszystkim i na lato byliśmy z powrotem w Gryfowie. Dopiero

wówczas dowiedzieliśmy się, że Tomek przez trzy tygodnie ciężko chorował. Leczyła go mieszkająca tam jeszcze niemiec-ka lekarka-pediatra, która rozpoznała zapalenie płuc. Mama nie dawała nam znać, żeby nie przeszkadzać w nauce. Dopiero po naszym powrocie znalazła się pomoc domowa. Była nią Agnieszka, bardzo sympatyczna Polka-autochtonka, zaręczona z równie sympatycznym pracownikiem "Superfosfatu". Agnieszka - "Gaga", jak nazwał ją dość wcześnie zaczynający mówić Tomek - zamieszkała w tym samym domu co my (na drugim piętrze).

W kilka dni po moim przyjeździe z Krakowa zostałam wezwana przez burmistrza miasta, który zaproponował mi pracę lekarza w kilku agendach Gryfowa. Gdy mu tłumaczyłam, że nie mam jeszcze dyplomu lekarza, odrzekł, że go to wcale nie obchodzi, że nie ma nikogo na miejsce wyjeżdżających lekarzy niemieckich, a ktoś musi się zająć szpitalem (55 łóżek), przychodnią i żłobkiem "Caritasu" dla niemowląt. Poinformował mnie też, że w Rynku mieszka niemiecki lekarz, stary pan, który też pakuje rzeczy i wyjeżdża, więc mogłabym zająć jego mieszkanie z tym wszystkim, co w nim zostawi, a wydaje się, że warto. Odpowiedziałam, że już mam dobre mieszkanie z ogródkiem, ale poszłam zobaczyć, co mi zachwala pan burmistrz. Faktycznie było co oglądać. Wrażenie robiła już klatka schodowa - drewniane, błyszczące schody wyłożone czerwonym suknem i poręcze z grubego sznura trzymanego na, chyba mosiężnych, "lwich łapach". Prawie zaraz wyszedł na moje spotkanie bardzo starszy pan, grzecznie się przywitał i zapytał, czy jestem tym lekarzem, który ma tu pracować. Gdy

przytaknęłam, poprosił bym poszła za nim, a pokaże mi co trzeba. Weszliśmy do dość dużego pokoju, który służył za poczekalnię dla chorych. Dalej do gabinetu lekarskiego, z niego do małego korytarzyka, po czym do laboratorium analitycznego, a może i bakteriologicznego za razem, oraz do pomieszczenia, gdzie znajdował się aparat rtg. Było więc wszystko, co powinno być w porządnym gabinecie lekarskim, a ja odniosłam dziwne wrażenie, że trafiłam do doktora Kocha. Gospodarz zaprosił mnie następnie na pierwsze piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie prywatne wyglądające jak prawdziwe muzeum: sala jadalna z dwoma kredensami wypełnionymi po brzegi ceramiką oraz dwiema szafami bibliotecznymi pełnymi pięknie oprawnych książek; na przeciwko szklane drzwi, za którymi obłana słońcem palmiarnia – ogród pełen bardzo pięknych okazów drzew i innej roślinności. Doktor wskazał na książki i powiedział: to moje królestwo, a ten ogród to dziedzina mojej żony. Czy pani kocha kwiaty? Odpowiedziałam, że tak, ale nie mam zamiaru zabierać panu tego wszystkiego. Mam już mieszkanie i ogród też. Starszy pan się trochę zdziwił, bo był przekonany, że przyszłam po to, żeby przejąć jego dobytek. Rozumiałam jego uczucia. Tyle razy byłam wypędzana z domu, a w Powstaniu Warszawskim straciłam wszystko, co miałam. Nie. Nie wyobrażałam sobie, że to właśnie ja miałabym wypędzić z domu takiego "Kocha". Poza tym faktycznie mieliśmy już gdzie mieszkać. Nie było tam takich bogactw, ale dla nas było to wystarczające. Podziękowałam więc doktorowi za fatygę (zbyt słabo znałam język niemiecki, żeby mu to jakoś ładniej powiedzieć) i wy-

szałam. Niedługo potem (chyba dwa lub trzy miesiące) przyjechał do Gryfowa polski lekarz, dr Małachowski. Był to już trochę starszy pan, który choć pracował jako lekarz przez całą wojnę, dyplom zrobił dopiero niedawno. Objął on opuszczone mieszkanie wraz z całym dobytkiem, a że miał dwie córki (jedna studiowała medycynę, a druga stomatologię) mógł je obdarowywać różnymi zgromadzonymi tam dobrami.

Tymczasem musiałam się zająć faktycznie wszystkim: szpitalem, w którym na szczęście nie było oddziału dziecięcego, bo tej specjalizacji jeszcze nie zaczęłam się uczyć, przychodnią miejską i nieszczęsnym "żłobkiem". Wyjeżdżająca lekarka-Niemka, która zajmowała się tym, co określano jako żłobek, podjęła się przekazania mi tej placówki. Wyglądało to w ten sposób, że pokazując po kolei leżące w jednej sali niemowlęta stwierdzała: to, jak pani widzi, już umiera, następne umrze za kilka godzin lub może jutro, a któreś tam ma szansę przetrzymać trochę dłużej. Wszystkie mają toksyczną biegunkę i są odwodnione, a leków na to nie mamy. W osobnym pokoju na jedynym łóżku zobaczyłam dziecko chyba ośmio- lub dziewięciomiesięczne. Pod łóżkiem stała miska, do której przez dziurawy materac leciały niemal bez przerwy odchody ciężko chorego, nie przewijanego już nawet malucha. Dziecko miało wyraźnie dużą, "kwadratową" głowę, a na niej wręcz podręcznikowe "kaktusy". Gdy dotknęłam czaszki, miałam wrażenie, że jest zbudowana z tektury, a nie z kości. Byłam w wielkim kłopotcie, bo nie wiedziałam, jak leczyć takie przypadki. Niemiecka lekarka w nic mnie nie wprowadziła,

zresztą przy mojej znajomości niemieckiego, a jej polskiego, pewnie bym niczego nie zrozumiała.

Ze szpitalem poszło mi jakoś łatwiej, pewnie dlatego, że z interną miałam już więcej kontaktów. Niestety nie umiałam wypisywać recept, jako że nie zdawałam jeszcze farmakologii, a praca w klinice nie wymagała ode mnie wielkich wiadomości – leki podawały siostry, a ja pisałam przede wszystkim historie choroby. Żadnego prawdziwego podręcznika nie miałam, a zapytać się też nie było kogo. Jedyłą moją pomoc stanowił "Kalendarz lekarski na rok 1946", w którym cała medycyna zawarta była na kilkunastu stronach. Na moje szczęście aptekę prowadził bardzo sympatyczny fachowiec, który poprawiał moje recepty i pouczał, że np. piramidon i amidopiryna, wypisane przeze mnie jako składniki lekarstwa, są tym samym lekiem. Cieszyłam się, że mogę pomóc akuszerkom (były dwie pracujące na zmianę) w kłopotach położniczych, bowiem przed wyjazdem do Gryfowa odrobiłam trzymiesięczny staż w klinice położniczo-ginekologicznej. Położnictwo bardzo mi się podobało i miałam ochotę w przyszłości w tym się specjalizować, ale ginekologia wręcz odrzuciła mnie od siebie – może nie tyle samym przedmiotem, ile sposobem prowadzenia poradni ginekologicznych, w których w owych czasach liczyły się pieniądze, a nie chora kobieta. Co prawda aborcja była oficjalnie zakazana, ale sama słyszałam pytanie lekarza po stwierdzeniu ciąży: "czy pani usuwa czy chce rodzić?" Wahającej się kobiecie dawano kartkę z adresem prywatnego gabinetu na wypadek, gdyby się namyśliła. W tym samym okresie zgłosiła się do ginekologa młoda dziewczyna, salowa ze szpitala, z

płaczem, by jej pomóc, bo nie chciałyby robić kłopotu mającemu rodzinę lekarzowi, a do "ojców" w górach ciężarna nie mogła wracać. Ten sam doktor, który pytał mnie, czy chcę usunąć ciążę, tym razem się oburzył, bo przecież pieniędzy od salowej nie mógł się spodziewać, i powołując się na obowiązujący w Polsce zakaz aborcji oraz wyludnienie kraju, odmówił jej zabiegu. Pewnie myślał, że każąc dziewczynie rodzić spełnił patriotyczny obowiązek.

W gryfowskim szpitalu przydały mi się umiejętności, jakie nabyłam wcześniej uczestnicząc i asystując przy zabiegach położniczych. Były to czasy, gdy cesarskie cięcie robiło się bardzo rzadko, a częściej stosowano zabiegi ręczne, np. przy położeniu poprzecznym ręką w macicy obracano płód do położenia pośladkowego i dziecko rodziło się nóżkami przy pomocy lekarza. Do takich zabiegów byłam przygotowana, ale niestety poziom akuszerki nie był wystarczająco wysoki i zdarzały się przypadki wręcz katastrofalne.

Ponieważ byłam jedynym lekarzem, pełniłam stały dyżur nocny. W razie potrzeby przychodził do naszego domu dozorca szpitala (oddalonego od nas o 3 km), budził mnie i wzywał, żebym szybko szła do nagłego przypadku. Zdarzyło się, że przy porodzie z ułożeniem poprzecznym akuszerka dopuściła do wypadnięcia rączki i dopiero po upływie pół godziny kazała mnie wezwać. Gdy przyszłam, rączka była bardzo gruba, więc nie było innej możliwej interwencji, jak tylko jej amputacja i wyjęcie płodu po przepołowieniu. Do dziś mam w oczach ten straszny obraz. Były to jednak czasy, gdy pacjentki nie miały

w takich przypadkach żadnych pretensji, a matka cieszyła się, że wyszła z opresji żywa.

Dużej chirurgii nie przyjmowaliśmy, bo nie byłam do niej przygotowana i nie miałam pielęgniarki, która mogłaby pełnić funkcję instrumentariuszki. W rzeczywistości tylko jedna osoba – przełożona szpitala ("lewa" żona pana starosty) – nosiła biały czepek z czarnym paskiem i chwaliła się, że skończyła w Warszawie jakąś szkołę, którą określała jako "Szkoła Miss Bridge" (co prawda nie słyszałam o takiej szkole ani wtedy ani później, choć się o nią rozpytywałam). Czy umiałaby być pielęgniarką, nie miałam okazji sprawdzić. Za to przekonałam się, że bardzo często miewała "ataki wątrobowe" doskonale leczące się iniekcją morfiny. Prawdziwą pielęgniarką, umiejacą zrobić opatrunek, oczyścić ropień, zrobić zastrzyk domięśniowy i dożylny, była przyuczona przez Niemców autochtonka, która od dawna pracowała w tym szpitalu.

Okazało się, że najwięcej mogłam pomóc dzieciom ze wspomnianego "żłobka". Co prawda nie miałam przygotowania pediatrycznego, ale mój nieoceniony "kalendarz" zawierał kilka stron poświęconych chorobom dzieci: biegunce toksycznej, zapaleniu płuc i atrofii (wyniszczeniu). Szczęśliwie miałam też kilka stron wskazówek spisanych ręką prof. Chwalibogowskiego dla mnie, kiedy byłam u niego z moim kilkumiesięcznym, chorym na biegunkę synem. Z nich wiedziałam, jaka powinna być dieta i rutynowe leczenie przy tej chorobie. Pozwoliło mi to "wyciągnąć" więcej niż połowę niemowląt ze stanu przedagonalnego.

Zaczynałam pracę o 6 rano od wizyty w tym "żłobku", a głównym moim celem była walka z odwodnieniem niemowląt. Kroplówek się wówczas nie robiło, ale słyszałam o nawadnianiu za pomocą iniekcji soli fizjologicznej, a więcej jeszcze glukozy 5% podskórną. Przy tak dużym odwodnieniu niemowlęta miały zbyt "dużą" skórę, która dość szybko wchłaniała tę wodę. Zdarzały się jednak, u skarajnie wyniszczonych dzieci, takie przypadki, że "woda" zostawała pod skórą czas dłuższy i podlegała ropnym infekcjom. Taka poduszka pełna ropy wymagała oczyszczenia czyli nacięcia, ale najczęściej zainfekowanego i wycieńczonego niemowlęcia nie można już było uratować. Żeby jakoś pomóc tym dzieciom pobierałam sobie po kilka cm³ krwi z żyły (moja grupa krwi została wówczas określona jako "0 rh-", a więc nadawała się dla wszystkich) i podawałam im domięśniowo. Wydawało mi się, że to był dobry pomysł, bo po takiej iniekcji na ogół stan dziecka się poprawiał. Gdy zajrzałam do kuchni, gdzie kobiety, które można by określić jako nieprzygotowane wolontariuszki (pielęgniarek ani nikogo przeszkolonego nie było) szykowały mieszankę mleczną dla najmłodszych niemowląt, zobaczyłam całą baterię jednolitrówek (po occie) napełnionych czymś po brzegi. Dowiedziałam się od "kucharek", że to kleik na mące razowej, bo innej nie dostały, ale pszennej z dodatkiem mleka; w jakiej proporcji, wyjaśnić mi nie umiały. Skosztowałam. Było to słodkie, mdłe, ale mleka nie wyczułam. Pewnie mało go dostały, a i swoje dzieci musiały czymś nakarmić. Kiedy dziwiłam się, że porcje są tak duże (aż litr), dowiedziałam się, że maluchy są ciągle głodne i wypityby jeszcze więcej. A

jednak w tych warunkach, czym się najbardziej cieszyłam, oprócz niektórych niemowląt, przeżył i po roku mojego pobytu w Gryfowie już całkiem dobrze biegał zupełnie ładny, z kręconymi jasnymi włoskami na tej "kaktusowatej" głowie wspomniany chłopczyk, którego już nawet przestano przewijać.

Niestety ciągle jeszcze miałam przed sobą kilka egzaminów dyplomowych i gdy już dr Małachowski rozwinął wyraźnie swoją działalność, postanowiłam jechać do Krakowa, by je pozdawać. W Gryfowie został mąż z moją matką i synkiem, który miał już prawie dwa lata. Dla niego prawdę powiedziawszy moja nieobecność nie była niczym nowym. Kiedyś, gdy – jak zwykle około szóstej wieczorem – wróciłam z pracy, zatrzymałam się w drzwiach domu, bo usłyszałam rozmowę Tomka z jakąś nieznaną kobietą, która zapytała go: "kto ty jesteś?", a chłopczyk na to: "baby syn" (moja mama, która zajmowała się dzieckiem, miała zwyczaj mówić do niego synku). Na pytanie: "a gdzie mama?", Tomek spojrzał na drzwi, zobaczył mnie i powiedział: "a to ta pani". Ano cóż. Tyle było pracy, że dziecko tak widziało swoją matkę.

Wyjechałam do Krakowa spodziewając się drugiego dziecka. Ponieważ czułam, że brak mi przeszkolenia chirurgicznego, poszłam do prof. Nowickiego z prośbą, by wziął mnie na staż. Profesor nie lubił kobiet-chirurgów, więc bardzo się wzbraniał, ale przekonałam go, że pracując "w terenie" szczególnie potrzebuje większych umiejętności w tej dziedzinie. Popatrzył na mnie uważnie, po czym powiedział: "dobrze, ale tylko pod warunkiem, że tworzy pani mężczyznę". Ja właśnie miałam nadzieję, że tym razem będzie córka, ale – jak się

okazało – pan profesor był silniejszy. Z Krakowa wróciłam z Maciusiem.

Po powrocie spotkała mnie duża przykrość. W "żłobku" nie zobaczyłam małego blondaska (imienia nie pamiętam), którego ozdrowieniem tak się cieszyłam. Okazało się, że podczas mojej nieobecności dziecko dostało biegunki i jakoś nie umiano go uratować. Były jednak również radosne chwile. Przyjemność sprawił nam np. czteroletni, niedawno przyjęty chłopiec, o którym było wiadomo, że nie mówi, a chyba nawet nie słyszy. Kiedy weszłam dość cicho do sali, nie zauważył mnie. Siedział na parapecie i patrzył na ulicę. Zobaczył woźnicę, który mocno świszcząc batem starał się skłonić konia do większego wysiłku. Przejęty malec podskoczył, uderzył rączką w szybę aż zadźwięczała i krzyknął: "koń, jedź, wio, wio!" Umilkł, gdy mnie zobaczył, ale od tej pory można go było skłonić do mówienia, a wkrótce całkiem się rozgadał, a i słyszał bardzo dobrze.

Dr Małachowski wprowadził się – jak wspomniałam – do domu po starym lekarzu – Niemcu. Do tego mieszkania należała też duża sala balowa. Miała szklany dach, po bokach dwa małe pokoje (garderoby?), podłogę ułożoną z czarno-białych klepek. W tej sali państwo Małachowscy urządzali zabawy zapraszając także nas. Świetnie się tam tańczyło, a przyjęcia były doskonałe. Zdarzyło się jednak, że któregoś dnia w czasie Bożego Narodzenia, gdy w zabawie brały udział obie córki pana doktora, jeden z zięciów – lekarz-chirurg oraz my, gospodarz domu miał dyżur pod telefonem. Późnym wieczorem, już po kolacji, telefon wezwał lekarza na oddział położni-

czy, bo zaczął się poród, a nie było dobrego "ciągu". Pan doktor poprosił zięcia, by go zastąpił, ale ten odpowiedział, że może iść razem dla opieki, bo to noc, ale na położnictwie się nie zna. Wiedziałam, że doktor trochę wypił, więc – ponieważ ja nigdy nie piłam – ofiarowałam też swoją pomoc. Okazało się, że poród był twarzyczkowy, a zatem parcie matki musiało być bezskuteczne. Przerazenie nas ogarnęło, gdy na brzuchu kobiety pojawił się pierścień graniczny, co znaczyło, że za chwilę może pęknąć macica. Trzeba było jak najprędzej rozwiązać ten poród, a ja niestety wiedziałam jak. Podałam doktorowi cranioclast i powiedziałam, żeby włożył do ust dziecka i je wymóździł. Doktor posłusznie włożył do ust to straszne urządzenie, jakoś je popchnął i prędko wyjął nie dochodząc do czaszki, po czym odszedł od pacjentki. Postanowiłam sprawdzić, co zrobił. Włożyłam rękę do ust dziecka, znalazłam jakąś dziurę, w którą włożyłam palce, znalazłam i przesunęłam szczęki tak, że mogłam wyjąć główkę, a za nią całego, nie dającego znaku życia noworodka. Szybko zawinęłam go w jakąś serwetę i położyłam na parapet okna, które było tuż koło łóżka. W tym momencie matka zaczęła gwałtownie krwawić. Całą trójką, a właściwie czwórką (z akuszerką) zajęliśmy się położnicą i dopiero chyba po pół godzinie zajrzałam do dziecka, pewna, że nie żyje. Jakież było moje zdziwienie i radość, kiedy zobaczyłam, że oddycha, choć jest bardzo zimne (był spory mróz na dworze i na parapecie też musiało być zimno). Obejrzałam je i stwierdziłam, że ma przebitą dziurę pod dolną szczęką, za którą je wyjęłam. Dziura została zaszyta z dwóch stron, dziecko wykąpane i ogrzane.

Następnego dnia przystawione do piersi matki smakowicie ssało, a po kilku dniach wraz z mamą opuściło szpital. Dało mi to ogromną satysfakcję i przyniosło ulgę, tym większą, że ciągle pamiętałam ten poród, podczas którego musiałam przecinać dziecko.

Szczerze mówiąc moja mama nie miała na razie zamiaru nas opuszczać, choć Julek i Andrzej, obaj mieszkający w Bydgoszczy w przedwojennym mieszkaniu rodziców, namawiali ją, aby wróciła do swego domu. Późną jesienią więc, gdy już przestałam karmić Maćka piersią, pojechałam znowu do Krakowa, zabrałam się poważnie do nauki i wreszcie w lutym 1949 roku otrzymałam dyplom lekarski. Dopiero wówczas mogłam zostać zatrudniona na etacie lekarza, a nie – jak dotąd – laborantki (chyba dlatego otrzymywałam pensję laborantki, że zorganizowałam w szpitalu bardzo skromne, ale niezbędnie potrzebne laboratorium, w zasadzie analityczne, z tym że prątki gruźlicy rozpoznawałam pod mikroskopem). Prawdopodobnie tego nie dopilnowałam, bo gdy zbierałam zaświadczenia z pracy do emerytury okazało się, że w Gryfowie Śląskim nie ma żadnej dokumentacji mojego zatrudnienia. Ludzie ponoć jednak pamiętają i wspominają życzliwie. W każdym razie tak słyszałam od osób, które mają dom pod Gryfowem, choć na stałe mieszkają we Wrocławiu.

* * *

Tak się złożyło, że w 1949 roku swoje prawnicze studia ukończył także mój mąż. Zdawało się, że możemy swobodnie się poruszać. Wojtek tęsknił do swoich (kresowych) stron i ludzi, a tych więcej można było spotkać na północnych ziemiach odzyskanych, ja zaś chciałam się dalej uczyć, więc wypadało poszukać większego ośrodka. Słyszałam, że są takie w Olsztynie. Postanowiliśmy zatem wybrać się na drugi koniec Polski.

Pojechałam do Wrocławia, by od lekarza wojewódzkiego – jak zdaniem miejscowego burmistrza należało – dostać zwolnienie z pracy. Lekarz wojewódzki jeszcze co prawda o mnie nie słyszał, ale gdy się dowiedział gdzie pracuję, poinformował mnie, że jestem przypisana do ziemi i nie ma żadnego znaczenia to, że przyjechałam tam dobrowolnie, bez nakazu pracy; o wydaniu pozwolenia na wyjazd mowy nie ma. Użyłam więc małego fortelu i powiedziałam mu, że nie mam zamiaru się rozwodzić, a mój mąż znalazł już pracę w województwie olsztyńskim. Na takie dictum urzędnik przystał na wyrażenie zgody na mój wyjazd, pod warunkiem jednak, że dostarczę zaświadczenie o pracy męża. Nie było rady. Mąż pojechał i przywiózł z jakiegoś zakładu pracy w Giżycku odpowiednie zaświadczenie.

Zanim zdecydowaliśmy się, gdzie zamieszkamy, latem 1949 roku udałam się z Julkiem, który miał samochód, do Olsztyna do tamtejszego lekarza wojewódzkiego – dr. Zaszto-wta, żeby dowiedzieć się, jakie ośrodki najbardziej potrzebują

lekarzy. Okazało się, że najtrudniejsza sytuacja była w Morągu. Dyrektor przebywał na urlopie, a zastępujący go dr Wacław Babicki na moje oświadczenie, że chcę się specjalizować w pediatrii, odpowiedział krótko: "tu nie ma pediatrii". Powiedziałam więc, że może kiedyś będzie, a ja tymczasem mogłabym pracować jako asystentka na internie. Na co usłyszałam: "ja prowadzę internę i poradnię ogólną, gdzie dzieci też czasem przyjmuję, bo pediatrii nie ma, ale daję sobie radę i asystenta nie potrzebuję; zresztą każdy oddział jest zabezpieczony, ordynatorzy są".

Skoro nie byłam w Morągu potrzebna, pojechaliśmy dalej i dotarliśmy do Kętrzyna. Tam p. dyrektor przyjął mnie bardzo miło, obiecał na razie pracę na oddziale wewnętrznym, a ja – co przyznaję ze wstydem – podpisałam nawet wstępną umowę i wróciłam do domu. Po miesiącu czy dwóch sprawą przenosin zajął się mąż. Pojechał jeszcze dalej za Kętrzym – do Giżycka, gdzie rozmawiał z dyrektorem szpitala i dowiedział się, że co prawda nie ma tam oddziału dziecięcego, ale poradnię prowadzą pediatrizy dr Bolesław Żabko-Potopowicz i dr Maria Hryniewicz-Klasse, od których mogłabym się czegoś nauczyć. Dyrektor obiecał też ładne duże mieszkanie, odremontowane przez byłego starostę, który właśnie ma je opuścić. Dla siebie Wojtek znalazł pracę w jakimś PGR-ze.

Zaczęliśmy się pakować. Żeby móc zabrać wykupione w Urzędzie Likwidacyjnym meble, musieliśmy otrzymać pozwolenie od miejscowego urzędu MO, gdzie zażądano zaświadczenia z Ministerstwa Zdrowia, że zostaje służbowo przeniesiona do pracy w innej części Polski. Jakoś szczęśliwie w Depar-

tamencie Matki i Dziecka załatwiono mnie życzliwie, ale tylko dlatego, że Olsztyńskie było też ziemią odzyskaną – w przypadku przeprowadzki do "starej Polski", takiego zezwolenia bym nie dostała. Wreszcie w październiku 1949 roku przenieśliśmy się całą gromadką (z mamą, Tomkiem, Maćkiem i trzecim dzieckiem w niedalekiej przyszłości, oraz z Sabą – dużym, pięknym owczarkiem) do nowego życia.

Gdy powiedziałam dyrektorowi szpitala w Giżycku, dr. Janowi Lipińskiemu, iż życzę sobie pracować w pediatrii, odpowiedział, że jak zorganizuje oddział dziecięcy, będę mogła w nim pracować, a tymczasem mogę być asystentką dr. Jana Juchniewicza na internie. Bardzo mnie to urzędało, więc wzięłam się do roboty i przy wydajnej pomocy wszystkich mających coś do powiedzenia stopniowo powstawał oddział. Najpierw z wielkim żalem dr Juchniewicz opuścił swoje miejsce i przeniósł się do mniej oświetlonej części szpitala, by dzieciom było jaśniej. Potem zrobiono remont i część sal podzielono na boksy, oszklono ściany i zamówiono odpowiednie meble. Tymczasem dr Juchniewicz oddał mi do dyspozycji dwie salki, a w każdej cztery duże łóżka, bo małych jeszcze nie było. Przyjmowałam więc na oddział dzieci razem z matkami, które równocześnie musiały pełnić rolę pielęgniarek – opiekunek do przewijania i karmienia, bo zawodowa pielęgniarka była tylko dochodząca z interny (ona wydawała lekarstwa i trochę pouczała matki). To rozwiązanie nie całkiem zdawało egzamin. Przed południem, gdy mogłam kontrolować co się dzieje, było jeszcze niezłe: matki mnie słuchały, siedziały przy leżących w łóżkach dzieciach, karmiły piersią lub tym, co przyniosła z

kuchni mlecznej pielęgniarka, pomagały w kąpieli dzieci, otwierały na moje życzenie okna. Po południu jednak, kiedy przyjmował lekarz dyżurujący z któregoś oddziału, matki rządziły się same. Bywało, że przyjęte niemowlę z zapaleniem płuc znajdowałam wieczorem w łóżku obok matki śpiącej w kompletnym ubraniu. Dziecko ściśle zawinięte ledwo oddychało (słyszałam tylko ciche stękanie). Już z daleka rozpoznawałam, że stan jest bardzo ciężki, a tu duszno (siekiere można powiesić), bo matki pozamykały szczelnie okna, "żeby się dzieci nie przeziębily". W następnej sali matka przewijająca niemowlę płacze: "już było lepiej i znów ma ostrą biegunkę z wymiotami". Pytam czy karmiła zgodnie ze zleceniem wyłącznie piersią i dowiaduję się, że miała mało pokarmu, więc dokarmiła mlekiem z kaszą, które dostała na kolację.

Po tych doświadczeniach zaraz nazajutrz postanowiłam odseparować dzieci od matek i podawać je tylko do karmienia piersią. Pośrodku jednej dużej sali łóżka (ciągle duże) ustawiliśmy złączone ze sobą, a pielęgniarka cały czas siedziała koło maluszków i pilnowała, żeby nie spadły. Równocześnie z kilku sal, jakie otrzymałam zaczęliśmy tworzyć oddział dziecięcy. Ponieważ miałam zbyt małe doświadczenie w budowaniu oddziału, zwróciłam się o pomoc do dr Hrynkiewicz-Klasse, pani starszej ode mnie o kilka lat, która – jak mi powiedziała – przez dwa lata pracowała w Wilnie przy prof. Jasińskim. Razem udało nam się dość szybko przygotować wszystko co najbardziej niezbędne i już 1-go lipca 1950 roku zaczęliśmy przyjmować dzieci: starsze – do czystych, jasnych, względnie dobrze wyposażonych sal, a niemowlęta do boksów przedzie-

lanych szklanymi ścianami. Siostra oddziałowa – na razie z oddziału wewnętrznego – miała dość dobre ogólnopielęgniarskie wykształcenie i bardzo mi pomogła. Ordynatorem została dr Hrynkiewicz–Klasse, a ja byłam jej asystentką i uczennicą pediatrii. Muszę przyznać, że niestety niewiele udało mi się skorzystać z wiedzy pani ordynator, która bardzo często źle się czuła, aż wreszcie poważnie rozchorowała się na serce, tak że musiałam dawać sobie radę sama; jedynie w leczeniu starszych dzieci na szczęście pomagał mi dr Juchniewicz.

Oprócz oddziału dziecięcego, który prowadziłam podczas choroby ordynatorki (ostatni rok, tj. część roku 1951 i pierwszy kwartał roku następnego, kiedy dr Hrynkiewicz–Klasse po przebytym zawale prawie nie uczestniczyła w pracy), miałam pod opieką oddział noworodków i oddział ogólny zakaźny. Najtrudniejszy był dla mnie ten ostatni. 30 łóżek zajmowały dzieci chore na dyfteryt, ciężką szkarlatynę i odrę, czasem też ciężką postać krztuśca, rzadziej ciężkie przypadki ospy wietrznej (te raczej u starszych dzieci i młodzieży). Była tam też mała salka z osobnym wejściem, którą zajmował chory na prątkującą gruźlicę ojciec wielodzietnej rodziny. W tym czasie praktycznie nie mieliśmy żadnego prawdziwego leku na gruźlicę, więc mężczyzna leczył się sam – sadłem zajęczym lub w ostateczności psim, dostarczanym mu przez rodzinę. Szczęśliwie dla mnie oficjalnie tym pacjentem zajmował się nasz internista.

Zgodnie z zarządzeniem dr Hrynkiewicz–Klasse zabiegi chirurgiczne, takie jak np. nakłucie łądźwiowe i tracheotomie, wykonywał chirurg, ale zdarzyło się, że dostałam któregoś

wieczoru dziecko duszące się z powodu błonicy krtani i uznałam, iż niezbędne jest natychmiastowe wykonanie tracheotomii. Dyżur miał wówczas młody stażysta, Ryszard Semler, który – jak to było w zwyczaju – zadzwonił do naszego ordynatora chirurgii, dr. Zygmunta Krassowskiego i poprosił, aby przyszedł wykonać zabieg. Ten bardzo miły człowiek, normalnie nie odmawiający pomocy w podobnych przypadkach, odrzekł, że właśnie wrócił ze szpitala po ciężkiej wieczornej operacji i jest bardzo zmęczony. Poradził stażyście, żeby zadzwonił do mnie – "macie przecież ordynator, niech więc sama to zrobi". Co prawda tytułu ordynatora nie miałam (daleko mi było do specjalisty pediatrii), ale faktycznie rolę tę pełniłam. Wykonywania tracheotomii nigdy nie widziałam, nie miałam też – podobnie jak kolega Semler – podręcznika chirurgii, który mógłby mi pomóc chociaż teoretycznie. Zajrzałam więc znowu do mojego jedyne go poradnika – "Kalendarza lekarskiego na rok 1946" – i wyczytałam, że u dzieci robi się tracheotomię dolną; to było wszystko na ten temat. Trudno, nie miałam wyjścia. Zadzwoniłam do pielęgniarki chirurgicznej, aby wzięła niezbędne instrumenty, po czym z tzw. duszą na ramieniu zaczęłam szukać owego dolnego punktu. Znalazłam go i włożyłam rurkę, a dziecko natychmiast odetchnęło. Tak się złożyło, że surowica zadziałała dostatecznie, by zapobiec groźnej toksemii, więc po kilku dniach małe mogło pójść do domu. Byłam bardzo zadowolona z siebie i od tej pory wszelkie drobne zabiegi, łącznie z nakłuciem lędźwiowym, wykonywałam sama.

Muszę przyznać, że dziś trudno mi sobie wyobrazić, jak można było w ciągu dnia robić tak wiele różnych rzeczy. W tym czasie etat lekarza wynosił 12 godzin (od 8-ej do 20-tej), dyżur w szpitalu trwał od 14-tej do 8-ej rano dnia następnego (1-2 razy w tygodniu); równocześnie w tych samych godzinach pełniło się dyżur w Pogotowiu Ratunkowym. Praktycznie to było tak: do godz. 13-ej praca na oddziale i w izbie przyjęć na swój oddział, potem kwadrans na bardzo skromny, ale dający się zjeść, szpitalny obiad, następnie przyjęcia w poradni – dla dzieci chorych codziennie, dla zdrowych 2 razy w tygodniu. Po zajęciach w poradni otrzymywałam auto z kierowcą i załatwiałam wizyty domowe u chorych dzieci dookoła Giżycka i w samym mieście, a wieczorem szłam do szpitala na obchód, przy czym jeśli miałam dyżur musiałam obejrzeć wszystkich chorych (szpital miał 350 zwykle zajętych łóżek) i pomóc, gdy się któremuś z nich pogorszyło. W przypadku czegoś groźnego wzywałam ordynatora odpowiedniego oddziału (jeśli sprawa była chirurgiczna – asystenta, bo tylko ten oddział miał drugiego lekarza). Do skrobanek nie miałam prawa wzywać ordynatora – wykonywałam je sama, a było ich dużo (na każdym dyżurze kilka), przy czym wszystkie pacjentki przychodziły do szpitala z krwawieniem, już po odejściu płodu. Nie wnikałam dlaczego było poronienie. I tak wiedziałam, co mi kobieta odpowie (upadła, przeciążyła się itp.). Raz mi się zdarzyło, że włożona łyżka natychmiast została mi "wyrwana z ręki" i gdzieś bardzo miękko poleciała. Jeszcze nie wiedziałam co to zaśniad groniasty, ale zaraz wezwałam dr. Kusto. Oczywiście przyszedł i z miejsca kazał mi szykować salę operacyjną, a

podczas zabiegu miałam okazję dobrze się przyjrzeć, jak ten zaściad wygląda. Trochę trudniej było, gdy miałam razem dyżur w Pogotowiu Ratunkowym. Rano przywożono pacjentów do szpitala i każdy lekarz oddziałowy zajmował się swoimi, ale po południu, w czasie gdy byłam w poradni pogotowie podjeżdżało do mnie, meldowało, że jedzie do wezwania, po czym przywoziło pacjenta pod poradnię, a ja musiałam przeprosić matki czekające na przyjęcie kolejnego dziecka, zejść do karetki, zbadać chorego i dać zlecenie przyjęcia do szpitala z zaleceniami dla pielęgniarki odpowiedniego oddziału, albo zapisać recepty i zlecić odwiezienie pacjenta do domu. W początkach lat pięćdziesiątych dokumentacje lekarskie "nie były w modzie". Gdy wprowadzono obowiązek pisania prawidłowych historii chorób, narzekaliśmy, że biurokracja zabiera nam czas. W Giżycku rzeczywiście zupełnie go nie było. Historii chorób nie pisaliśmy wcale. Na karcie gorączkowej wpisywaliśmy zlecane lekarstwa, na marginesie krótkie, ważne uwagi wynikłe z badania (badań nie zanedbywaliśmy). Operujący chirurg, poza kartą gorączkową, która zwykle wisiła na łóżku (było na niej także rozpoznanie, zwykle pierwsze, postawione przy przyjęciu, poprawiane później przez lekarza leczącego) miał do zapisania książkę operacyjną. Zdarzyło się, że ordynator chirurgii, który któregoś dnia miał kilka operacji, przyjął pacjenta z rozpoznaniem przepukliny pachwinowej lewostronnej. Na stole operacyjnym okazało się, że przepuklina jest obustronna, ale prawostronna wymaga pilniejszej interwencji, więc ją zoperował zostawiając lewostronną na później. Z pośpiechu, a może i ze zmęczenia nie wyjaśnił w książce

operacyjnej dlaczego zmienił rozpoznanie i zabieg, a na karcie gorączkowej pozostało rozpoznanie przepukliny lewostronnej. Po pewnym czasie pacjent zorientował się, że ma nadal dawno rozpoznaną dolegliwość. Rana pooperacyjna po stronie prawej wydała mu się świadectwem błędu niedbałego lekarza. Podał go więc do sądu. Wrażliwy i ambitny lekarz załamał się i (to już wiem z opowiadania, bo w tym czasie nie było już mnie w Giżycku) zrzekł się ordynatury, a nawet zmienił specjalizację i wyjechał – ku wielkiemu żalowi personelu szpitala i mieszkańców – z miasta.

Zima w 1951 roku była dość mroźna, a któregoś dnia kaloryfery na oddziale dziecięcym przestały działać. Robiło się coraz zimniej i dzieci zaczęły marznąć, więc uznałam, że trzeba poszukać cieplejszego miejsca. Okazało się, że piętro wyżej jest lokal, który co prawda nie bardzo odpowiada potrzebom oddziału, ale jest ciepły. Prędko przenieśliśmy łóżeczka z dziećmi i wydawało mi się, że podjęłam słuszną decyzję, bo jakże pozwolić, żeby dzieci marzły. Przez pierwsze dni rzeczywiście było przyjemnie, ale już po tygodniu okazało się, że ciasnota i nadmiar ciepła nie sprzyjają leczeniu, zwłaszcza zaburzeń dróg oddechowych. Szczęściem dla moich dzieci przyjechała do Giżycka dyrektor Departamentu Matki i Dziecka Ministerstwa Zdrowia. Zrobiła trochę szumu w naszej dyrekcji, że coś zbyt wolno przebiega remont urządzeń grzewczych, obejrzała oddział i stwierdziła, że jest źle, dużo gorzej niż gdybyśmy byli w swoim lokalu. Orzekła, że mniej złego zrobi szczególnie chorym dzieciom niedograny oddział niż przegrzany. Miała absolutną rację. Dobrze to zrozumiałam,

gdy wróciliśmy na stare pielesze. Choć temperatura w salach wynosiła najwyżej 14–16° dzieci ożywiły się i szybko zaczęły wracać do zdrowia. Od tej pory wszędzie, gdzie pracowałam, zwracałam bacznie uwagę, by na salach były termometry i pokazywały odpowiednią temperaturę, by okna otwierały się lekko i by personel nauczył się, że świeże chłodne, mające dość tlenu, powietrze jest podstawą w leczeniu dzieci w ogóle, a przy zapaleniach dróg oddechowych w szczególności.

Choć nasza praca w szpitalu była z pewnością ciężka, nie odczuwaliśmy tego, bo wówczas tak pracowali wszyscy. Dla mnie większą trudność niż obowiązki szpitalne (poznane w ciągu kilku lat pracy w krakowskiej klinice, która była dobrą szkołą) sprawiała samodzielna praca w specjalistycznej poradni dziecięcej. Z dziećmi chorymi jakoś sobie radziłam, ale przychodni dla dzieci zdrowych bardzo się bałam, bo przecież nigdy nie byłam w klinice pediatrycznej i nie słuchałam wykładów z pediatrii (w tym czasie pracowałam przy dorosłych). Nawet egzamin dyplomowy z pediatrii zdałam przede wszystkim dlatego, że pytania były bardziej z chorób dzieci starszych. W poradni zaś miałam mieć do czynienia ze zdrowymi niemowlętami, których matkom powinnam radzić, jak je chować i karmić, a o tym wiedziałam bardzo mało. Na szczęście przełożoną przychodni była bardzo dojrzała, starsza pielęgniarka, która wiele lat pracowała w Wilnie razem ze swoim mężem–pediatrą. Doktor Bolesław Żabko–Potopowicz właśnie w tych dniach, gdy zamieszkałam w Giżycku, wyszedł ze szpitala po leczeniu wylewu do mózgu. Odszukałam go i chciałam, by mnie trochę poduczył o czym i jak mam rozma-

wiać z matkami niemowląt. Niestety szybko się zorientowałam, że nic z tego. Pan doktor z trudem się wysławiał i właściwie nie miał mi nic do powiedzenia. Szczęśliwie jego żona, przeżyła siostra "Żabcia", jak ją nazywaliśmy, potrafiła mi wszystko wytłumaczyć zamiast męża. Znała doskonale i matki i dzieci. Zrobiła najpierw pogadankę do wszystkich kobiet na temat żywienia niemowląt, a następnie przed wezwaniem matki do gabinetu opowiadała mi dość dużo o jej dziecku i dodawała np. takie słowa: "mój mąż widząc taką zbyt miękką kość głowy i zbyt duże ciemienie rozpoznawał krzywicę i dawał większe dawki witaminy D3, nakazując równocześnie częstsze wynoszenie dziecka z domu".

Przy każdym dziecku stopniowo uczyłam się od niej pediatrii, tak że po roku pracy w Giżycku byłam już trochę zorientowana i w profilaktyce, i w leczeniu dzieci. W tym czasie dr Hrynkiewicz-Klasse poważniej zachorowała i z tego powodu zrezygnowała z dyrektorstwa przychodni. Uznała, że ja – jako najmłodsza – mam najwięcej siły, więc zleciła mi zastępstwo. Na szczęście personel przychodni, na czele z przełożoną – siostrą Żabko-Potopowicz – i kierownikiem administracyjnym – p. Sitkowskim, obiecał solennie wszelką pomoc i odciążanie mnie w obowiązkach w ramach swoich sił i umiejętności. Szczególnie trudne były dla mnie sprawy finansowe, w tym na przykład preliminarz wydatków na następny rok. Jakoś sobie jednak z tym wszystkim dałam radę i przez rok, kiedy pełniłam zaszczytną funkcję dyrektora przychodni, nic specjalnie złego się nie wydarzyło.

W tym samym roku żona dr. Krassowskiego – dyplomowana pielęgniarka – zorganizowała Szkołę Pielęgniarską. Jako jej kierownik zwróciła się do mnie, abym prowadziła wykłady z pediatrii dla dziewcząt po szkole podstawowej. Próbowałam odmówić, ale jak tu było się przyznać, że przecież sama dobrze nie znam tego przedmiotu. Na szczęście właśnie wróciłam z dwumiesięcznego kursu zorganizowanego dla takich jak ja początkujących pediatrów przez prof. Wilkoszewskiego w Wojewódzkim Szpitalu Dziecięcym w Bydgoszczy. Uznałam, że notatki z tego kursu mogą służyć za podręcznik i zgodziłam się przyjąć propozycję kierowniczką Szkoły Pielęgniarskiej. Okazało się, że ucząc przyszłe pielęgniarki sama układałam sobie w głowie wszystko to, co usłyszałam na kursie, więc korzyść była obopólna.

Kiedy nie miałam dyżurów w szpitalu czy pogotowiu niekiedy pacjenci przychodzili do mnie prywatnie. Zdarzyło się, że wezwano mnie wiosną 1950 roku do domu dwóch bliźniąt, niedawno wypisanych z oddziału noworodkowego. Wizyta miała miejsce późnym wieczorem, prawie w nocy. Niemowlęta wyglądały bardzo mizernie. Matka nie miała pokarmu, więc otrzymywały mieszankę zalecaną wówczas takim maluchom – 2/3 wody i 1/3 mleka krowiego. Niestety obydwie niemowlęta wymiotowały to natychmiast, podobnie jak podawaną czystą wodę. Mimo tego nie były bardzo odwodnione. W tym czasie nie zakładaliśmy jeszcze kroplówek dożylnych (nauczyłam się tego dopiero w Bydgoszczy w roku 1951), a zabierać dzieci na oddział nie chciałam, bo poza torsjami nie miały żadnych innych dolegliwości. Chyba przed dwoma

miesiącami urodziłam najmłodszego, trzeciego syna – Wojtka – i karmiłam go piersią. Prawie bez namysłu przyłożyłam bliźniaczki do piersi chcąc sprawdzić, czy w ogóle będą ssać. Okazało się, że przypięły się wspaniale i po nakarmieniu spokojnie zasnęły. Nie potrzebowały żadnych leków, tylko prawidłowego jedzenia. Przy poradni miałam kuchnię mleczną, z której matki dostawały mieszanki mleczne i mleko ściągane od kobiet rodzących w naszym oddziale (nazywanym wówczas noworodkowo–dziecięcym), który też znajdował się pod moją opieką. Zleciłam matce bliźniaków pójście następnego dnia rano do kuchni mlecznej po mleko kobiecie i spokojnie wróciłam do domu. Zawsze lubiłam długo spać, więc bardzo byłam niezadowolona i zdziwiona, gdy o 5³⁰ ktoś zadzwonił do moich drzwi. Otworzyłam i zobaczyłam dwie kobiety trzymające dwa "bety" z dziećmi. Powiedziały: "Przyszłyśmy na śniadanie, bo kuchnia mleczna jeszcze zamknięta". Cóż było robić. Mój Wojtuś jeszcze spokojnie spał, więc nakarmiłam maluchy po raz drugi. To już im wystarczyło – dalej piły swoje porcje z kuchni mlecznej.

* * *

W roku 1952, gdy oddział dziecięcy w szpitalu pracował już dość dobrze, a dr Semler uprawiał się w pediatrii, przyjechał do Giżycka dr Zasztowt – kierownik Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia. Zaproponował mi przeniesienie do Morąga, bo tam nie było w ogóle pediatrii, ani oddziału ani poradni. Perspektywa przeprowadzki mnie nie zachwycała. W Giżycku było mi dobrze. Mieliśmy ładne pięciopokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze z ogródkiem tuż koło jeziora Niegocińskiego, bardzo blisko szpitala i niedaleko od dworca kolejowego. Było nam wygodnie. Argumentem przeważającym okazały się problemy z pracą męża. Wojtek pracując na Dolnym Śląsku w kopalni bazaltu w połowie 1949 roku pojechał do Wrocławia dla załatwienia jakichś spraw służbowych. Zamieszkał w hotelu. W nocy został pomyłkowo aresztowany przez funkcjonariuszy UB, którzy poszukiwali kogoś o podobnym nazwisku. Przez kilka tygodni wożono go do różnych miast, gdzie przeprowadzano konfrontacje, aż wreszcie ustalono, że co prawda nie był osobą poszukiwaną, ale też był przestępcą, bo należał do A.K. i brał udział w Powstaniu Warszawskim. Wypuszczono go, ale do domu – oprócz tysięcy wszy – przywiózł wiadomość, że został wpisany do jakiejś księgi z zaznaczeniem, że nie ma prawa do pracy. Faktycznie, po przyjeździe do Giżycka mąż złożył dokładnie trzynaście podań z prośbą o zatrudnienie go jako prawnika. W pierwszej chwili przyjmowany był z aplauzem, ale po trzech dniach okazywało się, że brak etatu. Dr Zasztowt obiecał postarać się,

aby mój mąż otrzymał w Morągu jakąś odpowiednią pracę. To mnie skusiło.

Już w początkach 1952 roku pojechałam do Morąga – do tego miasta, do którego "zapukałam" na samym początku objazdu Warmii i Mazur, aby dowiedzieć się, że nie jestem potrzebna, bo każdy oddział ma już ordynatora, a oddziału dziecięcego nie ma i nie będzie, jako że nie jest niezbędny. Jak to sytuacje tworzą obraz człowieka. Wtedy dr Babicki wydał mi się taki ograniczony, a gdy zamieszkałam w Morągu i poznałam go bliżej, zaprzyjaźniliśmy się; był nie tylko bardzo sympatyczny, ale i bardzo kulturalny, myślący i rozsądny.

W Morągu okazało się, że na oddział dziecięcy przeznaczono sale na trzecim piętrze, przy czym można było przeprowadzić remont, jakiego sobie życzyłam. Tym razem miałam już trochę doświadczenia, a lokal nadawał się do utworzenia prawdziwych boksów dla niemowląt, całkowicie przeszklonych, z łatwo się otwierającymi oknami. Dla dzieci starszych też wystarczyło miejsca. Tylko to trzecie piętro było męczące i dla matek – szczególnie dochodzących do karmienia piersią – i dla personelu. Wraz z siostrą oddziałową – Janką Witkowską – urządziłyśmy oddział jak własne mieszkanie. Niestety meble były wręcz antyczne. Łóżeczka znaleziono gdzieś na strychu – ponemieckie, trochę ogólnie "rozklekotane" i co gorsza bez siatek bocznych. Wpadłam na pomysł i zaprosiłam moją matkę, by przyjechała z Giżycka, gdzie na razie została jeszcze moja rodzina. Kupiłam odpowiedni sznurek i poprosiłam, by zrobiła te siatki, a umiała to zrobić bardzo dobrze. Dwa tygodnie zajęła jej ta praca. Tymczasem my z siostrą oddziałową przybi-

jałyśmy linoleum na podłodze i malowałyśmy stare szafki przyłózkowe na biało. Już w lutym 1952 roku zmuszone byłyśmy przyjąć trochę dzieci, ale oficjalne otwarcie, z udziałem kierownika Przychodni Matki i Dziecka w Olsztynie – dr. Mroza – nastąpiło 7 marca, w wigilię Dnia Kobiet.

Wydawało nam się, że oddział jest dość piękny by nas pochwalić. Znalazły się obrazki dziecięce na ścianach, półeczki z ręcznie robionymi serwetkami pod doniczkami z kwiatami, dolatywał jeszcze zapach świeżo malowanych mebli. Tymczasem dr Mróz, który miał za sobą już nieco więcej niż dwadzieścia lat pracy i doświadczenia, "zgasił" mnie zupełnie. Odrzucił na kilku łóžeczkach prześcieradła i zobaczył plamy na niczym ponadto niepokrytych materacach. Spojrzał uważnie na te materace i na mnie, po czym powiedział: "te kwiatuszki i serwetki to jak koronki do kozucha". Zrozumiałam. Bardzo prędko po tej uroczystości, choć to nie było wówczas łatwe, zdobyłam ceratę, którą pokryłyśmy materace, uprzednio oddane do pralni.

Gdy tylko uporałam się z oddziałem, poszłam do burmistrza w sprawie lokalu na poradnię dziecięcą i mieszkanie dla mojej rodziny (na razie miałam do dyspozycji jeden pokój i całkowicie pochłonięta pracą w Morągu cieszyłam się, że mój mąż, nie mogąc pracować, wspañiale opiekuje się synami; lepszego guwernera dla nich z pewnością bym nie znalazła). Burmistrz obiecał mi, że z czteropokojowego mieszkania w domu usytuowanym bardzo blisko szpitala usunie ciagle się kłócących lokatorów i wkrótce będę mogła sprowadzić rodzinę. Jeżeli chodzi o poradnię, to mogę sobie obejrzeć miasto i

poszukać odpowiedniego lokalu. Podał mi kilka adresów, gdzie znalazłam lokale zupełnie nie odpowiadające potrzebom poradni dziecięcej. Szukałam więc dalej i po paru dniach doszłam do ogrodzonego wzgórza, na którym wśród wysokiej trawy stał budynek o trzech wejściach. Przy głównym zauważyłam tablicę z napisem: "Wydział Oświaty". Weszłam, znalazłam kierownika i przedstawiłam się. Kierownik powitał mnie radośnie, ciesząc się, że wreszcie będzie w Morągu pediatra dla szkół. Chętnie skorzystałam z jego zaproszenia na kawę. Po miłej pogawędce zaproponowałam obejrzenie całego domu. Zostałam więc po nim oprowadzona, a kiedy zegnałam się pochwaliłam, że lokal jest dobrze utrzymany i świetnie nadaje się na poradnię dla dzieci. To zaskoczyło pana kierownika, który uznał moje słowa za żart. Już następnego dnia zameldowałam burmistrzowi, że trzeba przenieść Wydział Oświaty w inne odpowiednie miejsce, a mnie dać robotników, którzy dokonają niezbędnych przeróbek, bo przecież osobno musi być poradnia dla dzieci zdrowych, osobno dla chorych, z których trzeba wydzielić szczególnie zaraźliwe (płonica, odra, błonica, krztusiec, ospa wietrzna itp.) i umieścić je w izolatkach z osobnym wejściem. Pan burmistrz zrozumiał, trochę się zadumał i obiecał pomyśleć na ten temat.

Okazało się, że dość dobrze myślał, bo po dwóch tygodniach mogłam już dyrygować, gdzie postawić ścianki działowe. Do pracy w poradni przyszła bardzo młoda "dziewczynka" – Czesia Popowska – świeżo upieczona pielęgniarka i małżonka. Było to młodziutkie dziewczę, ale bystre i sprytne. Szybko się zorientowała, że dziecko zdrowe, zwłaszcza niemowlę, nie

może przebywać razem z chorymi, bo się zarazi, a także iż wśród przychodzących dzieci chorych mogą się znajdować groźnie zaraźliwe. Szczepienia ochronne jeszcze wówczas w modę nie weszły i nawet BCG, wydawałoby się tak bardzo potrzebne przy szerzącej się gruźlicy, było postrachem dla przeciętnej matki. Panowało przekonanie, że ropnie skóry, panujące wówczas u niemowląt wręcz epidemicznie, są wywołane właśnie przez szczepienia noworodków. Zdarzało się, że ojciec w nocy, przystawiając drabinę do okna, wykradał matkę z dzieckiem tuż przed szczepieniem, albo niesumienne i łasa na pieniądze położna wpisywała do karty dziecka, że było szczepione, choć w istocie szczepienia zaniechała. Wszystko to pochodziło stąd, że otrzymywaliśmy wówczas szczepionkę (brazylijską?) bardzo skuteczną, ale niestety powodującą tak zwany becegitis, to jest stan zapalny węzłów chłonnych, które wydzielają specyficzną serową ropę, zupełnie niepodobną do ropy rozsianych po skórze ropni gronkowcowych, ale na tym trzeba było choć trochę się znać, a tymczasem ówczesni lekarze często nie zauważali tej różnicy. W Morażu przeszkodę we wprowadzaniu szczepień stanowił dodatkowo kierownik Wydziału Zdrowia, felczer, który twierdził, że wszystkiemu winne są właśnie szczepienia. Niestety początkowo, gdy BCG podawaliśmy doustnie, zdarzały się zapalenia ramienia – węzłów pachowych, przy czym nie było to wcale przyjemne, gdyż węzeł – niezależnie czy sam pękł, czy też nacięty – po opróżnieniu nie łatwo się goił. Słusznie więc po pewnym czasie szczepionkę zmieniono (na szwedzką?), po której tych kło-

potów nie było, Do przeprowadzania szczepień przeciw innym chorobom było nam jednak wówczas jeszcze daleko.

Na szczęście felczera na stanowisku kierownika Wydziału Zdrowia zastąpił wkrótce nauczyciel, człowiek dużo lepiej myślący. Mogłam spokojnie prowadzić oddział dziecięcy i noworodkowy (ciągle jeszcze razem), choć nie było to łatwe, bo nie miałam żadnego lekarza do pomocy. Moją "prawą i lewą ręką" była pani Janka Witkowska – siostra oddziałowa. Do godziny 13-tej przyjmowałam chore dzieci sama, po południu – gdy załatwiałam poradnię D i D1 – przyjmował lekarz dyżurujący ogólnie, wieczorem robiłam ponowny obchód i wtedy ewentualnie zmieniałam sposób leczenia. Wówczas już u niemowląt odwodnionych zakładałam kroplówkę dożylną, ale tylko 1/2 – 1/2 soli fizjologicznej z glukozą 5%, albo 1/3 soli – 2/3 glukozy lub odwrotnie, w zależności od stopnia odwodnienia. Nie robiliśmy jeszcze badań jonogramm ani kroplówek celowanych. Wyniki leczenia biegunek szczęśliwie jednak nie były najgorsze, choć bardzo często zdarzały się zakażenia ropne uszu, które nierzadko doprowadzały do sepsy z wymiotami i wyniszczeniem. Laryngologa na miejscu nie mieliśmy, więc dzieci z problemami usznymi bez pewnych objawów przesyłane były do Olsztyna, gdzie często rozpoznawane było zapalenie ucha środkowego i przeprowadzano operację – autrotomię. Zdarzało się, że po takiej operacji dziecko prędzej wracało do zdrowia, nie stanowiło to jednak reguły i śmiertelność w tych przypadkach była też bardzo duża.

Od 1 lipca 1952 roku dr Henryka Doerffer, lekarz z Gdańska – ordynator oddziału dziecięcego Szpitala Powszechnego, jako konsultant wojewódzki, razem z dr. Edwardem Mrozem – kierownikiem Wojewódzkiej Przychodni Matki i Dziecka w Olsztynie, organizowała "szkolenia mrągowskie" celem podniesienia poziomu leczenia dziecięcego w regionie. W tym czasie w województwie olsztyńskim istniały tylko trzy powiatowe oddziały dziecięce: w Giżycku, Morągu i Mrągowie. W pozostałych powiatach planowano zorganizowanie takich oddziałów, ale brakowało pediatrów. Tym bardziej szkolenie było tam bardzo potrzebne. Raz w miesiącu zjeżdżaliśmy się w sobotę rano i od godziny 9-tej do wieczora, z przerwą na obiad, wysłuchiwalismy referatów jakiegoś wybranego przez dr Doerffer profesora lub jego asystentów na określony temat. Pani doktor umiała znaleźć odpowiedniego profesora celującego w danym temacie. Wieczorem w dni ciepłe i pogodne zabieralismy kolację nad jezioro lub do lasu, a w dni zimne i słotne bawilismy się w świetlicy szpitalnej. Spalilismy na strychu szpitala, ale przedtem było w zwyczaju spędzać czas w sypialni dr Doerffer na pogaduszkach. Wtedy to uzyskiwalismy rady w różnych trudnych sprawach lekarza terenowego, który na codzien zdany był tylko na własne siły. Pani doktor, jak matka, karcila, chwaila i doradzała, a po kazdym takim spotkaniu wracalismy znacznie pewniejsi, z przyjemnym uczuciem, ze juz cos z tej pediatrii umiemy. Czulismy sie jak dzuzyna zolnierzy w czasie trudnej wojny, ktora otrzymala nowy zapas naboju do karabinow. Szkolenie to trwalo dziesiec lat, podczas ktorych dr Doerffer podpisala 32 specjalizacje

z pediatrii. Jej pomoc dla lekarzy zajmujących się wówczas leczeniem dzieci była nieoceniona. Dr Mróz, bardzo czynny i doskonały organizator, zapewniał jej warunki do uzyskiwania tak świetnych rezultatów.

W szpitalu miałam bardzo dobrą atmosferę, szczególnie w dyrektora – dr. Włodzimierzu Chacewiczu – czułam opiekuna. Zdarzyła się jednak pewnego razu ostra scysja. Do kroplówek używaliśmy bardzo prymitywnych aparatów do wielokrotnego stosowania. Sterylizowane służyły one dość długo, ale gumowe węże i szklane, cienkie zbiorniczki łatwo się niszczyły. Któregoś wieczoru okazało się, że nie ma w oddziale ani jednego sprawnego aparatu, a właśnie zostało przyjęte niemowlę ze znacznym odwodnieniem. Poleciałam pielęgniarce, aby poszukała i pożyczyła aparat na którymś z pozostałych oddziałów. Jedyny – awaryjny – znalazł się na oddziale chirurgicznym, ale tamtejsza pielęgniarka nie chciała go pożyczyć. W tej sytuacji poszłam na chirurgię sama i wzięłam aparat "na własną odpowiedzialność", po czym mój pacjent otrzymał konieczne nawodnienie. Ponieważ nie były to leki w płynach celowane, kroplówka musiała spływać bardzo długo, gdyż zdarzało się, iż po odstawieniu zbyt szybko podanej kroplówki niemowlę wkrótce traciło nabrany płyn. Rano znalazłam niemowlę w dość dobrym stanie. Zaczęło pić, przestało wymiotować. Zleciłam odjęcie aparatu i oddanie do sterylizacji, aby zwrócić go oddziałowi chirurgicznemu. Zanim jednak do tego doszło, zostałam wezwana przez dyrektora Chacewicza, który równocześnie był ordynatorem chirurgii. Poszłam domyślając się o co chodzi. Nie spodziewałam się

jednak, że zastanę dr. Chacewicza tak z mojego powodu zdenerwowanego, iż w pierwszej chwili nawet nie będę mogła go przeprosić za zabranie aparatu. Ostatecznie wypowiedziałam sakramentalne słowo przepraszam, ale zaraz potem naskoczyłam na niego, że to on jako dyrektor ponosi odpowiedzialność za to, że nie mam w oddziale niezbędnego sprzętu.

Niedługo burza się uspokoiła i wróciła między nami dobra komitywa. Nieco gorzej było z naszymi władzami politycznymi. Miejscowi władcy uważali, że na ich skinienie wszyscy natychmiast winni robić to, czego żądają. Bywało, że ktoś dzwonił do szpitala: "tu partia, lekarz – zależnie od potrzeby, internista czy pediatra – winien zjawić się pod podanym adresem". Taki właśnie telefon odebrałam w pewne niedzielne południe (ponieważ w tym czasie nie miałam jeszcze asystenta, co niedzielę, właśnie w tych godzinach, robiłam obchód oddziału). Na moje pytanie, co tak bardzo pilnego dzieje się w tym domu, dowiedziałam się, że małe dziecko ma najpewniej ciężkie zapalenie płuc, bo się dusi. Oczywiście poszłam do tego chorego i znalazłam trzyletniego chłopczyka biegającego po łóżeczku, w którym matka starała się go zatrzymać. Oddech miał lekko przyspieszony, ale absolutnie bez duszności. Na pytanie, dlaczego tak nieprawdziwie został przedstawiony stan dziecka, matka odpowiedziała, że wybiera się z wizytą, więc chciała, żeby najpierw lekarz obejrzał jej syna. Zbadałam dziecko i stwierdziłam lekką infekcję gardła z mierną gorączką, którą zresztą miało już w poprzednich dniach. Zwróciłam matce uwagę, że powinna była przyjść z synkiem do poradni, gdzie jest właściwe miejsce na leczenie

tego rodzaju chorób, na co usłyszałam: "pracuję w partii, więc należy mi się lepsza, domowa opieka lekarska". Wkrótce potem spotkała mnie druga podobna przygoda. Mój oddział mieścił się na trzecim piętrze, a izba przyjęć na parterze. Przyjmowanie chorych dzieci do szpitala należało do mnie, ponieważ nadal byłam bez asystenta. Kiedy otrzymywałam wezwanie do izby przyjęć, najczęściej przerywałam obchód oddziału i schodziłam na dół. To bardzo przeszkadzało w pracy, ale nie było na to rady. Któregoś dnia przyszedł do mnie na oddział – właśnie w połowie obchodu – polityczny dyrektor szpitala z prośbą, bym zeszła do izby przyjęć, bo tam czeka z ciężko chorym dzieckiem jego przyjaciel. Oczywiście szybko pobiegłam, a zaraz po wejściu do izby zobaczyłam roczne dziecko, bardzo blade, spokojne, na oko nie wykazujące żadnych ostrych objawów choroby. Gdy zapytałam matkę, jaki mają problem, usłyszałam od ojca dziecka, że "właśnie żona traci pokarm i nie wie czym ma nadal karmić". Zdenerwowałam się, ale starając się tego nie okazywać, normalnie zbadałam dziecko. Stwierdziłam znaczną krzywicę i anemię, ale na razie nic ponadto, więc powiedziałam rodzicom, że na leczenie tego dziecka nie mam tutaj czasu, bo w oddziale jest trzydzieści ciężko chorych, natomiast zapraszam za kilka godzin do poradni, gdzie będę mogła się nim zająć. Już otworzyłam drzwi, by wyjść, gdy usłyszałam bardzo głośny, mocny głos ojca: "pani nie wie, z kim pani rozmawia!" Rzeczywiście nie wiedziałam, więc tak też mu odpowiedziałam dodając, iż dla mnie jest on wyłącznie ojcem mojego pacjenta. Kiedy powiedział, że jest 1-ym sekretarzem partii, dorzuciłam

jeszcze, iż w tej chwili nie ma to dla mnie znaczenia, powtórzyłam, żeby przyszli do mnie do poradni dla dzieci, po czym wyszłam. Po dwóch dniach burmistrz miasta zaprosił mnie do siebie, gdzie ze zdziwieniem dowiedziałam się, że jestem bardzo niewdzięczna; on tak mi pomaga, wystarał się o mieszkanie, które mi się podobało, dostałam dom na poradnię dla dzieci, który chciałam, a ja dopuściłam się takiego antypaństwowego wystąpienia. Kiedy wyjaśniłam sprawę pan burmistrz powiedział, że mi wierzy, ale nie jest spokojny o stosunek do tego zajścia naszych władz z Warszawy, bo ten pan wysłał tam swoją opinię na mój temat. W szpitalu przyszedł do mnie nasz polityczny dyrektor (skądinąd bardzo sympatyczny człowiek, z wykształcenia nauczyciel) z przeprosinami i tłumaczeniem, że ten jego przyjaciel oszukał go mówiąc, iż stan dziecka jest bardzo ciężki i prawdopodobnie niezbędne będzie przyjęcie go do szpitala. Obiecał, że napisze do władz warszawskich wyjaśnienie. Wydawało się, że sprawa przestała być groźna. Dłuższy czas była cisza, aż po kilku tygodniach dostałam telefon, bym się natychmiast stawiała w "Białym Domku" (tak nazywaliśmy naszą powiatową siedzibę partii). Kiedy opuszczałam oddział koledzy żegnali mnie prosząc, abym przekazała jakoś gdzie mnie trzymają, to będą mogli mi przesyłać paczki. W biurze sekretarza partii przyjęli mnie jacyś dwaj panowie. Byli grzeczni i spokojnie poprosili, abym powiedziała, jakiej satysfakcji żądam od byłego [!] 1-go sekretarza za niewłaściwe zachowanie. Oczywiście niczego nie chciałam oprócz tego, by wszyscy, niezależnie od rodzaju pracy i pełnionych funkcji, czuli się równoprawnymi obywatelami.

W 1954 roku miałam już asystentkę – tuż po dyplomie, uzyskanym w Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, przyjechała do nas dr Teresa Bartecka z mężem, również młodym lekarzem. Teresa zdecydowała się zostać na pediatrii, co mnie bardzo ucieszyło, bo była doskonałą asystentką. Pilna i uważna, chętnie się uczyła i już po dwóch latach zdała egzamin na specjalizację 1-go stopnia z pediatrii tak dobrze, że po egzaminie dr Mróz złożył mi specjalne gratulacje. Mnie zdawać egzaminu nie kazano. Otrzymałam pismo zaświadcza-
jące, że jestem specjalistą pediatrii 1-go stopnia na podstawie oglądu mojej pracy w oddziałach w Giżycku i Morągu.

Jesienią 1955 roku przedstawiono mi propozycję objęcia urzędu inspektora wojewódzkiego z siedzibą w Olsztynie. W tym czasie zlikwidowano niestety osobny Ośrodek Matki i Dziecka. Dr. Mroza przeniesiono do Wydziału Zdrowia, gdzie ja również miałam znaleźć miejsce dodatkowej pracy (pozostałam bowiem ordynatorem oddziału w Morągu). Było to możliwe, ponieważ obok dr Barteckiej w oddziale pracowała wówczas jeszcze jedna asystentka – dr Łucja Hinc-Mielnik, która podjęła co prawda staż na chirurgii, ale zdecydowała się przejść na pediatrię. Organizowałam sobie pracę w taki sposób, że jednego dnia wyjeżdżałam z domu o godzinie szóstej rano i pracowałam w Olsztynie jako inspektor wojewódzki od ósmej rano do wieczora. Otrzymywałam wówczas do dyspozycji auto, którym objeżdżałam powiatowe oddziały dziecięce udzielając im potrzebnej pomocy, a także zbierając i reagując na składane "skargi i zażalenia". Zdarzyło się, że jakąś sprawę załatwiałam w Giżycku. Gdy pod wieczór szłam do dworca kolejowego

zatrzymała mnie jakaś kobieta z dwiema dziewczynkami. Zapytała, czy poznaję te dzieci, a kiedy odpowiedziałam, że nigdy ich nie widziałam, powiedziała iż się mylę, bowiem są to moje "mleczne córki" (te noworodki, które podkarmiałam w 1950 roku). To spotkanie z prawie siedmioletnimi, dobrze rozwiniętymi i zdrowymi dziewczynkami sprawiło mi dużą przyjemność. Znakomicie potwierdzały one od wieków znaną, ale zaprzepaszczonegą głupią modą, wartość karmienia dzieci piersią, najlepiej własnej matki.

Niestety właśnie w tym czasie mój dom opuszczała na zawsze moja matka, dzięki której mogłam tak dużo czasu poświęcać pracy, gdyż pod jej opieką moja rodzina była w pełni zabezpieczona. Rak piersi, usunięty przed pięcioma laty, dał przerzuty, na które już nie udało się znaleźć lekarstwa. Tak ciężko było mi znieść swoją bezsilność wobec jej śmiertelnej choroby.

Był to okres, kiedy Akademii Medycznej wysyłały studentów po trzecim i czwartym roku studiów na praktyki wakacyjne najchętniej do szpitali położonych w miejscowościach letniskowych, na przykład nad jeziorami. W związku z tym latach 50. w sezonie letnim w naszych szpitalach pracowały spore grupy młodzieży. Przyjmowaliśmy studentów chętnie, zwłaszcza tam, gdzie – jak w czasach mojej pracy w Giżycku – na jednym oddziale zatrudniony był tylko jeden lekarz. Choć młodzi adepci medycyny stanowili dla nas na ogół pomoc, zdarzały się też w czasie ich praktyk pewne śmieszne sytuacje. Jedna z nich wiązała się ze studentem farmacji, który pozostawiony sam w aptece, został przez klienta poproszony o

lek na kaszel. Student, siwy i niezbyt już młody, wymyślił recepturę, zrobił lek na miejscu i sprzedał przygotowany proszek w opłatkach. Po jego wyjeździe zgłosił się do mnie ów pacjent z prośbą o zapisanie takiego samego leku, po którym znacznie mniej kaszłał. Kiedy usiłowałam się dowiedzieć, co to mogło być za lekarstwo, ze zdziwieniem usłyszałam jego opis: "opłatki najpierw zrobiły się mokre, a potem zniknęły" (prawdopodobnie była to kamfora z kodeiną – kamfora się ulotniła, a małej ilości kodeiny pacjent nawet nie zauważył). Spośród wielu studentów–praktykantów, jacy przyjeżdżali do Morąga w czasie, gdy byłam tam ordynatorem, szczególnie wyróżniło się dwóch: Krzysztof Rondio i Adam Sambor. Oba tak się podczas praktyki po trzecim roku spodobała pediatria, że na następnym roku zamienili przydzieloną im miejscowość na Morąg i także po czwartym roku studiów medycznych ćwiczyli się w pediatrii. Skutek okazał się doskonały. Pan Rondio wyspecjalizował się w anestezjologii dziecięcej i długie lata – także jako profesor – pracował z prof. Paradowskim w Instytucie Matki i Dziecka, aż wreszcie został dyrektorem tegoż instytutu. Pan Sambor był ordynatorem oddziału dziecięcego szpitala powiatowego. Niestety przedwcześnie zmarł.

* * *

Praca w Morągu i Olsztynie była bardzo absorbująca, ale dawała mi dużą satysfakcję. W roku 1957 zaczęły się jednak kłopoty, w wyniku których ostatecznie zdecydowaliśmy się opuścić województwo olsztyńskie. Najpierw wytrąciła mnie z równowagi śmierć matki, a potem jeszcze wiadomość, jaką usłyszałam z ulicznej "szczekaczki", że mam męża burżuja, który pozwala sobie na niegodne człowieka wyzyskiwanie naszej pomocy domowej. Mocno mnie to przestraszyło. Co prawda moja działalność była bardzo dobrze oceniana (piękną opinię wystawił mi prof. Franciszek Groer, a specjalizację drugiego stopnia z pediatrii zdałam u prof. Jana Bogdanowicza), a praca układała się pomyślnie, bo chociaż w 1956 roku odeszła z Morąga dr Bartecka, która została ordynatorem w Lidzbarku Warmińskim, ale doszedł jeszcze jeden asystent – dr Adam Szuster – a to pozwalało na rozłożenie i spokojne wypełnianie obowiązków, lecz nie był to bezpieczny okres pod względem politycznym. Gomułkowska odwilż już minęła i bałam się, że znowu dojdzie do jakichś przykrości ze strony władz. Dowiedziałam się, że informatorką w "szczekaczce" była niejaka ob. Klujowa – działaczka partyjna, która dowiedziała się, że mój mąż był partyzantem A.K. w lesie i jako oficer walczył w Powstaniu Warszawskim, a – co ją drażniło – wierząc Gomułce zapisał się jesienią do Stronnictwa Demokratycznego i energicznie działał w akcji kopania ziemniaków i buraków. Zawód związany z postawą Gomułki był dużym ciosem dla męża, który musiał już w życiu znieść wiele cier-

pień – w wojnie obronnej 1939 i w Powstaniu Warszawskim był dwukrotnie bardzo poważnie ranny w głowę, po wojnie był aresztowany i zdegradowany przez władze PRL z oficera na podoficera, a następnie przez dwa i pół roku pozostawał bez pracy. Dla młodego, ambitnego prawnika z rodziną tych ciosów było zdecydowanie za dużo. Postanowiliśmy więc opuścić Morąg, a nadarzyła się okazja, bo właśnie przeczytałam, że ogłoszono konkurs na ordynatora oddziału dziecięcego szpitala w Wałbrzychu. Zgłosiłam się i otrzymałam to stanowisko.

Atmosfera Wałbrzycha była dla mnie dużym zaskoczeniem. Kiedy w Giżycku i Morągu powiedziano mi, że muszę zorganizować oddział dziecięcy, jeśli chcę w nim pracować, stosunkowo szybko i bez wielkiego stresu udało mi się to zrobić. Wyobrażałam sobie, że prowadzenie oddziału już istniejącego będzie dużo łatwiejsze. Tymczasem bardzo szybko przekonałam się, że trafiłam do zupełnie nieznanego i dość wrogiego świata. Moje dotychczasowe oddziały były małe (30–35 łóżek), a ten zajmował cały budynek. W suterenie znajdowała się kuchnia, na parterze na razie był tylko duży pokój dla asystentów (pracowało ich tam ośmiu) i malutki pokój dla ordynatora oraz puste sale czekające na zorganizowanie oddziału obserwacyjnego, na pierwszym piętrze mieściło się 40 łóżeczek niemowlęcych, a na drugim piętrze – 25 łóżek dla starszych dzieci. Pierwsza moja wizyta była szokiem. Jeden ze starszych asystentów – dr Bolecki – przed wprowadzeniem mnie do pierwszej sali, zapytał czy mam perfumowaną chusteczkę do nosa. Niestety nie miałam, bo nie używałam per-

fum. Odważnie weszłam do sali i zrozumiałam, co spowodowało to pytanie. Powietrze było stojące i śmierdzące tak, że żadne perfumy by nie pomogły. Należało je natychmiast wymienić. W rogu pokoju było co prawda okno, ale zasłonięte jakby parawanami – szklanymi dwumetrowymi ściankami stojącymi na dwudziestocentymetrowych nóżkach. Dzieliły one pokój na dwie części. W jednej znajdowały się boksy, na których umieszczone były napisy: "biegunka", "czerwonka", "dur brzuszny", "salmonelle" itp. W drugiej stało osiem łóżeczek noworodkowych, a w nich niemowlęta w różnym wieku; starsze, aby nie wypadły, przewiązane były w poprzek łóżka pieluszką. Łatwo zgadnąć skąd ten smród w powietrzu. Dzieci, leżące na wyżłobionych i mokrych materacykach, prawie bez pieluszek, miały wyprzenia na całych plecach – od główki począwszy do nóg. W innych salach też były tylko łóżeczka noworodkowe. Poprosiłam oddziałową, aby policzyła ilość pieluch w oddziale. Wiedziałam, że przy normalnej pracy 40-łóżkowego oddziału powinno ich być 3600. Niestety doliczono się tylko 800; nic dziwnego, że nie było pieluch w łóżeczkach.

Poleciłam jak najprędzej usunąć zasłaniający okno parawan, otworzyłam okno i drzwi na ile się dało, ale to nie wystarczyło do oczyszczenia powietrza. Nie wiedziałam co robić, zwłaszcza że jak się wkrótce przekonałam, budynek, w którym znajdował się oddział dziecięcy, w ogóle nie nadawał się do tego celu. Sale miały normalne, nieprzeszklone ściany, nie było żadnej izolacji dla dzieci podejrzanych o chorobę oficjalnie zakaźną. Gdy wieczorem lekarz dyżurny oznajmił

mi, że przyjął niemowlę z ospą wietrzną, przeraziłam się, bo oznaczało to zarażenie całej ośmiołóżkowej sali, na której dziecko leżało. Żeby mnie uspokoić lekarz powiedział, że już nie ma problemu, ponieważ kazał przenieść niemowlę z ospą do izolatki. Nie zorientowana jeszcze w charakterze oddziałowych izolatek ucieszyłam się, ale zaraz przekonałam się jaką ignorancją wykazał się asystent. Poszłam z nim na obchód, podczas którego okazało się, że dziecko najpierw zostało położone w jednej z większych sal, gdzie było wolne łóżko, a następnie – po dokonanych rozpoznaniu – przeniesione do sąsiedniej sali, w której przy bocznej ścianie stała tzw. izolatka, czyli mieszcząca jedno lub dwa łóżka klatka zrobiona z parawanów, takich jak w opisanym wyżej pokoju biegunkowym. Przeróżające było to, że kolega-pediatra nie zdawał sobie sprawy, że w ten sposób zaraził nie jedną, ale dwie sale (można się tylko pocieszać, że ospa wietrzna jest na tyle zaraźliwa, iż infekcja mogła i tak objąć cały oddział).

Bardzo szybko poleciłam siostrze oddziałowej wezwać majstra i zdemontować te niby boksy. Przegrodę zdecydowałam zostawić tylko w największej sali, w tej w której były dwa okna na przeciwko siebie; tam przegroda mogła trochę chronić przed kaszlem i kichaniem. Zrobiłam też dokładną inwentaryzację bielizny dziecięcej w oddziale, po której okazało się, że wszystkiego jest zdecydowanie za mało. Siostra oddziałowa ten stan rzeczy tłumaczyła zbyt długo trwającym "bezkrólewem". Dr Gleigewichtowa – poprzednia ordynator – opuściła Wałbrzych przed paroma miesiącami przenosząc się do Wrocławia. Oba oddziały – niemowlęcy i dzieci starszych

– były wypełnione, a personel składał się z ośmiu pielęgniarek na trzy zmiany. Siostra oddziałowa powiedziała mi, że ułożenie harmonogramu ich pracy jest po prostu niemożliwe. Miała rację. Na dwa oddziały, w tym 40 niemowląt, nie uwzględniając urlopów i tzw. wolnych dni, potrzeba co najmniej 15–16 pielęgniarek, a do tego siostra oddziałowa i dwie siostry zabiegowe, czyli w sumie ok. 20. Tymczasem w dyrekcji powiedziano mi, że obecnie nie ma możliwości zwiększenia liczby średniego personelu medycznego. W tej sytuacji co osiem godzin robiłyśmy tzw. apel i ustalałyśmy "na kolanie" aktualny dyżur, co oznaczało, że któraś z mocniejszych pielęgniarek musiała powtórzyć dyżur bez wypoczynku. Na noc zostawała jedna pielęgniarka na dwa oddziały, z tym że przy dzieciach starszych wspomagała ją salowa. Bardzo szybko zdarzyło się, że siostra, która miała przyjść na nocną zmianę, nie pojawiła się. Na szczęście – nie mając jeszcze rodziny w Wałbrzychu – nocowałam w moim szpitalnym pokoiku, więc całą noc pełniłam rolę pielęgniarki. Miałam nadzieję, że w karmieniu niemowląt pomoże mi lekarz dyżurny. Nie prosiłam go jednak o to, czekając aż sam się zorientuje w sytuacji i przyjdzie. Niestety lekarz dyżurny nie opuścił swojego gabinetu, pewnie spał. Następnego dnia powiedziałam siostrze oddziałowej, aby zwróciła się do siostry przełożonej z prośbą o zabranie z naszego oddziału pielęgniarki, która nie przysłała na swój dyżur (dowiedziałam się, że nie przysłała, ponieważ spotkała się ze swoim chłopakiem). Oddziałowa była oburzona, zresztą w ogóle nie przypadłam jej do gustu, gdyż bardzo różniłam się od poprzedniej pani ordynator, która – przyzwy-

czajona do pracy w klinice (była wieloletnią asystentką prof. Michałowicza w uważanej za wzorcową warszawskiej klinice przy ul. Litewskiej) – nie zniżała się do organizacji pracy pielęgniarek i zwracania uwagi na przemoczone materace. W klinice bowiem profesor odbywał obchody przy łózkach dziecięcych najwyżej dwa razy w tygodniu, a cały oddział szykował się do nich jak do święta. Jako ordynator oddziału w Wałbrzychu pani doktor też ustaliła, że wystarczy, jeżeli dwa razy w tygodniu obejrzy swoich małych pacjentów. Siostra oddziałowa była zawsze w pełni przygotowana na wyznaczone obchody – w te dni nawet pieluszek wystarczyło, więc pani ordynator w ogóle nie zdawała sobie sprawy z tego, jakie są braki w wyposażeniu oddziału. Ja, natomiast, nie stałam na piedestale. Oglądałam dzieci codziennie rano, a często – choć był lekarz dyżurny – przychodziłam także wieczorem, bowiem stan przyjmowanych niemowląt z reguły był bardzo ciężki, a sposób leczenia w latach pięćdziesiątych pozostawiał wiele do życzenia.

Po dokładnym zorientowaniu się w stanie oddziału, udałam się do dyrektora szpitala – pana dr. Ropka. Przyjął mnie bardzo sympatycznie i słuchał uważnie, kiedy mówiłam że budynek, w którym znajduje się oddział dziecięcy, jest bardzo smutny, bo nie ma w nim żadnych obrazków na ścianach ani zabawek, że pracę pielęgniarek utrudnia brak prześwitów, że łóžeczka noworodkowe nie nadają się dla niemowląt, które trzeba przywiązywać pieluszkami, żeby nie wypadły i nie rozbiły się. W pewnym momencie pan dyrektor wstał zza biurka, podszedł do okna, odwrócił się ode mnie i przez

dłuższą chwilę się nie odzywał. Wreszcie mocno wytarł nos i wrócił do naszej rozmowy. (Byłam nieco skonsternowana domyślając się, że płakał za firanką. Nie wiedziałam jeszcze, że tak bardzo się rozczulił losem moich biednych pacjentów, bowiem niedawno stracił dwoje własnych dzieci z powodu zapalenia opon mózgowych i mózgu). Dyrektor, już opanowany, zapytał mnie krótko ile pieniędzy potrzebuje na zabawki i ozdoby oddziału oraz jakie łóżka dla niemowląt spełnią moje wymagania. W efekcie naszej rozmowy następnego dnia kasjerka przyniosła mi 2000 złotych, co było wówczas znaczną sumą. Dowiedziałam się też, że zamówiono nowoczesne, dość duże łóżka, takie, w których można spokojnie przewijać maluszki. Ucieszyłam się myśląc, że szybko poprawię sytuację oddziału i wszyscy będą zadowoleni. Niestety tę satysfakcję zepsuł mi list z domu. Mój najmłodszy syn, siedmioletni Wojtuś, uszkodził sobie w jakiś sposób kolano. Chirurg dziecięcy, który dla Morąga był w Gdańsku, założył mu duży, biodrowy gips z zaleceniem, aby się ostrożnie poruszał i nie połamał go. Niestety chłopczyk był bardzo ruchliwy, biegał po ogrodzie na jednej nodze, aż w końcu złamał ten gips. Mąż w liście wzywał mnie do domu, abym dla dobra dziecka jakoś załatwiła tę sprawę. Nie było rady. Poprosiłam dyrektora o kilka dni zwolnienia obiecując, że wrócę możliwie jak najszybciej. Po drodze do Morąga wymyśliłam sposób załatwienia sprawy. Doszłam do wniosku, że muszę uzyskać pewną diagnozę, więc zabrałam Wojtka i pojechałam z nim do Warszawy do prof. Grucy (nie znałam go i słyszałam, że jest mało kontaktowy, ale liczyłam na swoje szczęście). Kiedy znalazłam

się w klinice, stanęłam na korytarzu i czekałam, podczas gdy profesor robił obchód. Kiedy przechodził koło mnie, zagadnęłam go, czy nie zechciałby poświęcić mi – lekarzowi terenowemu – trochę czasu. Nie odmówił, a kiedy skończył wizytę na ostatniej sali, zajął się nami. Po zbadaniu orzekł, że jest przekonany, iż chłopiec ma gruźlicę kolana oraz że trzeba to natychmiast leczyć, najlepiej w sanatorium gruźlicy kostnej. W takim sanatorium w Rabce pracowała do niedawna moja koleżanka – obecnie dyrektor Wojewódzkiego Szpitala Dziecięcego w Olsztynie – dr Olga Szwalkiewicz. Wracając do Morąga skontaktowałam się z nią i prosiłam o pomoc. Problem polegał na tym, że aby umieścić dziecko w Górniczym Sanatorium Gruźlicy Kostnej dla Dzieci im. Pstrowskiego niezbędny był wniosek zatwierdzony przez specjalną komisję kwalifikacyjną, na co musiałabym stracić ok. dwóch tygodni, a przecież obiecałam szybko wrócić do pracy. Pomoc Olgi Szwalkiewicz była nieoceniona. Zadzwoiła do Rabki, z przemiłą – jak się później okazało – dr Nowicką, kierownikiem sanatorium, uzgodniła, że dziecko zostanie przyjęte natychmiast, bo akurat było wolne miejsce, a formalności miały być załatwione później. Nie tracąc cennych godzin już wieczorem wyjechałam z Wojtusiem do Krakowa, a dalej do Rabki autobusem, żeby było jak najszybciej. Tak się śpieszyłam, że nawet nie obejrzałam sanatorium, w którym zostawiałam synka, postanawiając iż zrobię to przy najbliższej okazji.

Standardowo załatwienie skierowania do sanatorium zajmowało wówczas ok. miesiąca. Mnie to zabrało 6 dni, przy czym szóstego byłam już w Wałbrzychu, gdzie zastałam istny

sądny dzień. Na moim oddziale, do którego z trudem udało mi się wejść, bo drzwi tarasował szereg nowych łóżek, panował całkowity chaos. Początkowo nie rozumiałam dlaczego siostra oddziałowa nie wymieniła łóżek na nowe, ale prędko domyśliłam się powodu. Moje porządki nie podobały się pielęgniarce przyzwyczajonej do utartych zwyczajów zaprowadzonych przez poprzednią ordynatorkę. Postanowiła więc zemścić się na mnie. Myślę, że to właśnie ona wezwała "kontrolę" z Wrocławia. Jak się dowiedziałam, pod moją nieobecność wizytował oddział prof. Nowakowski. Z tym zasłużonym, zwłaszcza dla wrocławskich placówek dziecięcej służby zdrowia, profesorem pediatrii, niegdyś asystentem prof. Hirszfeldowej, wiązały się niestety moje niezbyt miłe wspomnienia z czasu, gdy przyjeżdżał na "szkolenia mrągowskie". Będąc starostą jednego z takich szkoleń i widząc, że profesor, najwyraźniej podniecony jakimś wysokowym trunkiem, trochę nieodpowiednio się bawi..., odważyłam się bardzo delikatnie zwrócić mu uwagę mówiąc, że "my tu zawsze na trzeźwo". Sądzę, iż zapamiętał te słowa i być może między innymi dlatego kontrola z Wrocławia – jak się pokątnie dowiedziałam – wypadła dla mnie negatywnie. Oficjalnie wyników kontroli nikt mi nie przedstawił, a ja jak gdyby nigdy nic zabrałam się do robienia porządków w oddziale. Wkrótce otrzymałam kilkanaście pielęgniarek, ale nadal nie było ich tyle, by można było zorganizować oddział obserwacyjny. Zresztą prace posuwały się dość powoli, bo pamiętając mój pierwszy obchód w sali biegunkowej postanowiłam wszystkie materace nowych łóżek niemowlęcych pokryć ceratą, a nie miałam nikogo do pomocy (choć zdarzyło się, że

któraś salowa widząc mnie przyszywającą ceratę do materaca, wzięła igłę i szyla z drugiej strony).

Dziećmi starszymi zajęła się dr Kapitowa, chyba najstarsza wiekiem i najbardziej wykształcona spośród moich asystentów. Mając bardzo dużo pracy przy niemowlętach, rzadko odwiedzałam jej oddział; uważałam, że prowadzi go dobrze. Nowe pielęgniarki były dość chętne, ale o dzieciach miały mgliste pojęcie. Zaczęłam więc prowadzić dla nich regularne szkolenia, zostawiając na razie szkolenie lekarzy, zwłaszcza że wiedziałam, iż z teorii kształciła ich intensywnie dr Gleigewichtowa. W tej sytuacji z lekarzami szczegółowo omawialiśmy tylko przyczyny zgonów dzieci, a niestety było ich parę razy więcej niż w Olsztyńskim, co w znacznej mierze wynikało z tego, że do szpitala dzieci oddawano tu w stanach bardzo ciężkich, często agonalnych. Przestałam się temu dziwić, gdy zorientowałam się, jaki jest poziom ich rodziców. Bardzo często ojcami byli młodzi, 18–20–letni chłopcy szukający dobrze płatnej pracy w kopalni czy hucie. Sporo dzieci rodziło się z przypadkowych matek, w nieustabilizowanych rodzinach. Ziemię odzyskane, a więc także Wałbrzych, uchodziły wówczas za krainę mlekiem i miodem płynącą, którą trzeba jak najprędzej wyzyskać. W wałbrzyskich kopalniach młody niewykwalifikowany robotnik mógł zarobić więcej niż gdziekolwiek w "starej Polsce", a znaczną część zarobków najczęściej przepuszczał na pijaństwach, po których następowały głośnie w mieście awantury.

Wśród mieszkającej w tamtych czasach w Wałbrzychu tzw. inteligencji można było wyróżnić kilka grup. Jedną

tworzyli brydzyści, inną politycy, popierający reformy socjalistycznego rządu, jeszcze inną Żydzi, z których znaczna część wyjechała już do Izraela lub USA, a część szykowała się właśnie do wyjazdu. Ja nie pasowałam do żadnej z tych grup, a – co gorsza – nie pasowałam też do moich asystentów. Narzekali, że zbyt dużo zajmuję się pielęgniarstwem, a im brakuje poważnych wykładów naukowych. Przyzwyczajona byłam, że asystenci czuli się współodpowiedzialni za oddział i współpracowali ze mną we wszystkim co dotyczyło jego organizacji i dobra chorych dzieci. Tutaj na to nie mogłam liczyć. Lekarze uważali się za "coś lepszego". Wykonywali tylko te zadania, które były "ich godne" i w głowach im się mieściło, że mogą od nich wymagać, by na przykład pomogli pielęgniarce, kiedy nie dawały sobie rady, gdy było ich za mało. Zdarzyło się, że dr Globisz – laryngolog codziennie oglądający nasze dzieci, a zwłaszcza uszy niemowląt (był to okres wręcz epidemicznego ropnego zapalenia ucha środkowego z towarzyszącą mu często toksyczną biegunką) – przyszedł w porze karmienia dzieci, kiedy pielęgniarki były zajęte, i poprosił, żeby wyjątkowo teraz podano mu dzieci, bo w kopalni jest awaria i zaraz musi iść do górników. Nie było wyjścia. Weszłam do pokoju asystentów, gdzie odpoczywali lekarze, którzy zakończyli już wizyty u dzieci. Poprosiłam by każdy wziął swoje podopieczne niemowlęta i zaniósł do dr. Globisza, bo pielęgniarki są zajęte i nie mogą tego zrobić. Zanim lekarze mogli zareagować, zadzwonił telefon. Musiałam wyjść z oddziału wezwana przez dyrektora szpitala. Wróciłam mniej więcej po kwadransie i zobaczyłam beczynnie siedzą-

cego dr. Globisza. Zdziwiłam się, że tak szybko obejrzał 40 niemowląt, ale okazało się że nie obejrzał żadnego, bo nikt mu dzieci nie przyniósł. Zdenerwowana ponownie poszłam do pokoju asystentów, ale tym razem nie prosiłam, ale mocnym głosem kazałam pójść po pacjentów. Panowie wstali z gniewnymi minami, a będąca w szóstym miesiącu ciąży lekarka powiedziała, że ciężarów dźwigać nie może. Uspokoiliam ją, że jej 3- i 4-kilowe dzieciaczki podam do badania sama, choć jej siatka z zakupami, która wisiała na oparciu krzesła, z pewnością waży więcej niż 4 kilogramy. Oczywiście takie zajścia nie mogły dobrze wpływać na nasze stosunki, ale innego rozwiązania nie widziałam. Niestety musiałam przeżyć jeszcze inną bardzo przykrą sytuację. Któregoś popołudnia przyniosłam nowo zakupione zabawki dla niemowląt – piszczące gumowe laleczki i grzechotki. Nie absorbując pielęgniarek (na oddziale niemowlęcym miały one zawsze pełne ręce roboty) sama rozwiesiłam je przy wszystkich łóżeczkach. Gdy w końcu dotarłam do ostatniego – czterdziestego łóżeczka i zakończyłam tę drobną pracę, poprosiłam pielęgniarki, żeby zobaczyły, jak to ładnie wygląda. Wróciły nieco zawiedzione, bo w pierwszych salach zabawek nie było. Zdumiałam się – przecież powiesiłam je na pewno. W tym momencie jedna z pielęgniarek usiadła na krześle, które zapiszczało jak gumowa laleczka. Okazało się, że niechcący siadła na czyjejs torebce i to w niej znajdowały się dwie laleczki. W taki sposób ujawniło się, że wśród nas była złodziejka. Wkrótce okazało się, że kradzieże nie dotyczyły wyłącznie zabawek. Siostra oddziałowa zameldowała mi, że zginęło kilkanaście "śpioszków" i kaftaników

niemowlęcych oraz pieluszki. Z rozmowy z nią, a także innymi pielęgniarkami wynikało, że wszystko to ukradła ich koleżanka, która niedawno urodziła dziecko i w ten sposób kompletowała dla niego wyprawkę. Uważałam, że czegoś takiego nie można puścić płazem i zawiadomiłam milicję. Dość szybko przyszło dwóch panów w mundurach, którzy gdy dowiedzieli się, o co chodzi, powiedzieli, że muszą pójść do mieszkania pielęgniarki i zrobić rewizję. Zastrzegli przy tym, że jeżeli niczego nie znajdą, będę odpowiadała za oszczerstwo. Miałam tyle szczęścia, że przynieśli całą pakę pieluszek i ubranek niemowlęcych z pieczętkami szpitala. Sądziłam, że ta przykra sprawa stanie się nauką dla całego personelu, ale znowu się pomyliłam. Któregoś dnia zajrzałam do kuchni, żeby zobaczyć, co przygotowuje się dla starszych dzieci na kolację. Dwie starsze kobiety, doskonałe kucharki, utrzymywały kuchnię w czystości i zawsze potrafiły wykombinować coś dobrego jako dodatek na kolację, choćby z tego co zostało z obiadu. Tym razem zobaczyłam na wielkim półmisku olbrzymie gruszki przekrojone na połówki (było ich 20). Przy mnie włożyły to do windy, wysyłając kolację na drugie piętro. Byłam ciekawa, jak dzieci przyjmą te gruszki, bo przy niskiej stawce na wyżywienie – 11 zł – i wysokich cenach owoców, była to rzadkość. Poszłam więc na górę, gdzie zwróciła się do mnie rozżalona pielęgniarka dyżurna pokazując półmisek z kilkoma połówkami gruszek i pytając, jak ma to podzielić. Byłam zdumiona, a kiedy przeprowadziłam "dochodzenie", okazało się, że pielęgniarki z oddziału niemowlęcego zatrzymały po drodze windę i poczęstowały się gruszkami. A więc zjadły to, co było przezna-

czone dla chorych dzieci. Widząc moje wzburzenie siostra oddziałowa uspokajała mnie mówiąc, że może nawet lepiej się stało, iż tylko najstarsze dzieci jadły gruszki, bo młodszym mogłyby zaszkodzić. Nie byłam w stanie w to wszystko uwierzyć. W Olsztyńskim nie spotykałam się z takimi postawami. Poczułam, że nie mam ochoty pracować z tym personelem. Wiedziałam też, że i personel z wielkim trudem aprobeje moje metody pracy.

Z okresu "mragowskich szkoleń" utkwiała mi w pamięci rozmowa z prof. Groerem, któremu poskarżyłam się na mazurski klimat, przez który – gdy zaczynają się jesienne chłody, pojawiają się u dzieci katary i chroniczne zatoki. Profesor spojrział na mnie badwczco, uśmiechnął się i powiedział: "Koleżanko, trzeba tylko zaprzyjaźnić się z klimatem. Szerzej otwierać okna, mniej ubrań nakładać na dzieci i puścić je luzem na powietrze, a stanie się on bardziej przyjazny". Święta prawda. Jakież to szczęście, że spotkałam prof. Groera na początku mojej pracy lekarskiej. Przypominało mi się to spotkanie także w Wałbrzychu, gdy przyjmowałam, szczególnie w dni zimowe, bardzo ciężko chore niemowlęta, z zapaleniem płuc i tak dużą dusznością, że już wygląd skóry – popielatosiwej – kazał działać szybko. W takich sytuacjach zlecałam pielęgniarce, by dobrze owinęła dziecko i wyniosła je na balkon. Początkowo pielęgniarki się broniły mówiąc, że na balkonie dziecko jeszcze bardziej się "zaziębi". Wtedy musiałam wyraźnie i mocno polecenie powtórzyć, a i tak po kilku minutach siostra zwracała się z prośbą, abym pozwoliła dziecku już zabrać z balkonu, bo wygląda lepiej. Pozwalałam, ale

nierzadko po niedługim czasie ta sama pielęgniarka już z własnej woli wyносиła dziecko na powietrze, bo mu się w sali pogarszało. Pielęgniarki dość szybko zorientowały się, że powietrze o temperaturze zbliżonej do 0° C dobrze robi w przypadku dużej duszności. Z czasem przestały się nawet specjalnie przejmować protestami przechodniów (balkon wychodził na ulicę), którzy słysząc czasem płacz niemowlęcia przychodzili do nas z awanturą. My – ratując niemowlę – wiedzieliśmy, że ten płacz mu nie zaszkodzi. Ważne było to, że nie umierało.

Moje kłopoty w pracy w Wałbrzychu były bardzo różnorodne. Jeden z nich wiązał się z karmieniem niemowląt. W tamtych latach obowiązywała dieta dla niemowląt z dużym ograniczeniem ilości mleka krowiego, uznawanego nie tylko za niedoskonałe, ale wręcz za szkodliwe. Tymczasem karmienie piersią było coraz mniej modne, tak w mieście, jak i na wsi. W rezultacie takiego żywienia bardzo często dochodziło do wyniszczeń, a nawet zupełnej atrofii, co z reguły – przez toksyczną biegunkę – prowadziło do bardzo ciężkich stanów, a nawet do zgonów. W 1956 roku, przed egzaminem na drugi stopień specjalizacji z pediatrii, przez trzy miesiące odbywałam praktykę w Instytucie Matki i Dziecka w Warszawie, który – pod kierunkiem wybitnego uczonego, prof. Groera – był przodującym ośrodkiem naukowym w Polsce. Profesor doszedł do wniosku, że choć mleko krowie faktycznie nie jest właściwym pożywieniem dla niemowląt (nic w tych czasach nie zastępowało mleka matki) – lepiej zaryzykować i podawać dziecku pełne mleko, niż je głodzić. Taką opinię potwierdzało

zresztą doświadczenie, zwłaszcza w odniesieniu do dzieci po trzecim miesiącu życia. Zalecałam w oddziale karmienie metodą lansowaną przez prof. Groera, przy czym – jak zawsze – zdarzało się, że leczenie nie przynosiło skutku. Moi asystenci uznali, że te nienajlepsze efekty wiązały się z podawaniem pełnego mleka krowiego. Starłam się im wytłumaczyć, jakie są zalety takiej diety, ale nie chcieli mnie słuchać i upierali się przy stosowaniu bardzo rozcieńczonych mieszanek (dla dzieci trzymiesięcznych 1/4 mleka i 3/4 wody, dla dzieci sześciomiesięcznych 1/2 mleka i 1/2 wody). Doszłam do wniosku, że samej nie uda mi się ich przekonać, więc zadzwoniłam do prof. Groera z prośbą o pomoc. Dyrektor naszego szpitala "wciągnął" mnie do zarządu miejscowego oddziału Towarzystwa Lekarskiego, które m.in. organizowało wykłady. Poprosiłam pana profesora, żeby przyjechał do Wałbrzycha z wykładem. Profesor był wybitnym erudytą, a przy tym potrafił wyklądać bez przygotowania, tłumacząc zasadnicze zagadnienia w prosty i zwięzły sposób. Po wykładzie wszyscy zostali zaproszeni na uroczystą kolację, podczas której – co wprawiło nas w konsternację – okazało się, że profesor o tej porze już niczego nie jada, pije tylko dużą kawę z dość dużą ilością mleka.

Kolejną przyczyną niezgody między mną i wałbrzyskimi lekarzami było odmienne podejście do spraw laryngologicznych, w tym zwłaszcza do usuwania migdałków. W Warszawie uczyłam się laryngologii u doc. Jana Danielewicza, który przez wiele lat prowadził porównawcze badania nosogardła u niemowląt i dzieci, z jednej strony, i u dorosłych z drugiej. Doszedł do wniosku, że migdałki boczne w gardle u dziecka

chorują tak często dlatego, iż pierwsze narażone są na odbiór wszelkich infekcji, a zmieniają się chorobowo, bo tak energicznie bronią dostępu do dalszych dróg oddechowych. Generalnie w tamtych czasach panowało przekonanie, że aby dzieci nie chorowały na anginy, należy migdałki jak najszybciej usuwać. Okazało się jednak, że przy braku tej naturalnej zapory dochodzi do znacznie poważniejszych objawów chorobowych – uogólnionego zakażenia, a w efekcie do choroby zwanej początkowo zapaleniem stawów, a następnie gorączką reumatyczną z równoczesnym zapaleniem mięśnia, wsierdza lub nawet i osierdza serca. Jeżeli tak, to nasuwał się prosty wniosek, aby nie usuwać migdałków, ale je leczyć. Docent Danielewicz został uznany za ojca europejskiej otolaryngologii dziecięcej, w związku z czym w wiele lat później (w 1978 roku) w Warszawie zorganizowano I Europejski Kongres Otolaryngologii Dziecięcej.

Wracajmy jednak do Wałbrzycha końca lat 50. Jako pilna uczennica doc. Danielewicza nie kierowałam dzieci do usuwania migdałków bocznych, lecz starałam się je leczyć. Spotkało się to z oburzeniem dr. Fastmana, ordynatora oddziału laryngologicznego. Próbowalam z nim rozmawiać i wyjaśniać moje racje, ale nic to nie dało. Cóż było robić. Zadzwoiłam do doc. Danielewicza z prośbą o pomoc. Już po kilku dniach witałam w Wałbrzychu pana docenta wraz z asystentką dr Ewą Kossowską (w 1973 roku – już jako profesor – zastąpiła ona swego odchodzącego na emeryturę mistrza na stanowisku kierownika oddziału laryngologii dziecięcej w Instytucie Pediatrii Akademii Medycznej w Warszawie).

Chociaż wygłoszony na zebraniu Towarzystwa Lekarskiego wykład doc. Danielewicza był jasny, w pełni zrozumiały i nie wymagający dyskusji, dr Fastman zabrał głos i nie podejmując merytorycznej polemiki napastliwym tonem zarzucił wykładowcy nieuctwo i zagrywki karierowicza. Kiedy po zebraniu przepraszałam docenta za ten incydent, uspokajał mnie mówiąc, że podczas podobnego wykładu w Szczecinie poniósł jeszcze większą klęskę.

Ogólnie rzecz biorąc otaczająca mnie w Wałbrzychu atmosfera nie była sympatyczna. Nie pasowałam do żadnej grupy towarzyskiej, nie należałam też do partii, moja osoba budziła kontrowersje w szpitalu i w Wydziale Zdrowia (ponoć kierownik tej instytucji, dr Piltz, za zatrudnienie mnie dostał nagane). Do tego wszystkiego życie mojej rodziny w tym mieście było trudne i biedne. Mąż wprawdzie awansował znacznie w pracy w Narodowym Banku Polskim, ale pensje miał bardzo mizerną. Moja praca wymagała ogromnego wysiłku i poświęcania czasu, pobory, jednak, także były nędzne. Żyliśmy bardzo skromnie, a mimo to bywało i to nierzadko, że pod koniec miesiąca brakowało nam pieniędzy dla najmłodszej latorośli – urodzonej jeszcze w czasach morągskich Basi. Wtedy mąż zwracał się do synów z prośbą, aby sprawdzili ile grosiaków mają w skarbonkach. Najstarszy Tomek (dziesięć lat starszy od siostrzyczki) zwykle miał najwięcej oszczędności i chętnie pożyczał je "dla Bambo". Średni, Maciek, też znajdował coś do dorzucenia. O dwa lata młodszy Wojtuś do oszczędnych nie należał, ale i on znajdował na ogół jakiś grosz.

Moja pensja za pracę w szpitalach Giżycka i Morąga była podobnie niska, ale Wałbrzych wymagał większych zarobków, bowiem wszystko było droższe. Jeden z asystentów – dr Jankowiak – radził mi, bym otworzyła prywatną praktykę. Uważał, że w ten sposób szybko poprawię rodzinną sytuację materialną. Spróbowałam i tego rozwiązania. Zgłosiłam otwarcie prywatnej praktyki i nawet dostałam jakieś wezwanie do dziecka mieszkającego na peryferiach miasta. Nie miałam samochodu, więc wzięłam taksówkę. Na miejscu okazało się, że chora dziewczynka mieszka u babci, bo matka – pediatrka – pracuje w klinice w Warszawie. Oczywiście w tej sytuacji nie mogłam wziąć pieniędzy za wizytę. Zgodziłam się tylko, aby babcia dziecka zapłaciła za taksówkę. Zresztą z uwagi na ogromne zaabsorbowanie pracą w szpitalu, nie miałam czasu na prywatną praktykę.

Wreszcie po jakiejś bardzo nieprzyjemnej rozmowie z kierownikiem Wydziału Zdrowia doszłam do wniosku, że już dość tych przykrości. Poszłam do dyrektora Szpitala, dr. Ropka, i poprosiłam o możliwie szybkie zwolnienie z pracy. Pan dyrektor zrozumiał sytuację i zaakceptował moją decyzję. On też miał już dość różnych wybryków dr. Piltza, kierownika Wydziału Zdrowia i ginekologa, który wielokrotnie zadziwiał wałbrzyszan swoimi miłosnymi aferami (na przykład kiedyś podczas dyżuru w szpitalu podciął sobie żyły, bo wybrana pielęgniarka nie chciała mu ulec, a innym razem musiał, wzbudzając powszechny śmiech, uciekać w bieliźnie po rynnie największego hotelu w mieście bojąc się furii zdradzanego męża). Kiedy dr Ropek podpisywał zgodę na moje odejście,

poprosiłam by zechciał zawiadomić lekarkę z Wrocławia, o której słyszałam, że starała się o pracę w Wałbrzychu. I rzeczywiście, tuż przed moim wyjazdem do naszego szpitala przyjechała dr Tarnowska (jeśli dobrze pamiętam). Oprowa-
dziłam ją po wszystkich kątach, pokazując oddział niemowlęcy i dzieci starszych. Przyszła pani ordynator powiedziała mi, że widziała ten oddział przed półtorarokiem oraz słyszała, że został on przeze mnie doprowadzony do ruiny, a tymczasem wszystko jest w najlepszym porządku. Odpowiedziałam jej, że chociaż wypełniałam polecenia – m.in. przygotowałam na przyjęcia pacjentów oddział obserwacyjny – w głębi serca byłam przekonana, iż budynek ten w żadnej mierze nie spełniał wymogów oddziału dziecięcego. Sugerowałam, żeby spróbo-
wała pozyskać stojący na uboczu miasta budynek, odpowiednio podzielony na boksy, mający niezbędne prześwity, świetnie nadający się do leczenia dzieci (wówczas znajdował się tam Dziecięcy Szpital Zakaźny).

* * *

Zupełnie przypadkowo mój mąż w czasie jakiejś służbowej podróży spotkał się z doc. Marią Goncerzewiczową – konsultantką pediatrii na województwo zielonogórskie. Dowiedział się od niej, że w województwie tym jest duże zapotrzebowanie na lekarzy specjalistów chorób dzieci. W szeregu szpitali powiatowych nie było ordynatorów oddziałów dziecięcych. Proponowała, by mnie namówił na pracę w Świebodzinie Wielkopolskim, mieście małym, ale sympatycznym.

Zdecydowałam się od razu. Mając zgodę dyrektora Ropka, który zresztą też zamierzał opuścić Wałbrzych i wrócić do swojej macierzystej Kliniki Ftyzjatrycznej w Łodzi, oraz wiedząc, że dr Tarnowska czeka na objęcie ordynatury po mnie, przekazałam oddział dr. Babeckiemu (to on mnie na początku po nim oprowadzał) i wyjechałam do Zielonej Góry. Tam okazało się, że właśnie tego dnia zdał egzamin specjalizacji 1-go stopnia dr Jelek, który miał zostać moim zastępcą w Świebodzinie. Razem więc udaliśmy się do naszej nowej pracy. Miasto rzeczywiście było małe (niecałe 20000 ludności), oddział też niewielki – 30 łóżek, ale i 30 łóżeczek noworodkowych, co razem dostarczało dosyć zajęcia. Spodobały mi się malunki na ścianach oddziału, które wyobrażały znane bajki – niestety Grimmów. W jednym pokoju wymalowani na ścianie Jaś i Małgosia siedzieli na łąpacie wpychanej przez Babę Jagę do pieca. Uznałam, że trzeba to trochę poprawić, żeby nie przyzwyczajając małych pacjentów do widoku przemocy. Spowo-

dowałam więc przemalowanie "fresku" w ten sposób, by do pieca trafiała wiązka chrustu, a nie dzieci.

Praca w tym szpitalu od pierwszego dnia układała się doskonale. Przemili dyrektor, dr Zimowski, cieszył się dużym autorytetem, choć nigdy (a może właśnie dlatego) nie podnosił głosu, a wręcz przeciwnie, mówił głosem przyciszonym. Koledzy-ordynatorzy przyjęli mnie bardzo serdecznie. Ponieważ przeznaczone dla mojej rodziny mieszkanie zajmował jeszcze przenoszący się do Zielonej Góry ginekolog, dr Zgorzalewicz, dyrektor oddał mi tymczasowo swój gabinet, abym miała gdzie mieszkać. Już w pierwszy wieczór po przyjeździe spotkała mnie niespodzianka. Przyszedł jakiś pan w roboczym ubraniu i poprosił, abym poszła z wizytą domową do jego dwuletniej córeczki, której – po kilku dniach leczenia – utrzymuje się bardzo wysoka gorączka. Nie mogłam odmówić. Nie namyślając się, swoją metodą, wykąpałam dziecko w chłodnej wodzie (ok. 7–9° C), po czym dziewczynka uspokoiła się i zasnęła. Śpieszyłam się, bo miałam zaproszenie na zabawę w miejscowym sanatorium dziecięcym, na której mieli być wszyscy lekarze ze szpitala. Wszyscy na mnie czekali, witając chóralnym "sto lat". Zabawa była bardzo sympatyczna. Tańce, wobec braku orkiestry, odbywały się przy dobrze dobranych płytach. W pewnym momencie jakiś nieznajomy pan, w średnim wieku, przystojny i dobrze ubrany, poprosił mnie do tańca. Poprosiłam, żeby mi się przedstawił, zapytałam czy pracuje w szpitalu, czy w sanatorium. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem i odpowiedział: "przecież się znamy, jestem kierowcą w tym sanatorium, a przed paru godzinami była Pani

w moim domu u chorej dziewczynki". Teraz ja się zdziwiłam. Rodzice dziecka mówili mi przecież, że choć mieli iść na zabawę, muszą zrezygnować, bo przecież nie zostawią małej w takim stanie. Cóż więc się stało? Okazało się, że dziecko po prostu wyzdrowiało – temperatura się unormowała i spokojnie śpiąca dziewczynka została w domu pod opieką sąsiadki, a rodzice mogli przyjść trochę potańczyć. Cieszyłam się, że moja metoda poskutkowała, zwłaszcza że niestety w naszym społeczeństwie tkwiło (i jeszcze tkwi) przekonanie, iż co prawda zdrowe dzieci należy od czasu do czasu kąpać, ale chore trzeba chronić przed "przeziębieniem", a kąpiel w czasie gorączki, zwłaszcza chłodna, może spowodować nieszczęście – zapalenie płuc i śmierć. Oczywiście podobnie niebezpieczne jest otwieranie okien.

Sanatorium, o którym mówiłam, było w Świebodzinie równie dużym obiektem leczniczym jak szpital. Doskonale zorganizowane pod opieką znanego poznańskiego ortopedy, prof. Degi, prowadził również dobry organizator i fachowiec, dr Wierusz. Miał on do dyspozycji, o ile pamiętam, czterech wykształconych operatorów, kilka sal operacyjnych, Dom Dziecka na 200 dzieci do 18-ego roku życia, z normalną i dobrze prowadzoną szkołą, całą ekipą nauczycieli. Było też tam ośmiu nauczycieli wychowania fizycznego, którzy mieli chyba sześć sal gimnastycznych. Budynek sanatorium składał się z dwóch części – starej, w której niegdyś dr Zaleski (?) ratował ubogie kalekie dzieci, oraz nowo dobudowanej. Pielęgniarkami były tam niezniszczalne, wspaniałe siostry zakonne Rodziny Marii. Wśród personelu lekarskiego sanatorium

brakowało natomiast pediatri. Do mego przyjazdu niewielka też była obsada pediatryczna w szpitalu i poradni dziecięcej. Dlatego też dr Wierusz natychmiast poprosił mnie, abym prowadziła konsultacje pediatryczne w sanatorium. Zgodziłam się na tę propozycję, ponieważ dość szybko zorientowałam się, że praca w szpitalu na obu oddziałach (dziecięcym i noworodkowym) nie będzie zbyt trudna; dr Jelek jako mój zastępca pracował bez zarzutu, a wkrótce do pomocy doszło jeszcze trzech panów (o dziwo nie miałam ani jednej asystentki). W sanatorium bardzo się przydały moje wiadomości na temat celowanych kroplówek. Wieczorem badałam dzieci mające mieć następnego dnia operacje kostne. Do operacji kwalifikowano tylko dzieci w dobrym stanie ogólnym. Zdarzało się jednak, że w godzinach przedpołudniowych musiałam biec na alarm do sanatorium. Dla zaoszczędzenia czasu – aby nie iść na około przez całe miasto – miałam klucz od furtki do ogrodu, który łączył szpital z sanatorium. Pojawiałam się pod koniec operacji, kiedy czasami dzieci gwałtownie bladły, odwadniały się i wiotczały. Kroplówka z dodatkiem potasu i wapnia szybko poprawiała sytuację.

Kiedy wyjeżdżałam z Zielonej Góry dr Smykowska – kierownik Wojewódzkiej Przychodni Matki i Dziecka – zwróciła mi uwagę na pewną nieprawidłowość w organizacji pracy lekarzy w Świebodzinie, którą – jak mówiła – należy natychmiast poprawić. Chodziło o to, że poradnię dla dzieci chorych prowadzili lekarze szpitalni, a dla dzieci zdrowych – zupełnie nie związana z oddziałem dr Kozłowska. Niestety pani doktor, starsza już i schorowana, nie zgadzała się na żadne zmiany.

Twierdziła, że może pracować jak dotąd lub zrezygnować w ogóle. Taka sytuacja, kiedy jeden lekarz ogląda dziecko zdrowe, a inny chore, jest na pewno niewłaściwa. Mimo to doszłam do wniosku, że w tym specjalnym przypadku lepiej utrzymać w pracy lekarkę o dużym doświadczeniu, która dobrze znała miejscowe dzieci i ich rodziny. Zresztą moi asystenci nigdy nie prowadzili dzieci zdrowych i nie znali wystarczająco dobrze ich fizjologii (wiadomo, że łatwiej nauczyć się leczenia dzieci chorych niż zrozumieć cały proces rozwoju małego dziecka). Po trzech miesiącach pracy w Świebodzinie odwiedziłam dr Kozłowską. Rozmowa z nią oraz przejrzenie kartoteki pozostających pod jej opieką dzieci utwierdziły mnie w przekonaniu, że na razie trzeba sprawy zostawić tak, jak są. Wkrótce doc. Goncerzewiczowa zamierzała w Świebodzinie zorganizować szkolenie dla pediatrów z województwa zielonogórskiego (szkolenia takie były przez nią organizowane co miesiąc, najczęściej w Poznaniu lub Zielonej Górze, a czasem w ośrodkach powiatowych). Postanowiłyśmy z dr Kozłowską, że przedstawimy na nim wyniki pracy jej poradni, ukazując na specjalnych tablicach jaka jest ilość dzieci z krzywicą, niedożywieniem i anemią oraz w jaki sposób opieka w poradni wpływa na ich stan. Podczas szkolenia, które odbyło się zarówno na moim oddziale, jak i w poradni, dr Kozłowska usłyszała słowa uznania dla swojej pracy.

Do szpitala ciągle jeszcze przyjmowałam dzieci w bardzo ciężkich stanach, z biegunką toksyczną i odwodnieniem. Nadal stosowaliśmy kroplówki dożylnie złożone z soli fizjologicznej i 5% glukozy w różnych stosunkach. Zdarzyło się jednak

kiedyś, że dziecko po odstawieniu całodobowej kroplówki w ciągu paru godzin gwałtownie straciło nawodnienie. Wiedziałam, że powinnam zrobić jonogram krwi i dodać do kroplówki coś, co zatrzyma wodę. Niestety w ówczesnych powiatowych szpitalach takich badań nie robiono. Dowiedziałam się jednak, że prof. Bogusław Halikowski w Gdańsku opracował metodę ustalania, jakich jonów brakuje, bez badania laboratoryjnego. Poprosiłam dyrektora szpitala o 10 dni wolnego i zezwolenie na wyjazd do Gdańska. Dr Zimowski natychmiast wyraził zgodę, prosząc jedynie, abym zdobyte tam wiadomości przekazała po powrocie kolegom. Prof. Halikowski przyjął mnie zaś bardzo życzliwie, oddając pod opiekę jednej ze swych asystentek, dr Haliny Fołtynowej (przypadkiem okazało się, że w czasie okupacji hitlerowskiej była ona łączniczką w A.K. mojego męża i pomagała mu w ucieczce z niewoli niemieckiej). Przez prawie dwa tygodnie uczyłam się gospodarki wodno-elektrolitowej u niemowląt. Natychmiast po powrocie zajęłam się wspomnianym dzieckiem, które pomimo podawanych kroplówek pozostawało odwodnione. Zleciłam podanie mu kroplówki wyliczonej na kilogram masy ciała z rozpoznaniem hypoosmii. Efekt był doskonały. Po czterech godzinach podawania kropelek dziecko zmieniło się wyraźnie na korzyść. Z kolejną kroplówką można było poczekać do następnego dnia.

Jak już pisałam, prawie regularnie co miesiąc doc. Goncerzewicz organizowała szkolenie dla wszystkich lekarzy zajmujących się dziećmi. Podczas jednego z nich tematem były biegunki toksyczne u niemowląt, które ciągle jeszcze powodowały znaczne spustoszenie wśród naszych najmłodszych dzieci.

Zasadniczy referat miała któraś z młodych lekarek specjalizujących się w poznańskiej klinice u pani docent. Słuchałam ze zdziwieniem, bowiem podawane informacje nie różniły się od tego, czego uczyłam się jeszcze w 1951 roku na kursie organizowanym przez Instytut Matki i Dziecka. W ciągu dziewięciu lat, jakie upłynęły od tego czasu, stan wiedzy na ten temat bardzo się zmienił. Właśnie w Instytucie Matki i Dziecka w 1956 roku odrabiałam trzymiesięczny staż przed egzaminem na drugi stopień specjalizacji z pediatrii. Dowiedziałam się wówczas, że "w świecie" metody leczenia niemowląt bardzo się zmieniły. W stanach najcięższych nie podawano (jak dotąd) żadnych środków pobudzających (np. coffeiny), ponieważ co prawda powodowały one chwilowe ożywienie dziecka, ale niestety zaraz potem – jakby po nadmiernym wysiłku – następowało gwałtowne załamanie. Wygłaszająca podczas szkolenia referat lekarka twierdziła, że zalecane kroplówki nadal obejmują tylko 5% glukozę z 0,9% solą fizjologiczną w dowolnych proporcjach. Mając w głowie świeżo przyswojone metody prof. Halikowskiego, których skuteczność już u siebie wypróbowałam, zabrałam głos w dyskusji. Podane przez referentkę metody uznałam za historyczne. Powiedziałam, że są inne – nowsze i lepsze, po czym wyjaśniłam na czym one polegają. Zamiast pobudzać należy jakby "uśpić" niemowlę, by "jak mysz pod miotłą" przeczekało najgorszy czas, aż do osiągnięcia rezultatów prawidłowego nawadniania. Myślałam, że doc. Goncerzewicz podejmie ten temat i rozszerzy moje wystąpienie. Tymczasem usłyszałam, że "dr Przybyszewska, mając drugi stopień specjalizacji z pediatrii, ma prawo w

swoim oddziale prowadzić jakieś nowatorskie i eksperymentalne leczenie, ale wszyscy musicie sobie zdać sprawę, że to co zostało przedstawione w referacie jest obowiązujące; tak należy leczyć powierzone wam dzieci, aby nikt nie miał do was pretensji". Gdybym mogła się zapaść pod ziemię, chętnie bym to zrobiła, aby uniknąć dziwnych spojrzeń koleżanek i kolegów. Opinia doc. Goncerzewiczowej nie wpłynęła jednak na zmianę moich przekonań. W swoim oddziale nadal stosowałam "nowatorskie" metody i miałam dobre wyniki.

W tym czasie nasiliły się zachorowania u dzieci od trzeciego roku życia na tzw. "gorączkę reumatyczną" z zajęciem przede wszystkim serca, bardzo szybko doprowadzającą do ciężkich stanów. Po kilkutygodniowym pobycie dziecka w szpitalu, gdzie było trzymane – często siłą – w łóżku i leczone penicyliną, kierowano je na dwa lub trzy miesiące do sanatorium dla dzieci. Dla nas takie sanatorium mieściło się w Ciechocinku. Zawiozłam tam na trzy miesiące moją Basię, gdy – jak dziś sądzę – niesłusznie rozpoznałam u niej początki tej choroby.

W Świebodzinie warunki materialne i mieszkaniowe mieliśmy dobre. Co prawda nasze pensje były niewielkie, ale życie w tym mieście nie kosztowało tak drogo, jak w Wałbrzychu. W dodatku udało mi się znaleźć pomoc domową. Została nią starsza, siedemdziesięcioletnia, osoba, ciągle jednak sprawna i zdrowa, a co najważniejsze uczciwa i bardzo życzliwa. Pani Zosia od wczesnej młodości ciężko pracowała, aby utrzymać siebie i pomagać rodzinie – siostrom mieszkającym w obecnej Białorusi, gdzie bez wsparcia z jej strony nie

mogłyby nawet wyjść za mąż. Jak to często w takich sytuacjach bywa, żadnej wdzięczności nigdy nie odczuła. Rewolucje bolszewicką przeżyła niedaleko polskiej granicy. Potem długie lata mieszkała w Warszawie zajmując się dwojgiem dzieci i prowadzeniem domu jakiejś inteligenckiej rodziny. Kiedy zachorowała, gospodarze kazali jej nie tylko opuścić ich dom, ale i miasto. Udała się więc do Świebodzina, gdzie mieszkała jej siostrzenica – jedyna rodzina w Polsce. Dopóki ciotka miała zapas pieniędzy, była dobrze traktowana. Kiedy się skończył, siostrzenica wymówiła jej mieszkanie i wyżywienie. Szczęśliwie dla nas ktoś panią Zosię skierował do mnie. Zastąpiła mi matkę, zajęła się domem, tak że mogłam spokojnie zająć się pracą, a gdy zaproponowano mi stanowisko radnej, nie odmówiłam.

Szpital na 250 łóżek mieścił się w Świebodzinie w dość dobrze utrzymanym poniemieckim budynku, ale przychodnie były rozrzucone po różnych starych budynkach, czasem wręcz nadających się do rozbiórki. Nasze służbowe mieszkanie znajdowało się w porządnym domu na pierwszym piętrze. Było duże, wygodne i dobrze ogrzewane. W tym samym budynku, wynajmowanym przez służbę zdrowia od Polki mieszkającej w Szwajcarii, na parterze znajdowała się administracja domów miejskich, rentgen, niektóre poradnie dla dorosłych i dla dzieci (wszystkie bardzo zagęszczone). Na jednym z zebrań radnych zwróciłam uwagę, że na przeciwko mojego mieszkania jest duża sala, w której podobno kiedyś mieściło się jakieś stowarzyszenie szewców, a obecnie pracuje jeden szewc. Gdyby udało się usunąć z budynku administrację i tego szewca, po

remontcie można by uzyskać kilka przyzwoitych gabinetów lekarskich, a także rtg i laboratorium miałyby więcej miejsca. Radni przyjęli z zainteresowaniem moją propozycję i wzięli ją na jakiś czas pod rozważenie. Wreszcie przyszli do mnie i powiedzieli, że znaleźli lepsze rozwiązanie poprawienia warunków pracy przychodni lekarskiej. Otóż okazało się, że miejscowej służby zdrowia nie stać na remont wskazanych przeze mnie pomieszczeń. Natomiast mieszkanie zajmowane przez moją rodzinę – faktycznie bardzo obszerne, choć mające tylko cztery pokoje – jest zupełnie czyste i nie zniszczone. Można by dla nas znaleźć jakieś inne lokum, a w tym od razu umieścić przychodnię. Nie mogłam im odmówić racji. Zgodziłam się na przeprowadzkę, pod warunkiem jednak, że mieszkanie będzie najwyżej na pierwszym piętrze, bo moja gosposia nie jest w stanie wchodzić wyżej (windy oczywiście nigdzie nie było). Niestety takiego mieszkania nie znaleziono.

W tym samym czasie spotkałam dr. Michniewicza – kierownika Wydziału Zdrowia w Nowej Soli, z którym byłam przez kilka tygodni na szkoleniu w Białymstoku, zorganizowanym przez wspaniałego pediatrę–organizatora dr Białównę. Dr Michniewicz gorąco mnie namawiał, abym przeniosła się do Nowej Soli. Był tam sześćdziesięciołżkowy szpital dziecięcy, prowadzony dotąd przez małżeństwo lekarskie, z którego żona – z drugim stopniem specjalizacji – była ordynatorem, a mąż – z pierwszym stopniem – dyrektorem. Małżeństwo to właśnie opuściło Nową Sól, a lekarz, który zgłosił się na ich miejsce, ma tylko specjalizację pierwszego stopnia, więc ordynatorem być nie może. Propozycja dr. Michniewicza

wydała mi się warta rozważenia. W Świebodzinie miano mi za złe, że nie zwolniłam potrzebnego dla przychodni lokalu, a tam obiecywano mi wygodne mieszkanie w większym mieście i ciekawą pracę. Decyzja była trudna, ale raczej skłaniałam się ku odmowie. Radziłam się męża i moich asystentów, z których dwóch młodych – jeszcze kawalerów – pracowało ze mną już dwa lata. Jeden z nich – Albin Sądowski, mający już narzeczoną, zachęcał mnie do wyjazdu i zapowiadał, że pojedzie razem ze mną zabierając ze sobą przyszłą żonę. Oddział w Świebodzinie można było zostawić pod opieką dr. Jelka, który miałby do pomocy Leszka Skolińca oraz Kazia Krawczyka – bardzo wartościowego, inteligentnego i sympatycznego asystenta bez dyplomu lekarskiego (po szkole felczerskiej zajmującego się pediatrią). A jednak ciągle się wahałam. Dr Michniewicz wielokrotnie dzwonił, żeby mnie namawiać do przeprowadzki, a któregoś dnia przyjechał do Świebodzina także ów lekarz–pediatra z pierwszym stopniem specjalizacji – Dionizy Kozakiewicz, który w szpitalu dziecięcym w Nowej Soli zajmował stanowisko dyrektora. Na rozmowę z nim zaprosiłam męża i Albina Sądowskiego, chcąc poznać ich opinię o moim ewentualnym asystencie–dyrektorze. Bardzo się obawiałam tego dziwnego układu, jaki ustaliły dla nas zielonogórskie władze. Uważałam, że jeżeli szpital obejmuje tylko jeden oddział, to jego ordynator winien być również dyrektorem całej placówki. Zawsze jako ordynator miałam pełną swobodę w pracy na oddziale. Żaden dyrektor nie wtrącał się do spraw oddziału. Czymże jednak będzie się zajmował w nowosolskim szpitalu–oddziale? Pan Kozakiewicz podczas naszej rozmowy w

Świebodzinie był bardzo wymowny i zapewniał, że stworzymy znakomity team. Ja będę miała pełną swobodę w prowadzeniu oddziału, a on zdejmie ze mnie wszelkie uciążliwe sprawy administracyjne. Twierdził poetycko, że "kwiaty mi będzie rzucać pod nogi i z róż kolce odrywać". Mówił, że zależy mu na stanowisku dyrektora wyłącznie z uwagi na dorastającą córkę, którą opiekuje się od małego dziecka sam. Poinformował nas, że pochodzi z kresów wschodnich, w czasie wojny był na robotach w Niemczech, gdzie poznał matkę swojego dziecka – prostą robotnicę, prawie analfabetkę (zostawił ją Niemczech i nie utrzymywał z nią kontaktu), następnie skończył studia medyczne we Frankfurcie nad Menem oraz zrobił specjalizację z pediatrii w Gdańsku, w klinice prowadzonej przez prof. Erecińskiego.

Zastanawiałam się poważnie, co robić dalej (dr. Kozakiewiczowi obiecałam, że jeżeli się zdecyduję na wyjazd do Nowej Soli, przekażę wiadomość przez dr. Michniewicza), ale – jak dotąd – pracowałam w Świebodzinie. Właśnie jeden z lekarzy sanatoryjnych poprosił mnie o pomoc w leczeniu swojego dziecka. Dowiedziałam się, że pięcioletnia dziewczynka przez dwa tygodnie brała antybiotyki i kiedy wydawało się, że zdrowieje, nagle wysoko zagorączkowała. Była ciepła wczesną wiosną. Kaloryfery w sanatorium jeszcze grzały. Instyktownie poprosiłam męża, by poszedł ze mną, bo prawdopodobnie będzie mi potrzebny. Weszliśmy do ładnego i przestronnego, ale bardzo przegrzanego mieszkania. Na środku dużego pokoju stało łóżeczko, a w nim leżało wyraźnie rozpalone dziecko. Miało wysoką gorączkę, ale oddech – choć dość

częsty – był raczej swobodny. To mnie uspokoiło, bo obawiałam się zapalenia płuc, które najprawdopodobniej mogłam jednak wykluczyć, zwłaszcza, że osłuchowo nie stwierdziłam w nich żadnych zmian zapalnych. Po zbadaniu ustaliłam natomiast, że mała ma zapalenie migdałków, ale poza starymi "kraterami" czopów nie było. Rodzice nie mogli zrozumieć, dlaczego skoro dziecko nie jest ciężko chore, ciągle tak wysoko gorączkuje. zaproponowałam natychmiastową chłodną kąpiel. Po krótkiej namowie matka zgodziła się wykąpać córeczkę (oczywiście najpierw nie mogła pojąć, jak można kąpać dziecko w czasie choroby), ale w ciepłej wodzie. Kiedy ja rozmawiałam z rodzicami mój mąż chodził po mieszkaniu i w przyległych pokojach zakręcał kaloryfery i uchylał okna. Już kiedy udawałam się z dzieckiem i jego matką do łazienki, powietrze w mieszkaniu nieco zelżało. Z kąpielą miałam jednak pewne problemy, bo matka naląła do wanienki zdecydowanie ciepłej wody. Poprosiłam ją więc, żeby zrobiła mojemu mężowi kawy, zapewniając że ja już dopilnuję kąpieli dziecka. Udało mi się dolać tyle zimnej wody, że woda zrobiła się chłodna. Co prawda przy pierwszym zetknięciu z wodą dziewczynka krzyknęła, aż przyskoczył do mnie jej zdenerwowany ojciec, ale gdy się już zanurzyła, uspokoiła się zupełnie, a gdy po dwóch minutach owinięta w prześcieradło została położona w łóżeczku, była mniej rozpalona i wyglądała na zdrowszą. Następnego dnia zapytałam ojca, jak się czuje córeczka. Odparł, że przestała gorączkować, wstała, biega i wydaje się zdrowa. Zapytał mnie dlaczego kąpiel tak podziałała (choć jako lekarz zajmował się dziećmi, nie był pediatrą). Wyjaśniłam

mu, że przy nadmiarze ciepła w powietrzu i pod przykryciem, nie myta przez dwa tygodnie skóra wydzielala toksyny bakteryjne i własnego metabolizmu, które powodowały rodzaj zatrucia.

W latach sześćdziesiątych musiałam zresztą walczyć nie tylko o chłodne kąpiele zamiast stosowania szkodliwych dla dzieci środków przeciwgorączkowych. Kiedyś, gdy byłam z rodziną w upalne lato na wakacjach w lesie nad jeziorem, przyjechał po mnie samochód z sanatorium. Jeden z oddziałów opanowała odra. Co prawda na ogół dzieci przechodzą tę chorobę łagodnie, ale wiedziałam, że zdarzają się też poważne stany. Nie było więc rady, trzeba było jechać. To co zastałam po przyjeździe zupełnie mnie zaskoczyło i przeraziło. Już w drzwiach sanatorium usłyszałam gremialny kaszel z bardzo utrudnionym stękającym wydechem. Czyżby wszystkie dzieci miały zapalenie płuc? Przyczyny takiego stanu rzeczy zrozumiałam, kiedy weszłam nieco głębiej. W sali było ciemno i duszno, bo starym zabobonnym zwyczajem okna zostały nie tylko szczelnie zamknięte, ale i dokładnie zaciemnione przybitymi kocami. Nie wyrażając nawet zdumienia, natychmiast odsłoniłam i otworzyłam okna. Potem dowiedziałam się, że w jednej sali zgromadzono wszystkie dzieci chore na odrę – zamiast sześciu zobaczyłam około dwudziestu łóżek. Nic dziwnego, że takich warunków dziecięce płuca nie wytrzymały. Już po godzinie część dzieci, odetchnawszy świeżym powietrzem, uspokoiła się. Niestety około dziesięciorga miało rzeczywiście zapalenie płuc. Znowu zastosowałam chłodne kąpiele i solidne wietrzenie. Szczęście nas nie opuściło i po tygodniu już

wszystkie dzieci swobodne i zdrowe szykowały się do przewidzianych operacji.

Ostatecznie, po wielu jeszcze naradach z dr Sądowskim i moim mężem zdecydowałam się zwolnić mieszkanie w Świebodzinie i przyjąć ordynaturę w Nowej Soli...*

* Tutaj wspomnienia się urywają. Ewa z Podgórskich Przybyszewska była ordynatorem w Szpitalu Dziecięcym w Nowej Soli w latach 1961–1963. Konflikt z dyrektorem Dionizym Kozakiewiczem, którego się instyktownie obawiała, był przyczyną wielu stresów i ostatecznie skłonił ją do kolejnej zmiany pracy. Po wygraniu konkursu na ordynatora oddziału dziecięcego w nowo zbudowanym Szpitalu Miejskim nr 2 (następnie Szpitalu Wojewódzkim) we Włocławku, przeniosła się wraz z rodziną do tego miasta na Kujawach i mieszkała tam do roku 1984, kiedy – już na emeryturze – przeprowadziła się wraz z mężem (zmarłym 14 stycznia 1995 roku) do Warszawy. Tam mieszka też, z rodzinami, troje z jej czworga dzieci – Maciej (żona – Danuta, synowie – Michał i Paweł), Wojciech (żona – Małgorzata, dzieci – Olaf, Małgosia i Wojtek) oraz Barbara (mąż – Leszek Jarmański, córka – Ania). Cała lekarska rodzina najstarszego syna, Tomasza (żona – Danuta, syn – Borys) mieszka w Olsztynie.

Ewa Przybyszewska zmarła w Warszawie 27 lutego 1999 roku w wieku osiemdziesięciu lat. Do ostatnich dni życia uczestniczyła w konferencjach naukowych i zjazdach pediatrycznych, pomagała wymagającym opieki lekarskiej dzieciom, interesowała się projektami wprowadzanej reformy służby zdrowia, krytykowała je i przedstawiała własne propozycje zmian.

INDEKS NAZWISK I MIEJSC

- "Antoniak", powstaniec warszawski 33
Agnieszka, pomoc domowa 62
Aleksandrowicz Julian, prof. 55
- Babecki, dr 121
Babicki Waclaw, dr 74, 88
Bartecka Teresa, dr 98, 101
Bartecki, dr 98
Bednarski Zbigniew 26, 45
Białówna, dr 130
Białystok 130
Bogdanowicz Jan, prof. 101
Bolecki, dr 102
Borkowscy 40
Borkowska Janina 35, 40
Borkowski, prof. 20
Busko 13-15
Bydgoszcz 3, 7, 8, 13, 51, 53, 57, 58, 72, 84
- Chacewicz Włodzimierz, dr 94, 95
Chwalibogowski 67
Ciechocinek 128
Coldnitz 30

138

Czubelski, prof. 19

Danielewicz Jan, doc. 116-118

Dega, prof. 123

Doerffer Henryka, dr 93

Dolny Śląsk 87

Ereciński, prof. 132

Fastman, dr 117, 118

Łoŧynowa Halina Zofia, dr 126

Frankfurt nad Menem 132

Gawlikowscy 37, 40

Gawlikowski, teść koleżanki 40

Gądzikiewicz, prof. 20

Gąsinowska Zena 30, 31

Gdańsk 93, 107, 126, 132

Generalna Gubernia 8, 13

Giżycko 73-75, 79-83, 87, 88, 93, 98, 99, 102, 119

Gleigewichtowa, dr 104-106, 109, 110

Globisz, dr 111, 112

Gomułka Władysław 101

Goncerzewiczowa Maria Irena, doc. 121, 125-128

Grimm, bracia 121

Grodzisk Mazowiecki 39

Groer Franciszek, prof. 101, 114-116

Gruca, prof. 107, 108

Gryfów Śląski 61, 62, 64-66, 69, 72

Halikowski Bogusław Kazimierz, prof. 126, 127

Hartel (Ulkowska) Narka 23, 53, 54

Hinc-Mielnik Łucja, dr 98

Hirszfeldowa, dr 109

Hrynkiewicz-Klasse Maria, dr 74, 76, 77, 83

Janczur Jerzy, ksiądz 41, 42, 46

Janczur, brat Jerzego, ksiądz 46

Janczurowie 41

Jankowiak, dr 119

Jankowski, inż. 15

Jarmińska Anna, wnuczka 135

Jarmiński Leszek, zięć 135

Jarosław 13

Jasiński, dr 76

Jelek, dr 121, 124, 131

Jelenia Góra 61

Juchniewicz Jan, dr 75, 77

Kalandyk, prof. 4-6

Kalnik (Pleszyńska) Wanda 12, 19, 58

Kamiński Stanisław, płk 45

Kapitowa, dr 110

Karpacz 59

Kazimierza Wielka 14

Kędra, dr 54, 55

140

Kętrzyn 74

Kielce 40, 41, 43

Klujowa, działaczka w PZPR 101

Kodejszko, dr 23, 24, 47

Kossowska Ewa, dr 117

Kotowski Ludwik, por. 38, 45

Kozakiewicz Dionizy, dr 131, 132, 135

Kozłowska, dr 124, 125

Kraków 13, 14, 37, 40, 51-54, 57-59, 61, 62, 69, 70,
72, 82, 108

Krassowski Zygmunt, dr 78, 84

Krawczyk Józef 26-29, 31, 38

Krawczyk Kazimierz 131

Kresy Wschodnie 3, 58, 61, 73, 132

Kurkiewicz, prof. 5, 12

Kusto, dr 79

Kuźmicka Zofia 128-130

Lehmanowa, sanitariuszka w powstaniu warszawskim
38, 39

Lidzbark Warmiński 101

Lipiński Jan Klemens, dr 75

Loth Edward, prof. 18, 19

Lwów 16, 55

Łódź 121

Malinowska (Basińska) Maria 25, 26, 28, 29, 31

- Małachowscy 70
Małachowski, dr 64, 69–71
Markowska Łucja 58
Michałowicz, prof. 106
Michałowice k. Krakowa 51
Michniewicz, dr 130-132
Miedwiednik (Chojnowska) Aleksandra 43
Miedwiednik Antonina 43
Miedwiednik Malwina 43
Miedwiednik Michał 43
Międzyrzec 15
Milanówek 38, 39
Morąg 74, 87-91, 93, 98, 100-102, 107, 108, 118, 119
Mrągowo 93, 109, 114
Mroszkiewicz, dr 47, 50
Mróz Edward, dr 89, 93, 94, 98
- Niedźwiedź, wieś k. Słomnik 13, 41–43, 46, 51–53
Niepołomski Witold, dr 21, 22
Nowa Sól 130-132, 135
Nowakowski, prof. 109
Nowicka, dr 108
Nowicki, prof. 69, 70
Nowkuńska Lala 51, 53
- Ogiegło Maria 51-53
Olszewski Maciej 18, 19, 21
Olsztyn 73, 89, 92, 93, 98, 101, 108, 135

142

Olsztyńskie 73, 75, 88, 93, 101, 110, 114

Orłowski Witold, prof. 22-24, 47

Ostrowscy 9

Ostrowski Staszek 9

Oszacki, prof. 54

Paradowski, prof. 100

Paszkiewicz Ludwik, prof. 20-22

Pieniążek, dr 55, 59

Piltz, dr 118, 119

Płock 8, 9

Podgórska Ewa, bratowa 15

Podgórska Jadwiga, matka 5, 7, 8, 13-15, 37, 40-44,
52, 53, 57, 58, 61, 62, 69, 72, 75, 88, 99,
101

Podgórski Andrzej, brat 7, 8, 15, 37, 40-44, 52-56, 72

Podgórski Andrzej (?), stryj 12, 14

Podgórski Juliusz, brat 15, 43, 52, 53, 72, 73

Podgórski Stefan, stryj 13, 14

Podgórski Wincenty, ojciec 7

Popielarska Aniela 19

Popowska Czesława 90

Poznań 3, 4, 9, 11, 12, 51, 58, 98, 123, 125, 127

Pruszków 34, 35, 37, 39, 40, 42, 43

Przemyśl 16

Przybyszewska (Przybyszewska-Jarmińska) Barbara,
córka 118, 128, 135

Przybyszewska Danuta, żona syna Macieja 135

- Przybyszewska Danuta, żona syna Tomasza 135
Przybyszewska Małgorzata, wnuczka 135
Przybyszewska Małgorzata, żona syna Wojciecha 135
Przybyszewski Borys, wnuk 135
Przybyszewski Maciej, syn 70, 72, 75, 89, 118, 135
Przybyszewski Michał, wnuk 135
Przybyszewski Olaf, wnuk 135
Przybyszewski Paweł, wnuk 135
Przybyszewski Tomasz, syn 56-58, 61, 62, 67, 69, 75,
89, 118, 135
Przybyszewski Wojciech (Czerwionko Zygmunt), mąż
25-33, 35, 38, 40, 43-45, 52, 53, 54-56,
61, 69, 73, 74, 87-89, 101, 107, 118, 121,
126, 131-133, 135
Przybyszewski Wojciech, syn 85, 89, 107, 108, 118,
135
Przybyszewski Wojciech, wnuk 135
- Rabka 108
Rondio Krzysztof, dr 100
Ropek, dr 106, 107, 111, 116, 119, 121
Różycki, prof. 5, 12
Rymkiewicz Melita 8
Rzesza Niemiecka 8, 15, 37, 40, 43, 132
- Sambor Adam 100
Sądowski Albin, dr 131, 135
Semerau-Siemianowski Zbigniew Władysław, prof. 22

144

Semler Ryszard, dr 78, 87

Siemaszko Barbara 14

Siemiradzki, por. (?) 32

Sitkowski 83

Skierniewice 40

Skoliniec Leszek, dr 131

Słomniki 41, 43, 47

Smykowa, dr 124

Sochaczew 9

Starkiewicz, dr 13

Stępniewscy 13, 41-44

Stępniewska Janina 43

Stępniewski 43

Stępowski (?), doc. 56, 57

Szczecin 118

Szczeklik, prof. 54, 55, 57

Szuster Adam, dr 101

Szwałkiewicz Olga, dr 108

Świebodzin Wielkopolski 121, 123-125, 128, 129, 131,
132, 135

Tarnowska (?), dr 120, 121

Tarnów 42

Toruń 54

Wałbrzych 102, 104-106, 108, 110, 114-121, 128

- Warszawa 8, 9, 11, 12, 14, 15, 28, 30, 32, 40, 53, 54,
58, 67, 97, 106, 107, 115-117, 119, 129,
135
- Warszawa, okolice 38
- Wartheland 8
- Wągliniec 61
- Wąsowicz, dr 19
- Werka, znajoma z Powstania Warszawskiego 28
- Wielkopolska 4
- Wierusz, dr 123, 124
- Wilkoszewski, prof. 84
- Wilno 76, 82
- Winterfeld, nauczyciel muzyki 7, 8
- Wiślica 14
- Witkowska Janina 88, 92
- Włochy k. Warszawy 37
- Włocławek 135
- Woldenberg 15, 53
- Wrocław 72, 73, 87, 104, 109, 120
- Wrzosek, prof. 3-5
- Zaleski (?), dr 123
- Zaorski, doc. 11, 12
- Zasztowt, dr 73, 87
- Zawadzki Krystjan, dr 26
- Zgorzalewicz, dr 122
- Ziaja Józef, ksiądz 45
- Zieliński Tadeusz 19

146

Zielona Góra 121, 122, 124, 125, 131

Zielonogórskie 121, 125

Ziemie Zachodnie 61, 110

Zimowski, dr 122, 126

Żabko-Potopowicz, siostra przełożona 83

Żabko-Potopowicz Bolesław, dr 74, 82, 83

Żak (Gawlikowska) Mira 37



Przyjęli H. Sulej i W. Miszta 11. dz. 1754/PSK-412/27/ I/1-154
brak rodziny?

Pracę w Zimot

I praca identyfikacyjna medalie
101 02

Ewa CZERWIONKO-PRZYBYSZEWSKA z d. Podgórska – MS 144 03

Urodziła się 15 września 1918 r. w Krakowie jako córka Wincentego Podgórskiego i Jadwigi z Janoszków.

Wczesne dzieciństwo spędziła z rodzicami w Siedlcach i koło Wilna, gdzie jej ojciec organizował Seminarium Nauczycielskie. Od września 1925 r. mieszkała z rodzicami w Bydgoszczy. Tam ukończyła gimnazjum. Do 1939 r. zaliczyła w Poznaniu 1 rok studiów medycznych. Od czerwca 1939 r. do maja 1941 r. przebywała w domu w Bydgoszczy.

Jej ojciec był w Bydgoszczy profesorem Gimnazjum Humanistycznego oraz bardzo czynnym działaczem związanym z robotniczym ruchem związkowym i Związkiem Zachodnim. W dniu 15 października 1939 r. został aresztowany i wkrótce rozstrzelany pod Bydgoszczą.

Do maja 1941 r. prowadziła w Bydgoszczy tajne nauczanie w zakresie szkoły powszechnej i małego gimnazjum dla 18 polskich dzieci z różnych klas. W dniu 2 maja 1941 r. uciekła przez „zieloną” granicę do Warszawy, aby tam kontynuować studia medyczne.

Od września 1943 r. uczestniczyła w konspiracji (ZWZ-AK). Używała ps. Ewa I. Pełniła funkcję kurierki. Zajmowała się wytwarzaniem fałszywych dokumentów (kennkarty, ausweisy, metryki urodzenia dla Polaków i Żydów). Dokumenty te przekazywała mężczyźnie o ps. Jasiak Kowalski. Zajmowała się także przenoszeniem broni i materiałów dywersyjnych z Saskiej Kępy na Żoliborz. Wiosną 1944 r. wstąpiła do WSK. Po przeszkoleniu ogólnowojskowym, jako studentka IV roku medycyny, otrzymała do szkolenia patrol sanitarny przeznaczony na Pragę.

Powstanie Warszawskie zastało ją na Mokotowie. Wzięła w nim udział jako sanitariuszka kompanii O3 i O1 baonu „Olza” pułku „Baszta”. Do kompanii O3 została wprowadzona przez ppor. Wojciecha Czerwionko-Przybyszewskiego „Bema” – zastępcę dowódcy tej kompanii i kpr. pchor. Józefa Krawczyka „Józwę”, uratowanych przez nią i jej koleżankę ps. Urszula. W dniu 27 września 1944 r. dostała się do niewoli niemieckiej.

W drodze z Fortu Mokotowskiego do Pruszkowa zbiegła. Znalazła się pod Miechowem, we wsi Niedźwiedź k. Słomnik. Tam pracowała jako pełniąca obowiązki lekarza w szpitaliku dla chorych i rannych uchodźców z Warszawy. Tam też wyszła za mąż za ppor. Wojciecha Czerwionko-Przybyszewskiego.

Jej mąż był absolwentem Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu (promocja w czerwcu 1939r.). We wrześniu 1939 r. jako oficer zawodowy w stopniu podporucznika walczył w szeregach 18 pól SGO „Narew”. Ranny 11 września pod Zambrowem dostał się do niewoli niemieckiej. W marcu 1943 r. uciekł z oflagu do Warszawy i wstąpił do Armii Krajowej. Od maja do grudnia 1943 r. był pod ps. Zych dowódcą 1 kompanii Batalionu Zaniemeńskiego w Okręgu Nowogródzkim. Od stycznia 1944 r. i w Powstaniu Warszawskim pod ps. Bem jako zastępca dowódcy kompanii O3 pułku „Baszta”. Ranny dostał się do niewoli niemieckiej, z której uciekł 29 września 1944 r. Od połowy października 1944 r. do 21 stycznia 1945 r. należał do BCh w Słomnikach. Odznaczony Krzyżem Walecznych i Srebrnym Krzyżem z Mieczami. Po wojnie pracował w bankowości. Należał do Stronnictwa Demokratycznego.

Po zakończeniu okupacji niemieckiej przenieśli się do Krakowa, gdzie pojęli studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ukończyła tam medycynę, a jej mąż prawo.

Od 1947 do 1949 r. pracowała jako lekarz w Gryfowie Śląskim koło Jeleniej Góry, a następnie jako ordynator oddziałów dziecięcych i powiatowy inspektor pediatrii w Giżycku (listopad 1949-styczeń 1952), w Morażu (styczeń 1952-sierpień 1957), w Wałbrzychu (sierpień 1957-październik 1958), w Świebodzinie (październik 1958-lipiec 1961) i w Nowej Soli (lipiec 1961-sierpień 1963). W latach 1954-1956 sprawowała także funkcję wojewódzkiego inspektora pediatrii w Olsztynie. Od sierpnia 1963 r. pracowała jako ordynator oddziału dziecięcego Szpitala im. Ziemi Kujawskiej we Włocławku.

W Świebodzinie była radną miejską. W okresie pracy i zamieszkania we Włocławku należała także do Zarządów Polskiego Towarzystwa Lekarskiego i Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego.

Od kwietnia 1969 r. była członkiem Stronnictwa Demokratycznego we Włocławku pełniąc funkcję przewodniczącej, a następnie wiceprzewodniczącej Koła Służby Zdrowia.

Od 1969 r. należała także do ZBoWiD.

W 1984 r. przenieśli się z mężem do Warszawy.

Mają dwoje dzieci – syna Wojciecha (ur. w 1950 r.) i córkę Barbarę (ur. w 1956r.).

Rozkazem KG AK Nr 512/BP z dnia 2 października 1944 r. Ewa Czerwionko-Przybyszewska została odznaczona Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari. W dniu 21 marca 1968 r. Główna Komisja Weryfikacyjna Odznaczeń przy ZG ZBoWiD pozytywnie zweryfikowała to odznaczenie.

W maju 1965 r. uzyskała pozytywną weryfikację Srebrnego Krzyża Zasługi z Mieczami.

Ponadto w 1969 r. otrzymała Odznakę Grunwaldzką, a w 1970 r. została odznaczona Medalem Za Warszawę 1939-1945 oraz Medalem Zwycięstwa i Wolności 1945.

W 1957 r. została mianowana na stopień podporucznika.

Zmarła 27 lutego 1999 r.

Źródła:

CZERWIONKO-PRZYBYSZEWSKA z d. PODGÓRSKA Ewa

AZKRPiBWP, W-96025; W-96026 (Wojciech Czerwionko-Przybyszewski); - DW UdsKiOR, Armia Krajowa. Dokumenty, t.19, Wykaz zbiorczy odznaczeń z V Obwodu AK, s. 108, 115; WI Nr 14 GKWO ZG ZBoWiD z 31.10.1968 r.

Miroslaw Sulej

Czerwionko – Przybyszewska zd. Podgórska Ewa (1918-1999) - 17 Jankiewicz 12 12 2013

Ewa Podgórska Urodzona w Krakowie 15 września 1918 r. Córka ^{genetycznym} Wincentego i Jadwigi z Janoszków.

Do siódmego roku życia mieszkała z rodzicami i dwójką braci, starszym Juliuszem i młodszym Andrzejem, w Siedlcach i w okolicach Wilna, gdzie ojciec uczył w gimnazjum w miejscowości Boruny, a także organizował ~~seminaria~~ nauczycielskie. We wrześniu 1925 r. przeprowadziła się z rodziną do Bydgoszczy, tam ^{Ewa} ukończyła Zeńskie Gimnazjum Humanistyczne. Zdecydowała się zdawać na medycynę do Poznania, bez powodzenia. W 1937 r. podjęła naukę na Wydziale Rolniczo - Leśnym Uniwersytetu w Poznaniu. Rok później rozpoczęła ^{podjąć} studia medyczne. Wybuch wojny uniemożliwił dalsze kształcenie, do tego czasu zaliczyła pierwszy rok studiów.

Wakacje 1939 r. spędzała z rodziną w Bydgoszczy. Po aresztowaniu ojca 15 września została z matką i młodszym bratem. Mieszkali w wynajętym od znajomych pokoju. Aby się utrzymać zarabiała szyciem. Matka przyjęła pracę z fabryki kombinezonów robotniczych. Od 1940 r. zaczęła nauczać na zorganizowanych przez siebie tajnych kompletach z zakresu szkoły podstawowej i gimnazjum. Pomoc rodziców wdzięcznych za naukę dzieci stanowiła wsparcie w trudnej sytuacji ekonomicznej. Jednocześnie pobierała lekcje gry na skrzypcach w konserwatorium muzycznym Niemca Winterfelda. Zdobyte umiejętności wykorzystywała podczas zebrań jakie organizowano wśród przyjaciół z okazji różnych świąt państwowych. Wiosną 1942 r. podjęła decyzję o wyjeździe, z bratem i matką, do Warszawy, aby tam kontynuować studia medyczne na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Do Warszawy dotarła 2 maja, wcześniej przekraczając nielegalnie granicę Generalnej Guberni. We wrześniu 1942 r. rozpoczęła naukę w tzw. Szkole Zaorskiego (Szkola Zawodowa dla Personelu Sanitarnego doc. Jana Zaorskiego), w której realizowano program pierwszych lat studiów medycznych. Po ukończeniu Szkoły Zaorskiego, w 1943 r., zapisała się na wykłady tajnego Uniwersytetu Warszawskiego, pracowała jednocześnie w klinikach w charakterze młodszego asystenta. W momencie wybuch Powstania Warszawskiego była na czwartym roku medycyny.

Do pracy w konspiracji włączyła się we wrześniu 1943 r. Pracowała dla organizacji socjalistycznej. Wyrabiała fałszywe dokumenty (kennkarte'y, auswais'y, metryki urodzenia itp.) dla działających w konspiracji Polaków i Żydów, które przekazywała człowiekowi o pseudonimie „Jaś Kowalski”. Pracowała także jako kurierka, przewoziła broń i materiały wybuchowe z Saskiej Kępy na Żoliborz. Wiosną 1944 r. została zaprzysiężona do AK, weszła w struktury WSK. Jako studentka medycyny, po ogólnowojskowym przeszkoleniu, pełniła

farmacja

funkcję sanitariuszki. Kierowała patrolem sanitarnym z przydziałem na Pragę. Prowadziła także szkolenia sanitarne. Zarabiała na utrzymanie udzielając lekcji dzieciom znajomych.

Brała udział w Powstaniu Warszawskim, jako sanitariuszka Kompanii 03 pułku „Baszta” na Mokotowie, używając pseudonimu „Ewa I. W pierwszych dniach powstania z koleżanką ze studiów Marią Malinowska ps. „Urszula” opiekowały się rannymi powstańcami: ppor. Wojciechem Czerwionko - Przybyszewskim ps. „Bem” oraz Józefem Kowalczykiem ps. „Józwa”. Ukrywały rannych w piwnicach i ruinach domów, a następnie pomogły przedostać się do siedziby dowództwa Kompanii przy ul. Krasickiego i umieściły w szpitalu ss. Elżbietanek.

Za służbę w powstaniu, rozkazem Komendanta Głównego AK (Nr 512/BP z dnia 2 X 1944 r.), odznaczona została **Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari**. Odznaczenie to zostało zweryfikowane przez Główną Komisję Weryfikacyjną Odznaczeń przy ZG ZBoWiD 21 III 1968 r. (DK-7040/W)

por.

Odznaczona: Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami (Nr DK-3100/W z 03.05.1965r.), Medalem za Warszawę 1939-1945 (1969 r.), Medalem Zwycięstwa i Wolności 1945r. (1970 r.), Odznaką Grunwaldzką (1969 r.), Warszawskim Krzyżem Powstańczym (1982 r.).

Po upadku powstania dostała się do niewoli (27 IX). Wyznaczona do prowadzenia konwoju rannych jeńców z Fortu Mokotowskiego do obozu w Pruszkowie. Podczas drogi uciekła, umożliwiając jednocześnie ucieczkę innym więźniom. Wyjechała do wsi Niedzwiedz koło ~~Stomnik~~ ^{Michałow} Michałowski (Kraków), gdzie zajęła się rannymi i chorymi w szpitalu zorganizowanym przez dr. Mrozkiewicza. Pomagała mi. uciekinierom z Warszawy. 28 października wyszła za mąż za Wojciecha Czerwionko - Przybyszewskiego ps. „Bem”, którym opiekowała się w powstaniu, a który uciekł z obozu w Sierniewicach.

Po zakończeniu wojny przeprowadzili się z mężem do Krakowa, gdzie podjęła pracę jako wolontariusz w Szpitalu św. Łazarza, jednocześnie kontynuowała przerwane studia medyczne na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1947 r. przenieśli się do Gryfowa Śląskiego, tam pełniła obowiązki lekarza - asystenta Szpitala Miejskiego oraz Kierownika Przychodni Obwodowej. Pracowała także w Domu Małego Dziecka „Caritas”. W lutym 1949 r. otrzymała dyplom lekarski. Pracując w kolejnych szpitalach w: Giżycku (1949-1952), Morągu (1952-1957), Wałbrzychu (1957-1958), Świebodzinie Wielkopolskim (1958-1961), Nowej Soli (1961-1963), Włocławku (1963-1976) była m.in. organizatorką i ordynatorem Oddziałów Dziecięco - Noworodkowych, pełniła funkcję inspektora do spraw

pediatrii, wykładała higienę i pediatrię w szkołach pielęgniarskich. W 1977 r. przeszła na emeryturę. W 1984 r. przeprowadziła się do Warszawy.

VM

Mianowana na stopień podporucznika rozkazem MON Nr 01139 z dnia 17 XII 1957 r. Członkini Polskiego Towarzystwa Lekarskiego i Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego, Ligi Kobiet, Polskiego Komitetu Korczakowskiego. Prezes Koła Służby Zdrowia (1974-1976); radna MRN w Świebodzinie (1962-1963); członkini Stronnictwa Demokratycznego (1964-1981). Odznaczona: Odznaką: „Zasłużonemu - Polskie Towarzystwo Lekarskie”, Odznaką Zasłużonego Działacza Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, Odznaką „Przyjaciół Dziecka”, Zasłużony Działacz FJN, Honorową Odznaką Ligi Kobiet, Odznaką „Za zasługi dla woj. wrocławskiego”, Odznaką „Zasłużony dla m. Wrocławka”

?

Zmarła 27 lutego 1999 r. Pochowana została na cmentarzu komunalnym przy ul. Poprzecznej w Olsztynie.

Ojciec profesor gimnazjum, społecznik; pełnił funkcję prezesa Związków Zawodowych, był także członkiem Związku Zachodniego. Aresztowany przez Niemców w 1939 r., został zamordowany w końcu października lub na początku listopada w Dolinie Śmierci w Fordonie. Brat ^{nr 104} Andrzej, zatrzymany ^{w Białym} podczas ulicznej łapanki, skierowany do pracy w Łęgnowie, gdzie budowano tajną fabrykę broni. Po wojnie zapisał się na Wydział Budowlany Politechniki w Krakowie. Starszy brat - pilot dostał się do niewoli, był więziony w obozie w Woldenbergu. Powrócił po zakończeniu wojny. Mąż Wojciech Czerwionko - Przybyszewski ps. „Rafał”, „Zych”, „Bem”, ukończył w 1939 r. Szkołę Podchorążych Artylerii w Toruniu. Ranny w bitwie pod Zambrowem (11 IX) dostał się do niewoli, z której uciekł (6 III 1943 r.) Przedostał się do Warszawy, gdzie wstąpił do AK. Skierowany został do partyzantki na stanowisko dowódcy 1 Kompanii Batalionu Zaniemeńskiego w okręgu lidzkim. Od 1 maja 1944 r. zastępca dowódcy Kompanii 03 pułku „Baszta”, por. Ludwika Kotowskiego „Ludwika Sybiriaka”. Po zakończeniu wojny podjął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, dyplom otrzymał w lutym 1950 r. Za przynależność do AK prześladowany przez władze PRL, miał problemy z podjęciem pracy. W 1949 r. aresztowany, zdegradowany do stopnia podoficera. Zmarł w 1995 r. ^{KAO} Wychowali czwórkę dzieci: trzech synów - Tomasza, Macieja i Wojtka oraz córkę - Barbarę.

?

Bibliografia:

ile stron

APAK, T. 3367/WSK (tam Pamiętnik, E. Czerwionko); AZKRPiBWP, W-96025; W-96026 (Wojciech Czerwionko - Przybyszewski); DW UdsKiOR, Armia Krajowa. Dokumenty, t. 19,

1-160

Wykaz zbiorczy z V Obwodu AK, s. 108,115; WI Nr 14 GKWO ZG ZBoWiD z 31.10.1968 r.; - Czerwionko-Przybyszewska E., *Pierwsze dni Powstania Warszawskiego*, w: L. Kotowski, *Moja Kompania Pułku AK „Baszta”*, Warszawa 2002, s. 223-225; *Czerwionko-Przybyszewska Ewa* w: Bednarski Z. M., *Lekarze Warmii i Mazur 1945-1999. Słownik biograficzny*, Olsztyn 2000, s. 23-24; *Wincenty Podgórski*, w: *Echo klasyków Bydgoskich*, T. 3, Bydgoszcz 1988, s. 36.

Anna Jankiewicz

18.06.2003 r.



11-160

Wykaz zbiorczy z V Obwodu AK, s. 108,115; WI Nr 14 GKWO ZG ZBoWiD z 31.10.1968 r.; - Czerwionko-Przybyszewska E., *Pierwsze dni Powstania Warszawskiego*, w: L. Kotowski, *Moja Kompania Pułku AK „Baszta”*, Warszawa 2002, s. 223-225; *Czerwionko-Przybyszewska Ewa* w: Bednarski Z. M., *Lekarze Warmii i Mazur 1945-1999. Słownik biograficzny*, Olsztyn 2000, s. 23-24; *Wincenty Podgórski*, w: *Echo klasyków Bydgoskich*, T. 3, Bydgoszcz 1988, s. 36.

Anna Jurkiewicz

18.06.2003 r.



Biogram oprac. przez EZ i D.W. do I tomu „Stożki VM”

IIh-101

CZERWIONKO-PRZYBYSZEWSKA z d. PODGÓRSKA Ewa (1918-1999), ps. Ewa I, członkini Boj. Org. Pol. Socjal, od wiosny 1944 r. patrolowa sanitarna WSK Obwodu AK Praga, W Powstaniu sanitariuszka 3 kompanii I baonu pułku „Baszta”; z zawodu lekarz

Ewa Podgórska urodziła się 15 września 1918 r. w Krakowie jako córka Wincentego i Jadwigi z d. Janosz. Do 7 roku życia mieszkała z rodzicami i dwoma braćmi w Siedlcach, potem w Borunach koło Wilna, gdzie jej ojciec po odzyskaniu przez Polskę niepodległości organizował seminarium nauczycielskie. Od września 1925 r. rodzina mieszkała w Bydgoszczy. Tam Ewa ukończyła w 1937 r. Żeńskie Gimnazjum Humanistyczne. Podjęła studia na Uniwersytecie Poznańskim. Nie dostawszy się na wymarzone studia medyczne przez rok była studentką wydziału rolniczo-leśnego a w roku akademickim 1938/1939 zaliczyła pierwszy rok studiów medycznych.

Wybuch wojny w 1939 r. zmienił całkowicie życie Ewy. Ojciec, profesor bydgoskiego gimnazjum i działacz społeczny ^{przez Niemców} został rozstrzelany w październiku 1939 r. Matka, usunięta z mieszkania zarabowała jako robotnica fabryczna. Ewa, zdobywszy chroniący ją ausweis uczennicy niemieckiego konserwatorium muzycznego, zajęta była niebezpiecznym tajnym nauczaniem dzieci. W 1942 r. dowiedziała się o funkcjonowaniu w Warszawie „Szkoły Zaorskiego” zastępującej studia medyczne. Razem z bratem przedostała się przez „zieloną granicę” do Generalnego Gubernatorstwa do Warszawy i tam udało jej się kontynuować studia medyczne. Zarabowała tajnym udzielaniem lekcji dzieciom, a od września 1943 r. fabrykowaniem ^{ta} ~~falszywych~~ „Kennkart” dla zagrożonych Polaków i Żydów, nie wiedząc wówczas, że uczestniczy w działalności Bojowej Organizacji Polskich Socjalistów. Przewoziła też w różne miejsca materiały do produkcji sidolek. Wiosną 1944 r., pracując jako młodsza asystentka kliniki ^{intermedycznej}, równocześnie studentka IV roku medycyny tajnego UW, została ^{przez Niemców} ~~zaprzysiężoną do Armii Krajowej~~ jako „Ewa I” (Po ukończeniu kursu ogólnowojskowego została patrolową ^{patrolowa} sanitarną Wojskowej Służby Kobiet Obw. AK Praga.)

W Powstaniu Warszawskim uczestniczyła jednak jako sanitariuszka III plutonu 3 kompanii I ⁰³ ~~baonu~~ pułku „Baszta” na Mokotowie gdzie wówczas mieszkała. W pierwszych dniach Powstania opiekowała się rannymi powstańcami a wśród nich ciężko rannym pierwszym dnia Powstania ppor. Wojciechem Czerwionko-Przybyszewskim ps. Bem, swoim przyszłym mężem. („Bem” był dowódcą III plutonu i zarazem zastępcą dowódcy 3 komp. por. Ludwika Kotowskiego ps. Ludwik). Ukrywała rannych w piwnicach i jeszcze tlejących ruinach domów, opanowanego przez Niemców Mokotowa. Potem przy pomocy sanitariuszki i łączniczki „Narcyzy” Zeny Gąsiniowskiej (VM) ^{fakcie rezydentem Bem} przysłanej przez „Ludwika”, przedostała się

z rannymi przy najwyższym zagrożeniu do szpitala Ss. Elżbietanek. Tam dalej pełniła funkcję salowej, sprzątaczk, pielęgniarki i lekarza swojej 3 kompanii. 27 września 1944 r. poszła do niewoli (w czasie Powstania zdążyła wziąć ślub cywilny) opiekując się rannymi wiezionymi na wozach.

Ppor. Ewa Czerwionko-Przybyszewska Rozkazem KG AK Nr 512/BP z dnia 2 października 1944 r. została odznaczona Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego VIRTUTI MILITARI. Wiadomość o tym uzyskała z początkowym niedowierzaniem w 1946 r. przywieziona przez wracającego z niewoli brata. W dniu 21 marca 1968 r. Główna Komisja ds. Weryfikacji Odznaczeń przy ZG ZBoWiD zweryfikowała to odznaczenie z nr. zaśw. DK-7040/W. W maju 1965 r. uzyskała również weryfikację Srebrnego Krzyża Zasługi z Mieczami. Ponadto odznaczona Odznaką Grunwaldzką (1969), Medalem Za Warszawę 1939-1945 (1970) oraz Medalem Zwycięstwa i Wolności 1945.

W końcu września 1944 r. udało się jej wraz z grupą mniej rannych uciec z transportu. Dotarła do wsi Niedźwiedz k. Miechowa i tam pracowała jako lekarz w szpitaliku dla uchodźców z Warszawy (już po ślubie kościelnym). Zamieszkała z mężem w Krakowie, gdzie ukończyła studia medyczne. Od 1947 do 1949 r. pracowała jako lekarz w Gryfowie Śląskim k. Jeleniej Góry a następnie jako ordynator oddziałów dziecięcych i powiatowy inspektor pediatrii w Giżycku do 1952 r. W latach 1954-1956 sprawowała także funkcję wojewódzkiego inspektora pediatrii w Olsztynie. Potem pracowała w Morągu do 1957. Następne miejsca pracy to Wałbrzych do 1958, Świebodzin do 1961, gdzie była również radną miejską, i do 1963 r. w Nowej Soli. Od sierpnia 1963 r. pracowała jako ordynator oddziału dziecięcego Szpitala im. Ziemi Kujawskiej we Włocławku. W okresie pracy i zamieszkania we Włocławku należała także do Zarządów Polskiego Towarzystwa Lekarskiego i Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego. Od kwietnia 1969 r. była razem z mężem członkiem Stronnictwa Demokratycznego we Włocławku pełniąc funkcję przewodniczącej a następnie wiceprzewodniczącej Koła Służby Zdrowia. Od 1969 r. należała także do ZBoWiD a potem do ZKRPiBWP. W 1984 r. rodzina przeniosła się na stałe do Warszawy i tam Ewa Czerwionko zmarła 27 lutego 1999 r.

Ojciec Wincenty Podgórski, inż. i matematyk, od 1925 r. profesor Gimnazjum Humanistycznego w Bydgoszczy, czynny działacz związany z robotniczym ruchem związkowym i Związkiem Zachodnim, aresztowany 15 X 1939 r. i wkrótce rozstrzelany pod Bydgoszczą. Mąż Wojciech Czerwionko-Przybyszewski (1915-1995) walczył jako oficer zawodowy w Kampanii Wrześniowej w szeregach 18 pal SGO „Narew”. Ranny dostał się do niewoli niemieckiej skąd uciekł w marcu 1943 r., w AK i jako „Zych” był dowódcą 1

kompanii Batalionu Zaniemeńskiego w Okręgu Nowogródzkim. Potem w Warszawie uczestniczył w Powstaniu. Po kapitulacji uciekł ranny z transportu i do stycznia 1945 r. należał do partyzantki BCh w Słomnikach pow. Miechów. Po wojnie ukończył prawo na UJ i pracował w bankowości. Małżeństwo miało 4 dzieci: synów Tomasza (ur. 1946), Macieja (1948), Wojciech (ur. 1950) i córka Barbara (ur. 1956)

APAK, T: 3367/WSK (tamże niepublikowany pamiętnik E. Czerwionko-Przybyszewskiej pt. *Moja medycyna*, ss. 138); AZG ZKRPIBWP, sygn. W-96025 (Ewa Czerwionko-Przybyszewska); W-96026 (Wojciech Czerwionko-Przybyszewski); DW UdsKiOR, Armia Krajowa. Dokumenty, t.19; Wykaz zbiorczy odznaczeń z V Obwodu AK, s. 108, 115; WI Nr 14 GKWO ZG ZBoWiD z 31.10.1968 r.; GBL, k. o. E. Czerwionko-Przybyszewska;

Ajewski, *Mokotów walczy...*, s. 117, 238 (fot.); Bednarski Z., *Lekarze Warmii i Mazur 1945-1999. Sł. Biograficzny*, Olsztyn 2000, s. 23-24; **Czerwionko-Przybyszewska E.**, *Moje Powstanie*, w: *Powstanie i medycyna...*, T. II, s. 53-67; *taż*, *Pierwsze dni Powstania Warszawskiego*, w: Kotowski L., *Moja Kompania. Pułk AK „Baszta”*, s. 223-225; *taż*, *Obowiązkiem lekarzy – dbałość o dziecko*, *Życie Warszawy*, 2-3 VI 1999; W-wa 2002, s. 223-225; *Echo klasyków bydgoskich*, Bydgoszcz 1988, s. 36; *Kto jest kim w medycynie. Informator biograficzny*, W-wa 1967; Urbanek B, *Pięlegniarki i sanitariuszki w Powstaniu warszawski 1944*, W-wa 1988, s. 417.

CZUPERSKA-ŚLIWICKA z d. Krawecka Anna Olga (ur. 1908-1988), ps. „Hanna”, „dr Podkowa”, „doktor Anna”, żołnierz SZP-ZWZ-AK, od XI 1940 r. więzień i lekarz więzienny Pawiaka, współorganizatorka wywiadu więziennego „998” O II KG AK, w Powstaniu lekarz szpitala powstańczego Zgrupowania AK „Gurt”

Anna Olga Krawecka urodziła się 10 lipca 1908 r. w Bielczy pow. Brzesko jako najmłodsze dziecko lekarza Pawła i Herminy z d. Niedojadło. W 1914 r. rozpoczęła naukę w szkole powszechnej w Chrzanowie, kontynuowała ją w tamtejszym gimnazjum państwowym. Służbowe przeniesienie ojca do Warszawy spowodowało, że dalsza jej naukę odbyła się kolejno w Warszawskim Państwowym Gimnazjum im. E. Plater i im. M. Konopnickiej. Tam uzyskała maturę w maju 1927 r. i tego samego roku wstąpiła na Wydział Lekarski UW. Dyplom lekarza internisty otrzymała 4 grudnia 1933 r. Do 1935 r. pracowała jako lekarz-wolontariusz kolejno w szpitalach św. Ducha, św. Zofii i Dzieciątka Jezus i św. Rocha. Od stycznia 1936 r. rozpoczęła samodzielną praktykę lekarską w miesiąc później przyjęta do Izby

I/2 Dokumenty

- Kennkarte - karta rozpoznawcza, Warszawa 1944, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 1
- Deklaracja członkowska ZBoWiD, Nowa Sól 1961, mps, rkps, kopia, k. 3, s. 2-4
- oświadczenie świadka „Szary” („narwiśko nieczytelne”, W-wa 1963, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 5
- oświadczenie świadka Ludwika Kotowski, Warszawa 1963, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 6
- Zaświadczenie sekcji Historyczno-Identyfikacyjnej b. pułku AK „Baszta”, Warszawa 1963, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 7
- Zaświadczenie w DK-3100/W o odznaczeniu Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, W-wa 1965, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 8
- Zaświadczenie w DK-7040/W o odznaczeniu Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, W-wa 1968, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 8
- Wniosek o nadanie „Krzyża Partyzanckiego”, Włocławek 1969, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 9-10
- Wniosek o nadanie „Medalu Zwycięstwa i Wolności”, Włocławek 1969, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 11-12
- Wniosek o nadanie „Odznaki Gwunwaldzkiej”, Włocławek 1969, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 13-14
- Wniosek o nadanie „Medalu za Warszawę”, Włocławek 1969, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 15-16
- Legitymacja w 34027 „Odznaki Gwunwaldzkiej”, W-wa 1969, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 17
- Legitymacja w 2-70-36 „Medalu za Warszawę”, W-wa 1970, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 17
- Arkusz uzupełniający dokumenty - koto ZBoWiD, Włocławek 1975, mps, rkps, kopia, k. 4, s. 18-21
- Zaświadczenie w 194265 ZBoWiD, Włocławek 1976, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 22
- Legitymacja w 7039 „Komrowej Odznaki ligi Kobiet”, W-wa 1979, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 23
- Legitymacja Odznaki Zastępczego Dziełacza TPD, W-wa 1980, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 23
- Legitymacja NS 22 „Solidarności” Krajowej Komisji Wyborczej, Gdańsk 1981, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 24
- Mandat delegata w 051 Krajowej Komisji Koordynacyjnej Służby Zdrowia na I Zjazd NS 22 „Solidarności”, Gdańsk 1981, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 25

- Legitymacja nr 22-70-42 „Medalu Zwycięstwa i Wolności”, W-wa 1970, mps, rleps, kopia, k. 1, s. 26
- Legitymacja nr 14-82-88K „Wawsz. Wyższa Powstańczego”, W-wa 1982, mps, rleps, kopia, k. 1, s. 26
- Dokument Departamentu Wojskowego z wykazem adnuansowanych wirtuti Militari V kl., 2002, mps, rleps, kopia, k. 2, s. 27-28



AMTICHE VERMERKE UWAGI URZĘDOWE



15.3.44r.
Okęcie - Wilsona
Warszawa - Łódź

27. IV. 1946.

GEMEINDEVEREIN LUTYNO
ZARZĄD WILSONA
w Niedźwiedź

WYMIANY DOKONANO

ZUR BEACHTUNG! UWAGA!

I. Jeder Inhaber einer Kennkarte hat sich bei Behörden und Körperschaften des öffentlichen Rechts und gegenüber den staatlichen und gemeindlichen Kontrollorganen auf Verlangen mit der Kennkarte auszuweisen.

Każdy posiadacz karty rozpoznawczej winien się wobec władz i instytucji prawa publicznego oraz państwowych i gminnych organów kontrolnych na żądanie zgłaszać kartę rozpoznawczą.

II. Kennkarten, in denen das Lichtbild, die Fingerabdrücke, eine der sonstigen vorgeschriebenen Eintragungen oder die anzubringenden Dienstsiegel fehlen, sind ungültig. Das gleiche gilt, wenn der Zustand des Lichtbildes oder die Fingerabdrücke eine einwandfreie Feststellung des Kennkarteninhabers nicht mehr zulassen oder die sonstigen Eintragungen oder die Stempel unleserlich geworden sind.

Karty rozpoznawcze, nie posiadające fotografii, odcisków palców, przepisanych wpisów lub pieczęci służbowej, są nieważne. To samo dotyczy wypadków, w których stan fotografii lub odcisków palców nie pozwala na dokładne stwierdzenie tożsamości posiadacza karty rozpoznawczej lub pozostała wpisy czyli pieczęć stały się nieczytelne.

III. Trellen die Angaben in einer Kennkarte durch Berufswechsel, Namensänderung usw. auf den Inhaber nicht mehr zu, so hat er die Kennkarte der Antragsbehörde zur Änderung oder Neuanschaffung vorzulegen. Wohnungsänderungen beschließen die Meldebehörde.

Jeżeli dane karty rozpoznawczej straciły swą aktualność wskutek zmiany mieszkania, zawodu, nazwiska posiadacza karty i t. d., to winien on kartę rozpoznawczą przedłożyć władzy załatwiającej wnioski o zmianę karty lub wyjawienia nowej karty rozpoznawczej. Zmiany zamieszkania

IV. Der Kennkarteninhaber hat die Kennkarte unverzüglich zu melden unter Angabe der Umstände des Verlustes.

Posiadacz karty zobowiązany jest niezwłocznie zgłosić jej utratę lub zmianę lub utracie, podlegającą zażądaniu.

Stattdruck

GENERALGOUVERNEMENT
GENERALNE GUBERNATORSTWO

KENNKARTE
KARTA ROZPOZNAWCZA

*Mr. Prut, abt. puciny nari -
hr. L. Al. III / 9 / 3 / 4 Mr. Wijn
w Mieście Spustorano
Imirucii nariha
Podgórze
Czerwionko -
Praybpanczka
Mrdki 2078 46
H...*

STATTDUCK



Ruch Oporu - powstaje
Włocławek

Nr. akt 2072
5395

DEKLARACJA CZŁONKOWSKA

Proszę o przyjęcie mnie w poczet członków zwyczajnych Związku. Zobowiązuję się być aktywnym członkiem organizacji, przestrzegając w praktyce zasad ideowych, Statutu Związku oraz uchwał i postanowień władz ZBoWiD

I

1. Nazwisko Brewianko-Prybylowska imię Bara
Nazwisko panieńskie (dla meżatek) Podgórska
2. Imiona rodziców Wincenty i Jadwiga
3. Data urodzenia 15. IX. 1918 miejsce urodzenia Krosów
4. Stan cywilny małżeński 5. Zawód lekarz med.
6. Wykształcenie (ogólne i specjalne) specjalista chorób dziecięcych
7. Adres zamieszkania Nowe Jol ul. Szkolna 31
Telefon domowy 550
8. Miejsce pracy i zajmowane stanowisko Powiatowy Szpital Dziecięcy
w Nowej Joli - ordynator szpitala
Telefon w miejscu pracy 377
9. Przynależność partyjna _____
10. Stopień wojskowy (nadany - zweryfikowany przez MON) podporucznik
11. Posiadane odznaczenia (rodzaj, klasa, stopień, kto nadał, data nadania) _____

II

GA: Zgodnie ze Statutem oraz regulaminem weryfikacyjnym ZBoWiD uprawnienia do zweryfikowania i przyjęcia do Związku w charakterze członków zwyczajnych posiadają:

- weterani walk rewolucyjnych 1905 - 1917, Wielkiej Rewolucji Październikowej i wojny domowej w Związku Radzieckim;
- bojownicy o polskość i wolność narodową Wielkopolski, Śląska, Gdańska, Warmii, Mazur, Ziemi Lubuskiej i Pomorza;
- uczestnicy walk przeciwko reakcji i faszyzmowi oraz antyfaszystowski więźniowie okresu międzywojennego;
- uczestnicy walk o wolność i demokrację za granicami kraju, w szczególności uczestnicy walk w obronie republikańskiej Hiszpanii;
- członkowie organizacji antyhitlerowskiego Ruchu Oporu w kraju i poza jego granicami;
- więźniowie hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych, przesładowani za antyfaszystowską działalność lub ze względów narodowościowych, światopoglądowych albo rasowych;
- kombatanci polskich sił zbrojnych oraz armii alianckich z wszystkich frontów II wojny światowej;
- uczestnicy walk zbrojnych z reakcyjnym podziemiem w okresie po wyzwoleniu Polski.

12. Działalność przedwojenna i okupacyjna na podstawie której ubiega się o członkostwo Związku - wymienić dokładnie partię polityczną, formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową i t.p.

Udział w konspiracji od IX 1943 w Warszawie (konjunktura) i w WSK kierownicze funkcje sekretarskiego Powstanie Warszawskie - XVIII 1944 - 27 IX 44 - sekretarzem w konspiracji O₃ batalionu Olszan pułku Bank na Mokotowie

13. Data i miejsce wstąpienia Warszawa IX 1943

14. Używane pseudonimy: Olca

15. Przebieg działalności, udział w walkach, pełnione funkcje, pod którym dowództwem, kierownictwem, w jakich oddziałach, jednostkach, w jakich miejscowościach, wszelkie zmiany i czasokres od - do od IX 43 r. do VII 44 r.

przewożeniu materiałów w bibliotece, broni przez Warszawę z Saskiej kępy na Żoliborz, w domu rodzinnym przez ten czas fabrykę dokumenty (karty, adresy, uszki, urzędnicie itp.) dla Polaków i Żydów - oddziałem "Jaskółki Kowalskiej" który podlegał zginął w powstaniu Warszawskim - ucieczka z pseudonimem i innymi wieloma kontaktami nie pamiętam. Po 5 latach przed powstaniem wstąpiłem do W.S.K. po przyłączeniu ogólnowojennej - jako studenta IV r. medycyny w Dortmund do szpitala jekat sanitarny miesięczny na Pragę

16. Data, miejsce i powód aresztowania: Warszawa Powstanie Warszawskie do konspiracji O₃ dzięki wprawy dzięki przez ukończenie dyplomu w i przez kolejarzy ("lesni") z komendanta konspiracji "Olca" i kapłana "Józef" (D)

17. Pobyt w więzieniach, na zesłaniu, w katordze, w obozach karnych, koncentracyjnych i jenieckich - wymienić daty, okres pozbawienia wolności, nazwy więzień lub obozów, numery więziarskie

18. Data i okoliczności odzyskania wolności Arden wzięte do niewoli nie dostałem w dniu 27 IX 44. Zbiegłem w czasie przejścia z fortu Molsheim do Pirmasov

19. Przebieg działalności zawodowej, społeczno - politycznej, wojskowej i in. w okresie od dnia 22 lipca 1944 r. do chwili obecnej - wymienić zajmowane ważniejsze stanowiska, pełnione funkcje, daty, miejscowości, podać czy był(a) karany(a) przez sądy PRL, za jaki rodzaj przestępstwa, czy korzystał z ustawy amnestyjnej, rehabilitacji sądowej. Kiedy i gdzie

pracuję lekarzem medycyny w Krakowie od 17.11.1959 roku pracowałem jako lekarz w Gryfowie Sł., Glincku, Chorzowie, Wąsoszach, Suchbátowie i obecnie w Nowej Soli (wydział od 1.5.59. jako ordynator oddziału dziecięcego i inspektor Sanitarny pediatry) *R*

Prawdziwość powyższych danych stwierdzam własnoręcznym podpisem

Nowa Sól
(miejscowość)

dnia 18 XI 1961 r.

[Signature]
(podpis)

- Spis załączników: 1. *Oświadczenie z-ut ioradlow*
2.
3.
4.

członkowie wprowadzający

Wprowadzając w poczet członków zwyczajnych Ob. *Przybyłowski Zwa* oświadczamy, że wymieniony (a) jest nam osobiście znany (a) i bierzemy na siebie odpowiedzialność za jego (jej) obywatelską postawę i poziom moralny, co niniejszym stwierdzamy własnoręcznymi podpisami:

Nazwisko i imię *Lawn Ludwik* *Musiel R*
Adres zamieszkania *ul. Monopodla 40m 17 N. Soli ob. Suchbátowice*
Członek zwyczajny ZBoWiD leg. czł. Nr *285027-22540*
[Signature]
(podpis)

Jan Łopuszański
Mariane
Woszczynska

Wamane
(miejsowość)

dnia *13. 11* 196*3* r.

(Nazwisko, imię, pseudonim i adres
wydającego oświadczenie)

eg. ZBoWiD: *885 027*

Oświadczenie świadka

Jako uczestnik(~~ca~~) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową) *Pomocnictwo Wamaneckiego - pułku "Banta"*
Bat. "0" - kemp O3 i O1 - Drużyna Krajowej
świadom(a) odpowiedzialności za prawdziwość podanych niżej przez mnie faktów

oświadczam

Ob. *Grzybynowska Ewa z d. Sodgórska* *syn* (córka) *Wojciechowska*
urodz. dnia *15 września* 19*18* roku w *Krakowie*

jest mi znany(a) osobiście jako uczestnik(~~ca~~) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową) *Pomocnictwo Wamaneckiego*
Saccharunka - Kemp O3 Bat. "0" ptk. "Banta"
od *1. VIII. 44.* do *24 września* 19*44* roku.

Wyżej wymieniony(a) posiadał(a) pseudonim *"Ewa"* i pełnił(a) funkcję - brał(a) udział (w tej części opisuje się: przebieg służby i działalności w czasie walki z okupantem hitlerowskim, pełnioną funkcję, stopień wojskowy, w jakich był(a) oddziałach, grupach, placówkach, pod którym dowództwem, kierownictwem, udział w akcjach bojowych i innych, w jakich miejscowościach, nazwa obozu itp. wszelkie zmiany i czasokres od - do)

Saccharunka "Ewa" brała udział w walkach z niemieckim ppor. celi obozu Pomocnictwo Wamaneckiego, aż do wyzwolenia Krakowa.

Własność podpisu stwierdza się:

[Signature]

(pieczęć i podpis odpowiednich władz lub Zarządu ZBoWiD)



Prawdziwość powyższych danych stwierdzam własnoręcznym podpisem

[Signature]

(Nazwisko, imię, stopień wojskowy, funkcja, stanowisko)

"Jan" Jędrant
2-02 d-9
Kemp O3

Janina Lądowska
Janina
Wierzyńska 40 m. 18

Warszawa dnia *23 lutego* 1963 r.

(Nazwisko, imię, pseudonim i adres
wydającego oświadczenie)

leg. ZBoWiD *285024*

Oświadczenie świadka

Jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową) *Porotawia Marnarskiego - pułku "Bartł"*
Bat. "O" - kemp 03 i 04 - Bracia Krawcowi
świadom(a) odpowiedzialności za prawdziwość podanych niżej przez siebie faktów

oświadczam

Ob. *Przybyłowska Ewa z d. Podgórska* *Wierzyńska*
15 września 19*18* roku w *Prakonie*
(córka)

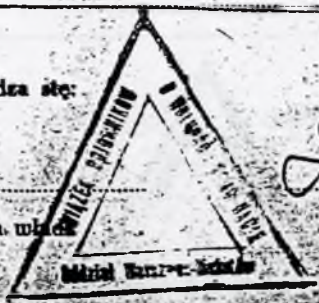
jest mi znany(a) osobiście jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową) *Porotawia Marnarskiego*
sauciarunka - Kemp 03 Bat. "O" pułk "Bartł"
od *1. VIII 44* do *27 września* 19*44* roku -
"Ewa"

Wyżej wymienioną(a) posiadał(a) pseudonim..... i pełnił(a) funkcję - brał(a) udział (w tej części opisuje się: przebieg służby i działalności w czasie walki z okupantem hitlerowskim, pełnioną funkcję, stopień wojskowy, w jakich był(a) oddziałach, grupach, placówkach, pod którym dowództwem, kierownictwem, udział w akcjach bojowych i innych, w jakich miejscowościach, nazwa obozu i tp wszelkie zmiany i czasokres od - do)

sauciarunka "Ewa" brata Eugenya i dwu siostrzenic w
walkach z niemieckim okupantem przez cały okres Pon
stawia Marnarskiego aż do momentu kapitulacji
1944

Własnoręczność podpisu stwierdza się:

[Signature]
(pieczęć i podpis odpowiednich władz lub Zarządu ZBoWiD)



Prawdziwość powyższych danych stwierdzam własnoręcznym podpisem

[Signature]
(Nazwisko, imię, stopień wojskowy, funkcja, stanowisko) *Kemp. 03*

Kobowski Ludwik
"Kobus"
Podskarbinska 82 m 39
(Nazwisko, imię, pseudonim i adres
wydającego oświadczenie)

W-AC
(miejscowość)

dnia 22 lipca 1963 r.

ZBoWiD 156612

Oświadczenie świadka

Jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową) Poruchami Harcerskimi pułku "Basta" Armii Krajowej
świadom(a) odpowiedzialności za prawdziwość podanych niżej przeze mnie faktów

oświadczam

Ob. Ewa Grybnowska z d. Podgórska (córka) Nimcelego
urodz. dnia 15 września 1912 roku w Krakowie

jest mi znany(a) osobiście jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową) Poruchami Harcerskimi pułku "Basta" A.K.
od 1 sierpnia 1944 roku.

Wyżej wymieniony(a) posiadał(a) pseudonim "Ewa" i pełnił(a) funkcję - brał(a) udział (w tej części opisuje się: przebieg służby i działalności w czasie walki z okupantem hitlerowskim, pełnioną funkcję, stopień wojskowy, w jakich był(a) oddziałach, grupach, placówkach, pod czym dowództwem, kierownictwem, udział w akcjach bojowych i innych, w jakich miejscowościach, nazwa obozu i tp. wszelkie zmiany i czasokres od - do)

Od dnia 1 sierpnia 1944r. brała czynny udział w poruchach a pułku "Basta" batalion "Olza" kompania 0-3 w charakterze sanitariuszki, do dnia kapitulacji t.j. do dnia 27 IX 1944r. Brała czynny udział w przeprowadzeniu różnych rekonwalescencji mojej kompanii z terenów zajętych przez hitlerowców, na teren oswobodzony.

Własnoręczność podpisu stwierdza

Ludwik Kobowski
1.08.1963

(pieczęć i podpis odpowiednich władz lub Zarządu ZBoWiD)



Prawdziwość pomysłanych danych stwierdzam własnoręcznym podpisem

Ludwik Kobowski w.p.s. roz.
o. des. Poruch. 0-3

(Nazwisko, imię, stopień wojskowy, funkcja, stanowisko)

Łowicki Ludwik
"Kocina"
Podskarbinie 26-12-39
(Nazwisko, imię, pseudonim i adres
wydającego oświadczenie)

H-na dnia 28 lutego 1963 r.
(miejscowość)

leg. ZBoWiD 156612

Oświadczenie świadka

Jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową) Powstania Warszawskiego pułku "Barta" Armii Krajowej
świadom(a) odpowiedzialności za prawdziwość podanych niżej przez mnie faktów

oświadczam

Ob. Ewa Frydryńska od Jagórkowa (córka Hieronima)
urodz. dnia 15 kwietnia 1918 roku w Krakowie
jest mi znany(a) osobiście jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową) Powstania Warszawskiego pułku "Barta" A.K.
od 1 sierpnia 1944 roku

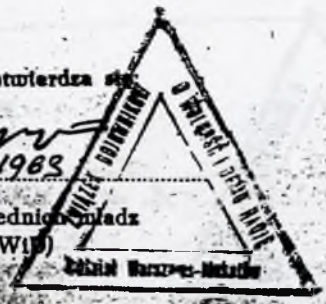
Wyżej wymieniony(a) posiadał(a) pseudonim "Ewa" i pełnił(a) funkcję - brał(a) udział (w tej części opisuje się: przebieg służby i działalności w czasie walki z okupantem hitlerowskim, pełnioną funkcję, stopień wojskowy, w jakich był(a) oddziałach, grupach, placówkach, pod którym dowództwem, kierownictwem, udział w akcjach bojowych i innych, w jakich miejscowościach, nazwa obozu itp wszelkie zmiany i czasokres od - do)

Od dnia 1 sierpnia 1944 brała czynny udział w powstaniu w pułku "Barta" batalion "Olza" kompania 0-3 w charakterze sanitariuszki do dnia kapitulacji s.j. do dnia 27.10.1944. Brała czynny udział w przeprowadzeniu walkowych żołnierzy mojej kompanii z terenów ceglanych przez Niemców na teren oswojony.

Ważność podpisu stwierdza się

Julleryn
1.03.1963

(pieczęć i podpis odpowiedniego władz lub Zarządu ZBoWiD)



Prawdziwość powyższych danych stwierdzam własnoręcznym podpisem

Ludwik Frydryński
b. dca. Komp. 0-3

(Nazwisko, imię, stopień wojskowy, funkcja, stanowisko)

Sekcja Historyczno-Weryfikacyjna
b. pułku A.K. "BASZTA"
Warszawa, ul. Rutkowskiego 15

Warszawa, dnia 5.11.1963 r.

Z a s w i a d o z e n i e

Niniejszym zaświadcza się, że ob. *Czesławko Przybyłowski. Eva*
pseudo "K. S. I."..... był żołnierzem A.K. pułk "Baszta"
komp. *0-3 sanitariuszka* pracowała w konspiracji i brała udział
w Powstaniu Warszawskim.

Zaświadczenie wydaje się celem przedłożenia władzom ZBoWiD.

Członek dyżurny

Stankiewicz

Przewodniczący

Michał Juchniokl.
"Wicher" kpt



Za Dyktantem:

Juchniokl.

4.10.63.

owana do Miejskiej Organizacji Soc
 1943 należały do Armii Krajowej. Postr
 y przez cały okres do wybuchu powsta
 usiek. oraz jest kierowana i do imy
 igo datała i walony na Mokotowie w p
 OJOWSKI. Od powstania powstała jako
 kamentem. Osobistość ratuje szereg p
 ej pomocy medycznej dla wszystkich.
 lam domu następnie przeprowadza ich
 andantem transportu ranionych do Prus
 Gray mogą się poruszać o własnych s
 amnych. Następnie udaje się do Szon
 cedeo z Warszawy. Za przyjaźliwość
 przedni udział w walkach powstania
 kade transportu rannych kol. CZERN
 i odznaczenia " KRZYŻ PARTYZANCKI "



[Handwritten signature and scribbles]

Biuro Kojennikow o. Wladyslaw
 adokreguetydgoszcz
 1608 Telefon 2-21-28
 1609. Poczta/65

[Handwritten signature]
 Wydoszcz, data 26 kwietnia 1967

OSWIADCZENIE SWIADKA
 Zarząd Ożetgu ZKWD

W 1943 roku
 Z ARZĄD ODDZIAŁ
 Związku Kojennikow o. Wladyslaw
 H.D.
 ZI SKRZYWICKI

Wyżej wymienionym(a) posiadaczem(a) pełnomocnictwem(a) pełnił(a)
 funkcję - brał(a) udział (w tej części opisać się: przebieg służby i działalności w czasie
 między ...

ZASWIADCZENIE
Nr. **DK-3100/W**

Warszawa,
dnia **3** maja 19**65**r.

Zaświadcza się, że
Obywatel
CZERWIENKO-PRZYBYSZEWSKA
(nazwisko i imię)
Ewa c. Wincentego
(imię ojca)
za udział
w walkach z hitlerowskim okupantem
w latach 1939 - 1945
został przez kompetentne władze
odznaczony
SREBRNYM KRZYŻEM ZASŁUGI
Z MIECZAMI

 SZEF DEPARTAMENTU KADR MON
[Signature]

ZASWIADCZENIE
Nr. **DK-7040/W**

WARSZAWA
dnia **10** lipca 19**68**r.

Zaświadcza się, że
Obywatel
CZERWIONKO-PRZYBYSZEWSKA
(nazwisko i imię)
Ewa c. Wincentego
(imię ojca)
za udział
w walkach z hitlerowskim okupantem
w latach 1939-1945
został przez kompetentne władze
odznaczony
KRZYŻEM SREBRNYM
ORDERU VIRTUTI MILITARI

 SZEF DEPARTAMENTU KADR MON
[Signature]



KRYŻ PARTYZANCKI

Edwa CZERWIKO - PRZYBYSZEWKA

Jadwiga i Wincenty

PODGORSKA

Kraków

15

09

1918

Wrocław, ul. Słowackiego 6a m 1 woj. Bydgoszcz

Wrocław

Szpital im. Ziemi Kujawskiej

Ordynator Oddz. Dalekiego

nie należała

nie należała

nie należała

wyższe

nie służyła

nie karana

Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami Nr DK - 3100 / w z 3.05.1965 r.
Srebrny Krzyż Orderu Wirtuti Militari z dn. 22.03.1969 r.

Komisja Odznaczeniowa przy Zarz. Oddz. Zw. Boj. o Wolność i Umocnienie.

Wrocław, dnia 25 kwietnia 1969 r.

Kol. CZERNIKO - PRZYBYSZEWSKA została werbowana do Niezależnej Organizacji Socjalistycznej Przewodniczący Leszek KAAHE. W roku 1943 należała do Armii Krajowej, została trawioną sanitariuszką. Do organizacji należała przez cały okres do wybuchu powstania w swoim patrolu prowadziła szkolenie sanitariuszek., oraz jest kierowana i do innej troli. Z chwilą wybuchu powstania warszawskiego działała i walczyła na Mokotowie w "BASZTA". Jej dowódcą kompanii był Ludwik KOTOWSKI. Od początku powstania jako sanitariuszka wykazała się odwagą i poświęceniem. Osobiście ratuje rannych z sytuacji bez wyjścia nie licząc normalnej pomocy medycznej dla wszystkich. 2 powstańców ciężko rannych przechowuje w swoim domu następnie przeprowadza ich na linię frontu. Po upadku powstania zostaje komendantem transportu rannych do Pruszkowa gdzie organizuje noclegi dla rannych, którzy mogą się poruszać o własnych siłach. Do Pruszkowa dociera tylko niewielka ilość rannych. Następnie udaje się do Słonek woj. Kraków, gdzie organizuje szpital dla uchodźców z Warszawy. Za przynależność do organizacji podziemnej Armii Krajowej oraz bezpośredni udział w walkach powstania warszawskiego i późną poświęcenia działalność w czasie transportu rannych kol. CZERNIKO - PRZYBYSZEWSKA w pełni zasługuje na nadanie jej odznaczenia "KRZYŻ PARTYZANCKI"

Zarząd Oddziału Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

Wrocław, dnia 25 kwietnia 1969 r. Prezes Oddziału



Zarząd Okręgu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Bydgoszczy - wniosek popiera i wnosi o nadanie odznaczenia.

Bydgoszcz, dnia 12 czerwca 1969 r.



Wiceprezes Zarządu Okręgu

Jan Leon Dobrowolski

Wojewódzka Komisja Odznaczeń Państwowych w Bydgoszczy

wniosek popiera
Przewodniczący Komisji
Członkowie Komisji

Bydgoszcz, dnia 25 czerwca 1969

Prot 42-M

" MEDAL ZWYCIESZWA I WOLNOCI "

Ewa Czerwikowa - PRZYBYLSKA
Jadwiga i Wincenty
PODGORNA

15 09 1918

Karaków

Wrocław, ul. Spowaskiego 6a m 1 woj. Bydgoszcz

Wrocław Szpital im. Ziemi Kujawskiej Ordynator Oddz. Dziecięcego.

nie należała

nie należała

nie należały

wyższe

nie służyła

nie karana

Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczem Nr DK - 3100/ w z 3.05.1965 r.

Srebrny Krzyż Orderu Wirtuti Militari z dn. 22.03.1969 r.

Komisja Odznaczeniowa przy Zarz. Oddz. Zw. Boj. o Wolność i Demokrację.

Wrocław, dnia 25 kwietnia 1969 r.

7-12-12

Kol. CZERWIENKO - PRZYBYSZEWSKA została szczerze do Niezależnej Organizacji Socjalistycznej. Przewodniczący Łaszek KAARE. W roku 1943 należała do Armii Krajowej, nosiła patrolową sanitariuszek. Do organizacji należała przez cały okres do wybuchu powstania w swoim patrolu prowadziła szalenie sanitariuszek, oraz jest kierowana i do innych troli. Z chwilą wybuchu Powstania Warszawskiego działała i walowała na Mokotowie w pułku "BASZTA". Jej dowódcą kompanii był Łaszek KOTOWSKI. Od początku powstania jako patrolowa sanitariuszek wykazała się odwagą i poświęceniem. Osobiście ratuje rannych powstańców z sytuacji bez wyjścia, nie lękając normalnej pomocy medycznej dla rannych. 2 powstańców ciężko rannych przechodziła w swoim domu następnie przeprowadziła przez linię frontu. Po upadku powstania została komendantem transportu rannych do Pruszkowa. W drodze organizuje ucieczki dla rannych, którzy mogą się poruszać o własnych siłach. Do Pruszkowa dociera tylko niewielka ilość rannych. Następnie udaje się do Szostak woj. Kraków, gdzie organizuje szpital dla uchodźców z Warszawy. Za przyniesienie pomocy do organizacji podziemnej Armii Krajowej oraz bezpośredni udział w walkach powstania warszawskiego i pełną poświęcenia działalność w czasie transportu rannych CZERWIENKO - PRZYBYSZEWSKA w pełni zasługuje na nadanie jej odznaczenia "MEDAL ŻYCIESTWA I WOLNOŚCI".

Zarząd Oddziału Związku Bojowników o Wolność i Demokrację

Wrocław, dnia 25 kwietnia 1969 r. Prezes Oddziału.

Zarząd Okręgu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Bydgoszczy - wniosek popiera i wnosi o nadanie odznaczenia.

Bydgoszcz, dnia 12 czerwca 1969 r.



Wiceprezes Zarządu Okręgu

Plk. Leon Dąbrowski

Wojewódzka Komisja Odznaczeń Państwowych w Bydgoszczy.

wniosek popiera
Przewodniczący Komisji
Członkowie Komisji

Bydgoszcz, dnia 25 Czerw 1969

Pinhas 1/2-13

ODZNAKA GRUNWALDZKA

**Elga Czerwienko - PRZYBYSZENSKA
Jadwiga i Wincenty
PODGORSKA**

Kraków

25 09 1968

Wrocławek ul. Szewalskiego 6a m 1 woj. Bydgoszcz

Wrocławek Szpital im. Ziemi Kujawskiej Ordynator Oddz. Dziecięcego.

nie należała

nie należała

nie należały

wyższe

nie służyła

nie karana

Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami Nr IK - 3100 / w z 3.05.1965 r.
Srebrny Krzyż Orderu Wirtuti Militari z dn. 22.03.1969 r.

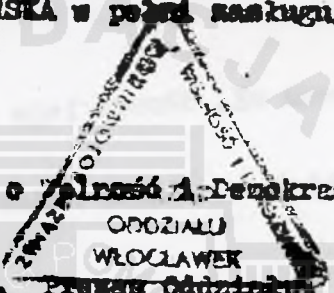
Komisja Odznaczeniowa przy Zarz. Oddz. Zw. Boj. o Wolność i Demokrację.

Wrocławek, dnia 25 kwietnia 1969 r.

7/2-114

Kol. CZERWIENKO * PRZYBYSZEWSKA została awansowana do Niezależnej Organizacji Sanitariuszek; Przewodniczący Leuzek MAARE, w roku 1943 należy do Armii Krajowej, w patrolowej sanitariuszek. Do organizacji należy przez cały okres do wybuchu powstania w swoim patrolu prowadzi szkolenie sanitariuszek oraz jest kierownicą i do innych patroli. Z chwilą wybuchu powstania warszawskiego działa i walczy na Sokotowie w "BASZTA" 103 ówocną kompanii był Ludwik KOTOWSKI. Od początku powstania jako patrolowa sanitariuszek wykazała się odwagą i poświęceniem. Osobiście ratuje szeregowców a sytuacji bez wyjścia nie licząc normalnej pomocy medycznej dla rannych. Z powstańców ciężko rannych przechowuje w swoim domu następnie przeprowadza przez linię frontu. Po upadku powstania zostaje komendantem transportu rannych Pruszkowa. W drodze organizuje noclegi dla rannych którzy mogą się poruszać o własnych siłach. Do Pruszkowa dociera tylko niewielka ilość rannych. Następnie udaje się do Słomnik woj. Kraków, gdzie organizuje szpital dla uchodźców z Warszawy. Za przynależność do organizacji podziemnej Armii Krajowej oraz bezpośredni udział w walkach powstania warszawskiego i pełną poświęcenia działalność w czasie transportu rannych kol. CZERWIENKO * PRZYBYSZEWSKA w pełni zasługuje na nadanie jej odznaczenia "ODZNAKA GRUŃWALDZKA".

Zarząd Oddziału Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

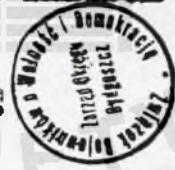


ODDZIAŁU
WŁOCŁAWEK

Włocławek, dnia 25 kwietnia 1969 r. Prezes Oddziału

Zarząd Okręgu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Rydzynie - miejsce popiera i wnosi o nadanie odznaki.

Rydzyna, dnia 5 lipca 1969 r.



Prezes
Zarządu Okręgu
(Roman Chłodziński)

part. inf.

1/2-15

" MEDAL ZA WARSZAWĘ "

Elżbieta Czerwienko - PRZYBYSZEWSKA
Jadwiga i Wincenty
PODGORSKA

Kraków

15

09

1918

Włocławek, ul. Słowackiego 6a mł. woj. Bydgoszcz

Włocławek Szpital im. Ziemi Kujawskiej Ordynator Oddz. Dziecięcej

nie należała

nie należała

nie należy

Wyższe

nie służyła

nie karana

Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami Nr. DK-3100/w z 3.05.1965r.
Srebrny Krzyż Orderu Wirtuti Militari z dn. 22.03.1969r.

Komisja Odznaczeniowa przy Zarz. Oddz. Zw. Hoj. o Woln. i Demokrac.

Włocławek, dnia 25 kwietnia 1969r.

Kol. CZERWIENKO-PRZYBYSZEWSKA została zwerbowana do Niezależnej Organi Socjalistycznej Przewodniczący Leszek KAABE. W roku 1943 należy do Arm Krajowej, zostaje patrolową sanitariuszek. Do organizacji należy przez okres do wybuchu powstania, w swoim patrolu prowadzi szkolenie sanitariuszek oraz jest kierowana i do innych patroli. Z chwilą wybuchu Powstania Warszawskiego działa i walczy na Mokotowie w pułku "BASZTA" 03 dowódcą kompanii był Ludwik Kotowski. Od początku powstania jako patrolowa sanitariuszka wykazała się odwagą i poświęceniem. Osobiście ratuje szereg powstańców w sytuacji bez wyjścia nie licząc normalnej pomocy medycznej dla wszystkich 2 powstańców ciężko rannych przechowuje w swoim domu następnie przeprowadza ich przez linię frontu. Po upadku powstania zostaje komendantem transportu rannych do Pruszkowa. W drodze organizuje ucieczki dla rannych którzy nie mogą się poruszać o własnych siłach. Do Pruszkowa dociera tylko niewielka grupa rannych. Następnie udaje się do Słomnik woj. Kraków gdzie organizuje szpital dla uchodźców z Warszawy. Za przynależność do organizacji podległej Armii Krajowej oraz bezpośredni udział w walkach Powstania Warszawskiego i pełną poświęcenia działalność w czasie transportu rannych kol. CZERWIENKO-PRZYBYSZEWSKA w pełni zasługuje na nadanie jej odznaczenia "MEDAL ZA WARSZAWĘ".

Zarząd Oddziału Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

Włocławek, dnia 25 września 1969r. Prezes Oddziału

Zarząd Okręgu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Bydgoszczy - wniosek popiera i wzywa o nadanie odznaczenia

Bydgoszcz, dnia 8 lipca 1969 r.



Prezes Zarządu Okręgu
Roman Chłedziński
Roman Chłedziński

Wojewódzka Komisja Odznaczeń Państwowych
w Bydgoszczy
wniosek popiera
Przewodniczący Komisji
Członkowie Komisji

Bydgoszcz, dnia 31 Lipiec 1969

I/25-17



FRAGMENT Z OBRAZU „GRUNWALD” JANA MATEJKI

W ROKU 1410 dnia 15 lipca, połączone wojska polskie, litewskie, smoleńskie, kijowskie, czeskie i morawskie, siłne swoją jednością stoczyły na polach Grunwaldu zwycięski bój ze śmiertelnym wrogiem Słowiańszczyzny – krzyżakami.

W ROKU 1945, kiedy bohaterską walką Narodu polskiego kierowała Krajowa Rada Narodowa, żołnierz polski walcząc ramię przy ramieniu z żołnierzem radzieckim, stanął z nim jako zwycięzca na gruzach Berlina.

Na wszystkich polach walki i na ziemi ojczystej Polacy zmagali się przez blisko 6 lat po bohatersku ze swym odwiecznym wrogiem. Po latach ciężkiej walki z niemiecką, narody młujące wolność z wielkim Związkiem Radzieckim na czele, rozgromili Niemcy, ratując świat przed barbarzyństwem faszystowskim. Drugi Grunwald przyniósł ojczyźnie wolność, demokrację i powrót Ziemi Zachodnich do Macierzy.

Odnaka Grunwaldzka jest symbolem zwycięstwa nad Niemcami.

ROZKAZEM Z DNIA 22 LIPCA 1945 ROKU
NACZELNY DOWÓDCA WOJSKA POLSKIEGO

nadał:
uczestnikowi walki zbrojnej z Niemcami
w latach 1939 – 1945

Czerwienko-Przybyszewska Ewa

c. Wincentego

ODZNAKĘ GRUNWALDZKĄ



Nr

Justyśka

Warszawa, dn.

22 lipca 1956 r.

POLSKA RZECZPOSPOLITA
LUDOWA

LEGITYMACJA

Nr 2-70-36

WARSZAWA

dn. 5 lutego 1970 r.

UCHWAŁĄ RADY PAŃSTWA

odznaczony(a) został(a)

Ob. CZERWIENKO-

PRZYBYSZEWSKA Ewa

MEDALEM ZA WARSZAWĘ
1939 – 1945

PRZEWODNICZĄCY
RADY PAŃSTWA

[Signature]



Faint, illegible text in the upper left corner, possibly a header or title.

ARZYSTAWKING BAAKROO

Handwritten signature or name in blue ink.



Medal za Walestwo
1939-1945
PŁYTYŚCZYŃSKA 10A
OKRĘG POMORZE
WYDZIAŁ KULTURY I SZKOLNICTWA
WARSZAWA

LEGITYMACJA
W. J. 10-3
WARSZAWA
14 TU

42-18

Do użytku wewnętrznego

ODDZIAŁ ZBoW

KOŁO ZBoW

ZBoWiD

NR EWIDENCYJNY

709A 1355

ARKUSZ UZUPEŁNIAJĄCY DOKUMENTY

członka zwyczajnego Związku Bajowników o Wolność i Demokrację

1. Numer dowodu osobistego 557 2552 2413 wydany przez KP10 dośr Sł
2. Nazwisko i imię Władysławowa Ewa 3. Imię ojca Wincenty
4. Imię matki Jadwiga 5. Nazwisko rodowe matki Janusz
6. Nazwisko panięskie dla mężatek Podgórska
7. Data urodzenia 15. IX 1918 8. Miejsce urodzenia Kraków
9. Powiat _____ 10. Województwo _____
11. Obecny adres zamieszkania, nr kodu 87-800 Włocławek Słowackiego 6a
12. Stan cywilny małżeńska 13. Wykształcenie wyższe
14. Nazwa wyższej uczelni Uniwersytet Jagielloński 15. St. naukowy lekarz medycyny
16. Stopień wojskowy ppromiernik 17. Kto nadał M.O.W.
18. Kto weryfikował M.O.W. Nr 01134 z dnia 17.12.57r
19. Przynależność partyjna S.P. 20. Data wstąpienia 21 kwietnia 1969r
21. Główne źródło utrzymania (nazwa zakładu pracy, instytucji, warsztatu rzemieślniczego, wielkość gospodarstwa indywidualnego, emerytura, renta lub bez stałego źródła utrzymania) Zespół Ochrony Zdrowia Włocławek
22. Miejsce pracy: aktualne stanowisko służbowe i wysokość poborów, dochodowość roczna z warsztatu rzemieślniczego lub gospodarstwa rolnego - zarobek netto: 7.470,- zł
rodynstwo oddziału dziecięcego
23. Wysokość otrzymywanej emerytury _____ zł
24. Charakter otrzymywanej renty i jej wysokość:
 - a) renta inwalidzka - wysokość _____ zł
 - b) renta wojenna inwalidzka - wysokość _____ zł
 - oraz połowa renty za pracę - wysokość _____ zł
 - c) renta za pracę oraz połowa renty wojennej - wysokość razem _____ zł
 - d) renta rodzinna - wysokość _____ zł
 - e) renta za zdane gospodarstwo wspólna z małżonką _____ zł
 - oraz połowa renty wojennej - wysokość _____ zł
 - f) renta wyjątkowa przyznana na wniosek ZG ZBoWiD lub Urzędu
 - do Spraw Kombatantów - wysokość _____ zł
 - g) renta specjalna - wysokość _____ zł
 - h) dodatek pielęgnacyjny - wysokość _____ zł
 - i) dodatek „za bezradność” - wysokość _____ zł
25. Data przyznania grupy inwalidzkiej _____
 - a) z ogólnego stanu zdrowia (jaka grupa) _____
 - b) wojenna lub wojskowa (jaka grupa) _____
26. Data wstąpienia do Związku Inwalidów Wojennych lub ZOŻ _____
27. Deklaruję składkę członkowską ZBoWiD w wysokości (jedno podkreśli)

zł 3,- zł 5,- zł 10,- zł 15,- zł 20,-

28. Stan rodzinny (ilość osób prowadzących wspólne gospodarstwo domowe):

Nazwisko i imię osób pozostających na wspólnym gospodarstwie	Stosunek pokrewieństwa	Data urodzenia	Wysokość zarobków
Przybyłowski-Czerwikowski	żona	1915	6.600.-
Przybyłowski ^{Wojciech} Wojciech	syn	1950	-
Przybyłowska Bożena	cótra	1956	70
Przybyłowska-Czerwikowska Ewa	X	1918	7627
Moskat - Przybyłowska Dorota	synowa	1950	700
Przybyłowska Józef Antoni	syn	1955	-

został wada
określenie

29. Przynależność do partii politycznych, organizacji społecznych i związkowych do 1939 r. (gdzie, w jakim okresie, pełnione funkcje, represje za działalność społeczno-polityczną).

30. Przynależność do partii politycznych, organizacji społecznych i związkowych w czasie okupacji (gdzie, w jakim okresie, pełnione funkcje. W jakich okolicznościach nastąpiło aresztowanie przez władze hitlerowskie: osadzenie w obozie koncentracyjnym, więzieniu lub innym miejscu odosobnienia)

31. Udział w ruchu partyzanckim (konspiracyjnym) w latach 1939-1945 w kraju i za granicą (Nazwa Oddziału, stopień i stanowisko gdzie i kiedy brał udział w walkach i akcjach. Rany i kontuzje, kto i gdzie leczył. Gdzie i kiedy oraz wobec jakich władz PRL ujawnił swoją działalność partyzancką lub konspiracyjną)

w Brydeconcy od X 39 do V 41 o. tajnie pracowałem w czasie wojny społecznej w zakresie teorii formacji i metodzie formacji. Od IX 41 do VIII 44 pracowałem w konspiracji w Warszawie - przygotowywałem fałszywe dokumenty i materiały dywersyjne. Równocześnie przygotowywałem do Powstania w W.S.K. A.K. W czasie Powstania brałem udział w konspiracji O2, partii. Ponadto w Krakowie w charakterze sanitariusza.

35. Podkreśl podwójną kreską w arkuszu uzupełniającym swoje statutowe kryterium walki zbrojnej w oparciu o które przyjęto Cię do ZBoWiD. Inne kryteria podkreśl kreską pojedynczą.

- | | |
|--|--|
| 1. b. uczestnik WSR Październikowej | 17. b. partyzant jugosłowiański |
| 2. b. powstaniec śląski | 18. b. partyzant francuski |
| 3. b. powstaniec wielkopolski | 19. b. żołnierz I Armii WP |
| 4. b. działacz niepodległościowy | 20. b. żołnierz II Armii WP |
| 5. b. członek KPP | 21. b. żołnierz PSZ na Zachodzie |
| 6. b. członek PPS | 22. b. więzień obozu koncentracyjnego |
| 7. b. członek (jakich) _____
organiz. chłop., młodzieżowych | 23. b. więzień innych katowni |
| 8. b. uczestnik walk w obronie Rep. Hiszpanii | 24. b. żołnierz walk z reakcyjnym podziemiem (LWP, KBW, MO i SB, ORMO) |
| 9. b. członek „Zw. Pol. w Niemczech” | 25. b. partyzant „Gryf Pomorski” |
| 10. b. uczestnik wojny obr. 1939 | 26. b. konspirator PAL |
| 11. b. żołnierz Armii Radziec. | 27. b. uczestnik innych grup oporu |
| 12. b. żołnierz państw koalicji antyhitlerowskiej _____ | 28. b. organiz. tajnego nauczania |
| 13. b. partyzant GL i AL | 29. b. członek Zw. Patriotów Polskich |
| 14. b. partyzant BCh | 30. b. uczestnik walk o cytadelę poznańską |
| 15. b. partyzant radziecki | 31. b. marynarz floty handlowej z lat 1939 – 1945 |
| 16. <u>b. partyzant AK</u> | 32. b. konspirator PAP |
| | 33. b. więzień obozu Potulice |

36. Jeśli wymieniłeś w arkuszu nowe okoliczności udziału w walce zbrojnej z lat 1939 – 1945, których nie podałeś wstępując do ZBoWiD – to czy masz na te nowe okoliczności stosowne dokumenty lub świadków?

rejmo nauczanie w Bydgoszczy

37. Czy prosisz Zarząd Okręgu – Okręgową Komisję Weryfikacyjną ZBoWiD o zweryfikowanie podanych przez Ciebie nowych okoliczności (dokumentów i świadków o udziale w walce zbrojnej?) Jeśli tak, to krótko sprecyzuj o co prosisz Zarząd Okręgu i Okręgową Komisję Weryfikacyjną ZBoWiD?

38. Czy deklarujesz abonowanie Tygodnika ZBoWiD „Za Wolność i Lud”.
Jeśli tak – to od kiedy? *od 1 VII 75*

Czytelny podpis ankietera przyjmującego lub pomagającego wypełnić arkusz

Podpis wypełniającego arkusz uzupełniający

J. Adamiak

31.7.75
Data

Ewa Rydzka

39. Decyzja Okręgowej Komisji Weryfikacyjnej Zarządu Okręgu ZBoWiD w Bydgoszczy na temat prośby-próśb zgłoszonych w punkcie 37 arkusza

Bydgoszcz, dnia _____ 1975 r.

W-96025

I/2-22

Włocławku

ZASWIADCZENIE № 194265

Zarząd Wojewódzki Związku Bojowników o Wolność i Demokrację stwierdza, że

Obywatel [ka] **Ewa Czerwionko-Przybyszewska**
(imię i nazwisko)

syn [córka] **Wincentego** urodzony [a] **15 września 1918r.**

w Krakowie

(miejsce urodzenia)

(miejscowość)

zamieszkały [a] w **Włocławku ul. Słowackiego 6a m.1**

— jest członkiem zwyczajnym ZBoWiD. nr legitymacji **3775/By**

— odpowiada warunkom uprawniającym do członkostwa ZBoWiD

Zaswiadczenie jest dokumentem stwierdzającym prawo do korzystania ze świadczeń okresi-
nych w Ustawie z dnia 22 października 1975 r. „o dalszym zwiększeniu świadczeń dla kombatan-
tów i więźniów obozów koncentracyjnych”, [Dz. U. Nr 24, poz. 136].

Jednocześnie stwierdza się, że w rozumieniu przepisów art. 8 tej Ustawy do okresu zatrud-
nienia wymienionemu [jej] zalicza się następujące okresy działalności kombatanckiej oraz
okresy uwięzienia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych:

Działalność w Ruchu Opору od 1 sierpnia 1944r do 27 września 1944r.

(rodzaj działalności okres od – do)

Urzędujący Wiceprezes
Zarządu Wojewódzkiego

pk rez. Edward Nadara
podpis Sekretarza Zarządu
Wojewódzkiego ZBoWiD
i pieczęć służbowa

Łącznie **lat - m-cy 2-**
Prezes Zarządu Woj. ZBoWiD


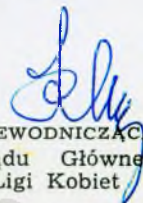
pk rez. dr Jan Czerwionka
podpis Prezesa Zarządu
Wojewódzkiego ZBoWiD
i pieczęć służbowa



Włocławek, dnia 15 czerwca

1976 roku

* niepotrzebne skreślić

LIGA Kobiet ZARZĄD GŁÓWNY LEGITYMACJA Nr 7039 „HONOROWEJ ODZNAKI LIGI KOBIEC” Warszawa dnia 27. II. 1979 r.	Ob. EWA PRZYBYSZEWSKA został(a) wyróżniony(a) „HONOROWĄ ODZNAKĄ LIGI KOBIEC”  PRZEWODNICZĄCA Zarządu Głównego Ligi Kobiet  m. p.
---	--

Nr 1435/79

**TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ
DZIECI**

Ob. Ewa Przybyszewska

otrzymała

**ODZNAKA
ZASŁUŻONEGO DZIAŁACZA
TPD**

Odnakę Zasłużonego Działacza TPD
za wkład pracy społecznej w dziedzinie
wychowania i opieki nad dzieckiem
w POLSCE LUDOWEJ

Warszawa, dnia 7.01. 1980 r.



Prezes

W. Winkler



1/2-24



Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Solidarność

KRAJOWA KOMISJA WYBORCZA

1/2 0 0 5

EWA

(imię)

PRZYBYSZEWSKA

(nazwisko)

KUJAWY 57 25 52 413

(Nr dowodu osobistego)

ZIEM. DOBRZYŃSKA

REGION



Handwritten signature

GDAŃSK, dn. 3.09.81

035

KRAJOWA
KOMISJA
WYBORCZA



l.dz. 1699 / WSK-412/08



I Zjazd Sprawozdawczo Programowo-Wyborczy
Krajowej Komisji Koordynacyjnej
Służby Zdrowia

Gdańsk 3-5. XI 1981 r.

Mandat Delegata Nr **051**

Krajowej Komisji Koordynacyjnej

SŁUŻBY ZDROWIA

PRZYBYSZEWSKA EWA

nazwisko i imię

KUJAWY

region

Miejsce Zjazdu: adres KKK SZ
Dom Technika 80-219 Gdańsk
Gdańsk Al. Zwycięstwa 49
ul. Rajska 6 Tel. nr 32-47-01

FUNDACJA
CENTRUM
1939
OKRĘG POMORZE
1945
ACKIE

141

„SOLIDARNOŚĆ”

MANDAT

DELEGATA

Kol. **Przybyzewska Ewa**

Dowód osob. **SF 2552413**

na wybory do władz regionalnych

Karta do głosowań tajnych



I Krajowy Zjazd
Sekcji Służby Zdrowia
NSZZ „Solidarność”
Gdańsk '81

Nazwisko	Ewa
Nazwisko	Przybyzewska
Nr mandatu	051

1	2	3	4
5	6	7	8
9	10	11	12
13	14	15	16

Województwo Pomorskie
Urząd Marszałkowski
ul. Długa 10
80-001 Gdańsk

Urząd Marszałkowski
Województwa Pomorskiego
ul. Długa 10
80-001 Gdańsk

PROKURATURA
KRAJOWA



1	2	3	4
5	6	7	8
9	10	11	12
13	14	15	16

Handwritten notes and stamps, including a date stamp '1998' and other illegible text.

POLSKA RZECZPOSPOLITA
LUDOWA

LEGITYMACJA

Nr 22-70-42

WARSZAWA
dn. 12 czerwca 1970 r.

UCHWAŁĄ RADY PAŃSTWA

z dnia 12 czerwca 1970 r.


odznaczony (a) został (a)

Ob. CZERWIENKO-

PRZYBYSZEWSKA Ewa

MEDALEM
ZWYCIĘSTWA I WOLNOŚCI
1945 r.

PRZEWODNICZĄCY RADY PAŃSTWA


Marian Spychalski
MARIAN SPYCHAŁSKI
MARSZAŁEK POLSKI

POLSKA RZECZPOSPOLITA
LUDOWA

LEGITYMACJA

Nr 14-82-88 K

WARSZAWA
dn. 13 stycznia 1982 r.

UCHWAŁĄ RADY PAŃSTWA

z dnia 13 stycznia 1982 r.

odznaczony/a został/a

CZERWIONKO-

Ob. PRZYBYSZEWSKA

Ewa c. Wincentego

WARSZAWSKIM
KRZYŻEM POWSTAŃCZYM

PRZEWODNICZĄCY
RADY PAŃSTWA

Janusz



Data 8.01.2002

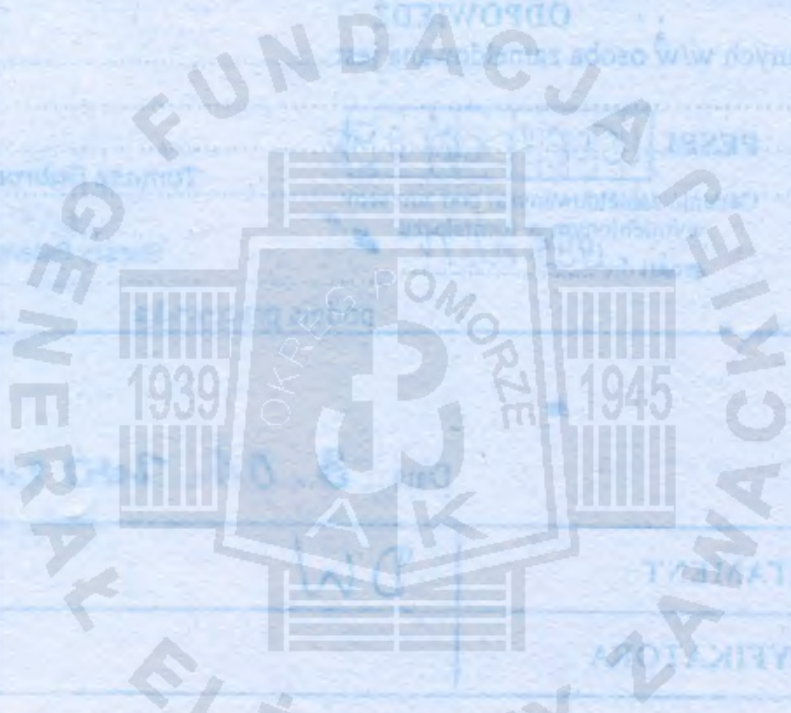
1/2-27

DEPARTAMENT	DW
KOD WERYFIKATORA	
CZERWIONKO-PRZYBYSZEWSKI Wojciech Nazwisko i imię	
s. Wincentego 30.06.1915 Maria i Cwirko Imiona rodziców	
Rozja Data i miejsce urodzenia	
Warszawa ul. Ateńska 2 w 122 Ostatnio zamieszkały	
ODPOWIEDŹ	
Według posiadanych danych w/w osoba zameldowana jest:	
PESEL	15063000298
Ostatnio zameldowany(a) pod adresem wymienionym w formularzu zameldowania	Tomasz Dąbrowski
08 STY. 2002	1995.01.14 Starszy Referent
Data	podpis pracownika

Data 8.01.2002

DEPARTAMENT	DW
KOD WERYFIKATORA	
CZERWIONKO-PRZYBYSZEWSKA EWA Nazwisko i imię	
s. Wincentego Józefa Janasz Imiona rodziców	
15.09.1918 KRAKÓW Data i miejsce urodzenia	
WARSZAWA ul. Ateńska 2 w 122 Ostatnio zamieszkały	
ODPOWIEDŹ	
Według posiadanych danych w/w osoba zameldowana jest:	
PESEL	18091500985
Ostatnio zameldowany(a) pod adresem wymienionym w formularzu zameldowania	Tomasz Dąbrowski
08 STY. 2002	1999.02.27 Starszy Referent
Data	podpis pracownika

DEPARTMENT	30
KOD WERYFIKATORA	
CZERNIOWICKO-PRZYKAZEWSKI WSKŁ	
Wzrost i waga	30.00.1912
Imię i nazwisko	Wojciech
Adres i adres rodziców	ul. Fiedorowa 2 w 125
Opis choroby	
ODPOWIEDŹ	
Wzrost gotowanych danych w/w osoba zainformowana jest	
PESEL	
DATA	0 8 511 2002



DEPARTMENT	
KOD WERYFIKATORA	
CZERNIOWICKO-PRZYKAZEWSKA EWA	
Wzrost i waga	Wzrost
Imię i nazwisko	Wojciech
Adres i adres rodziców	12.00.1918 KRAKÓW
Opis choroby	WARSZAWA ul. Fiedorowa 2 w 125
ODPOWIEDŹ	
Wzrost gotowanych danych w/w osoba zainformowana jest	
PESEL	
DATA	0 8 511 2002

70/214-75N-412/07
1.02.1751/WSK

1/2-28

Wykaz nr 14

WYKAZ MILITARI V-kl.

Pouy [signature]

17.11.67

7036-7092

7185 x 2

	K. Nazwisko i imię s. Rodzina	Data i rok urodzenia		Data Komisji
1.	Elancki Stanisław s. [illegible]	20.5.1927	AK	1.7.68 DK-7036/W
2.	Albin [illegible] s. [illegible]	27.12.1897	PSZ	21.3.68 7037/W
3.	Bolesław Stanisław s. [illegible]	24.4.1914	BCh	21.3.68 7038/W
4.	Bożowski Mieczysław s. [illegible]	30.8.1917	"	" 7039/W
5.	Gajewski Przemysław s. [illegible]	15.9.1918	AK	17.11.67 7040/W
6.	Bolesław Roman Ryszard s. [illegible]	16.8.1921	"	17.11.67 7041/W
7.	Drozd Kazimierz s. [illegible]	2.6.1922	BCh	21.3.68 7042/W
8.	Figura Antoni s. [illegible]	10.2.1915	AK	1.7.68 7043/W
9.	Furczak Albin s. [illegible]	14.1.1913	"	17.11.67 7044/W
10.	Gacki Kazimierz s. [illegible]	11.4.1907	"	21.3.68 7045/W
11.	Grigo Zenon s. [illegible]	23.6.1920	"	1.7.68 7046/W
12.	Gryllski Kazimierz Michał s. [illegible]	26.9.1904	PSZ	4.4.68 7047/W
13.	Gubare Mieczysław s. [illegible]	6.8.1916	"	1.7.68 7048/W
14.	Gubak Eugeniusz s. [illegible]	20.11.1922	AK	17.11.67 7049/W
15.	Haldrwin Emil s. [illegible]	30.6.1925	"	" 7050/W
16.	Hajnowski Sergiusz s. [illegible]	22.5.1914	"	" 7051/W
17.	Dr med. Gankowski Tadeusz s. [illegible]	20.12.1914	"	" 7052/W
18.	Jankowski Henryk s. [illegible]	16.11.1917	"	1.7.68 7053/W
19.	Jewiarz Stanisław s. [illegible]	16.11.1902	PSZ	" 7054/W

I/3 June

- zaproszenie Prezydenta RP Lecha Wałęsy na uroczystość obchodów 200 rocznicy ustanowienia Orderu Wojennego VM, W-wa 1992, kopia, k. 2, s. 1-2





FUNDACJA
GENERALNA
OKRĘG POMORZE
1939 1945
MŁŻBIETY ZAWACKIEJ





1.22, 1699 / WSK-412 / 08

PROGRAM

**obchodów 200 rocznicy ustanowienia
Orderu Wojennego Krzyża Virtuti Militari
19-21 czerwca 1992 roku**

1792 * 1992

A. Uroczystości na szczeblu centralnym

- I. Uroczysta sesja naukowa „Virtuti Militari w dziejach narodu polskiego” – 19 czerwca 1992 r. o godz. 10.00 w Pałacu Kazimierzowskim Uniwersytetu Warszawskiego (dawna Szkoła Rycerska).
- II. Msza Święta w Katedrze Polowej WP z udziałem kawalerów Orderu Wojennego Virtuti Militari, władz państwowych, żołnierzy WP, kombatanów i korpusu dyplomatycznego – 20 czerwca 1992 r. o godz. 9.30.
- III. Uroczysta odprawa wart pododdziałów Wojska Polskiego, reprezentujących wszystkie rodzaje Sił Zbrojnych przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie z udziałem pocztów sztandarowych oddziałów Wojska Polskiego udekorowanych krzyżami srebrnymi Orderu Wojennego Virtuti Militari za wojnę polsko-bolszewicką 1918-1920 r., kampanię wrześniową 1939 r., walkę w konspiracji oraz walki na froncie zachodnim i wschodnim.
- IV. Spotkanie prezydenta RP z kawalerami Orderu Wojennego Virtuti Militari – 20 czerwca 1992 r. o godz. 13.45 w Pałacu Kazimierzowskim Uniwersytetu Warszawskiego (dawna Szkoła Rycerska).
- V. Otwarcie wystawy w Muzeum Wojska Polskiego poświęconej Orderowi Wojennemu Virtuti Militari – 20 czerwca 1992 r. o godz. 15.30.
- VI. Spotkanie przedstawicieli miast odznaczonych Orderem Wojennym Virtuti Militari pod patronatem prezydenta m. st. Warszawy – 20 czerwca 1992 r. o godz. 17.00.

**PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Lech WAŁĘSA**

z a p r a s z a

na uroczystość obchodów

**200 ROCZNICY
USTANOWIENIA
ORDERU WOJENNEGO
VIRTUTI MILITARI**

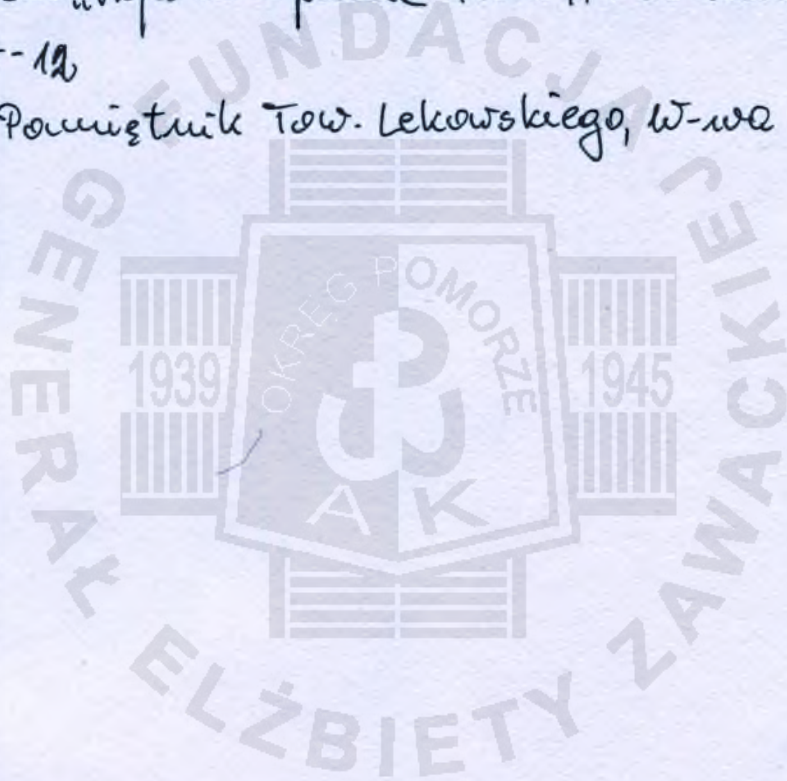
**które odbędą się w dniach
19-21 czerwca 1992 roku
w Warszawie i Dubience**

B. Uroczystości lokalne

Uroczystość patriotyczna w 200 rocznicę bitwy pod Dubienką
– 21 czerwca 1992 r. o godz. 12.00 – Dubienka.

II Materiały uzupełniające

- „Kto jest kim w polskiej medycynie” W-wa 1967, kopia, k. 1, s. 1
- Nekrolog E. Przybylszewskiej „Gazeta Wyborcza” 3.03.1999, kopia, k. 1, s. 2
- Nekrolog E. Przybylszewskiej „Życie Warszawy”, 4.03.1999, kopia, k. 1, s. 2
- Pożegnanie i nekrolog E. Przybylszewskiej „Gazeta Wyborcza” 4.03.1999, kopia, k. 1, s. 3
- Czewionko-Przybylszewska Ewa [w:] Rocznik Medycyny t. VIII Vol. 1, Olsztyn 2000, k. 3, s. 4-6
- E. Czewionko-Przybylszewska, Pierwsze dni Powstania Warszawskiego [w:] L. Kotowski „Moja kompanie Pułk AK „Baszta”, W-wa 2002, kopia, k. 5, s. 7-12
- Życiorys [w:] Pomnikownik Tow. Lekarskiego, W-wa 2003, kopia, k. 3, s. 13-15



PRZYBYSZEWSKA, Ewa, pediatra; specjalista I st. 1952 i II st. 1956 w zakresie pediatrii; ur. 15 września 1918. Kraków; zamężna, 3 synów i córka; studia: Wydział Lekarski Uniwersytetu Poznańskiego 1938-39, Szkoła Zawodowa dla Personelu Sanitarnego doc. Jana Zaorskiego, Warszawa 1942-43, Wydział Lekarski tajnego Uniwersytetu Warszawskiego 1943-44, Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1949.

Uczestniczka Powstania Warszawskiego 1944; wolontariusz Oddz. Wewn. Szpitala Św. Łazarza, Kraków 1945-47; lekarz-asystent Szpitala Miejskiego oraz kier. Przychodni Obwodowej i p.o. lekarza w Domu Małego Dziecka „Caritas”, Gryfów Śląski 1947-49; Szpital Pow., Giżycko: asystent Oddz. Wewn. 1949-50, organizatorka 1949 i z-ca ordynatora 1950-52 Oddz. Dziecięcego, lekarz na Oddz. Zakaźnym 1949-52, lekarz na Oddz. Noworodków 1949-52; kier. Miejskiej Przychodni Obwodowej, Giżycko 1950-52; organizatorka i ordynator Oddz. Dziecięco-Noworodkowego Szpitala Pow., Morąg 1952-57; ordynator Oddz. Dziecięcego Szpitala Miejskiego, Wałbrzych 1957-58; ordynator Oddz. Dziecięco-Noworodkowego Szpitala Pow. i konsultant pediatr. sanatorium ortop. dla dzieci w Świebodzinie 1958-61; ordynator Szpitala Dziecięcego, Nowa Sól 1961-63; organizatorka i ordynator Oddz. Dziecięcego Szpitala Woj. (do 1975 Szpitala Miejskiego), Włocławek 1963-76; lekarz em. 1977; kier. dziecięcego leczn. otwartego: Giżycko 1950-52, Morąg 1952-57, Świebodzin 1958-61, Nowa Sól 1961-63, Grójec 1976-77; lekarz w Lek. Spółdzielni Specjal., Włocławek 1977-; inspektor ds. pediatrii na teren: pow. Morąg i Paszów 1952-57, woj. olsztyńskiego 1954-57, m. Wałbrzycha 1957-58, pow. Świebodzin 1958-61, pow. Nowa Sól 1961-63, pow. Radziejów 1965-75, m. Włocławka 1974-76; wykładowca higieny i pediatrii w szkołach pielęgniarstwach: w Giżycku 1949-52, Wałbrzychu 1957-58, Włocławku 1963-76 i Grójcu 1976-77; wykładowca higieny w Szkole Ogólnokształcącej, Świebodzin 1958-61; wykłady dla przebywających na praktyce studentów Łódzkiej AM, Włocławek 1975-76.

Staże naukowe: placówki med. w Bydgoszczy 1950, Gdańsku 1951, Białymstoku 1960 i 1964, Inst. Matki i Dziecka w Warszawie 1954, 1956.

Osiągnięcia: zmniejszenie umieralności niemowląt w zorganizowanych i kierowanych przez siebie placówkach leczn. dziecięcego.

Czł.: PTL 1952- (czł. Zarządu Koła Wałbrzyckiego 1958, czł. Zarządu Koła Włocławskiego 1965-76), Polskiego Tow. Pediatr. 1950- (organizatorka i przew. Oddz. Woj. we Włocławku 1976-85); czł.: Ligi Kobiet (czł. Zarządu Kom. Woj. we Włocławku 1974-76), Polskiego Kom. Korczakowskiego 1979- (czł. Zarządu 1984-); radna MRN w Świebodzinie 1962-63; czł. SD 1964-81 (prez. Koła Służby Zdrowia 1974-76, czł. Prezydium KM, Włocławek 1978-81); wpis do Księgi Zasłużonych dla m. Włocławka; Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Odznaka Grunwaldzka, Warszawski Krzyż Powstańczy, Medal za Warszawę 1939-1945, Medal Zwycięstwa i Wolności 1945, Odznaka „Zasłużonemu – Polskie Tow. Lek.”, Srebrna Odznaka TPD, Odznaka „Przyjaciół Dziecka”, Zasłużony Działacz FJN, Złota Odznaka Ligi Kobiet, Odznaka „Za zasługi dla woj. włocławskiego”, Odznaka „Zasłużony dla m. Włocławka”.

Publikacje: doniesienia w „Pediatrii Polskiej” i artykuły w „Służbie Zdrowia”.

Sposób spędzania wolnego czasu: dom, rodzina; hobby: kwiaty.

Adres: ul. Ateńska 2 m. 122, 03-978 Warszawa, tel. 17 70 82.

KTO JEST KIM W POLSKIEJ MEDYCYNIE

INFORMATOR BIOGRAFICZNY

WYDAWNICTWO INTERPRESS
WARSZAWA 1987

1939
1940
1941
1942
1943
1944
1945
1946
1947
1948
1949
1950
1951
1952
1953
1954
1955
1956
1957
1958
1959
1960
1961
1962
1963
1964
1965
1966
1967
1968
1969
1970
1971
1972
1973
1974
1975
1976
1977
1978
1979
1980
1981
1982
1983
1984
1985
1986
1987
1988
1989
1990
1991
1992
1993
1994
1995
1996
1997
1998
1999
2000
2001
2002
2003
2004
2005
2006
2007
2008
2009
2010
2011
2012
2013
2014
2015
2016
2017
2018
2019
2020
2021
2022
2023
2024
2025

1939
1940
1941
1942
1943
1944
1945
1946
1947
1948
1949
1950
1951
1952
1953
1954
1955
1956
1957
1958
1959
1960
1961
1962
1963
1964
1965
1966
1967
1968
1969
1970
1971
1972
1973
1974
1975
1976
1977
1978
1979
1980
1981
1982
1983
1984
1985
1986
1987
1988
1989
1990
1991
1992
1993
1994
1995
1996
1997
1998
1999
2000
2001
2002
2003
2004
2005
2006
2007
2008
2009
2010
2011
2012
2013
2014
2015
2016
2017
2018
2019
2020
2021
2022
2023
2024
2025



gazeta

WYBORCZA

ŚRODA

3 marca 1999

NR 52 (2953)

WAW

REDAKTOR PROWADZĄCY
ROMAN ANTONOWICZ

DODATEK
DO „GAZETY WYBORCZEJ”

NAKLAD 128 TYS.

ISSN 1232-1729

S.13

ZYCIE
Centrala telefoniczna
625-69-90
łączy wszystkie działy

WYDAWCA
M
MULTICO PRESS

4. 03. 1999

(czwartek),

S. 16

Dnia 27 lutego 1999 roku w wieku 80 lat zmarła

Ś.†P.

EWA PRZYBYSZEWSKA

z domu **PODGÓRSKA**

lekarz pediatra

Człowiek wielkiego serca i charakteru.

W Powstaniu Warszawskim 1944 roku pod pseudonimem „Ewa” sanitariuszka pułku „Baszta”, odznaczona między innymi Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami i Warszawskim Krzyżem Powstańcym. Ordynator Oddziałów Dziecięcych i Noworodków w szpitalach w Gryfowie Śląskim, Giżycku, Morągu, Wałbrzychu, Świebodzinie Wielkopolskim, Nowej Soli i Włocławku, wykładowca higieny i pediatrii w szkołach pielęgniarstwa. Zasłużony członek Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, honorowy członek Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego, wyróżniona odznaką „Przyjaciel Dziecka”.

Nabożeństwo żałobne odprawione zostanie w dniu 5 marca 1999 roku o godzinie 10.00 w kościele św. Michała Archanioła przy ul. Puławskiej 95 w Warszawie.

Pogrzeb odbędzie się tego samego dnia o godzinie 16.00 na cmentarzu komunalnym przy ul. Poprzecznej w Olsztynie.

Oczym powiadamy pogrzeżeni w głębokim smutku

córka i synowie z rodzinami

Z głębokim zalem żegnamy

Ś.†P.

dr med.

EWĘ PRZYBYSZEWSKĄ

zmarłą 27.02.1999 r.

Była zasłużonym pediatrą,

kochającym swoich pacjentów.

Osobą kierującą się najlepszymi zasadami

moralnymi i społecznymi.

Pogrzeżeni w smutku

koleżanki i koledzy

FUNDACJA
GENERALNA
ELŻBIETY ZAWACKIEJ
OKRĘG POMORZE
AK

1939

1945

MIA BOBOSZA
STAWO

FUNDACJA
GENERALNA
ELŻBIETY ZAWACKIEJ
OKRĘG POMORZE
AK

STAWO
MIA BOBOSZA
02 1933
(zawackiej)
2.16

l.dz. 1639 / WSK-412 / 07

gazeta
W Y B O R C Z A

CZWARTEK
4 marca 1999
NR 53 (2954) WAW

REDAKTOR PROWADZĄCY
DOROTA BÓRUSZKOWSKA

DODATEK
DO „GAZETY WYBORCZEJ”

NAKLAD 120 TYS.
ISSN 1232-1729 *s 14*

Ewa Przybyszewska

POŻEGNANIE

Pani Doktor Ewa Przybyszewska zmarła 27 lutego 1999 r. Była lekarzem pediatrą, do ostatnich dni oddaną swoim małym pacjentom. Miałam szczęście znać Naszą Panią Doktor, bo tak zwykliśmy o Niej mówić, tylko przez ostatnich kilka lat Jej życia. W tym czasie leczyła moje małe dzieci, ale też uczyła mnie, jak z nimi postępować. Była moją wyrocznią i elementarzem macierzyństwa.

Trudno jest opisać zwykłymi słowami, jak wspaniałą była osobą; ile miała w sobie mądrości, dobroci i powołania do pracy, jaką wykonywała. Jak doskonale potrafiła „podejść” małych pacjentów, aby nie odczuwali żadnego stresu w czasie badania.

Wizyty u Pani Doktor prawie zawsze przeciągały się do ponad dwóch godzin, bo każde dziecko z osobna wymagało troski, rozważy, rozmowy. Ja „piłam” słowa z ust Pani Doktor, bo było w nich tyle mądrości życiowej.

Rozmawiając z kilkoma innymi matkami pacjentów Pani Doktor, dowiedziałam się, że wszystkim nam Pani Ewa Przybyszewska dawała komfort psychiczny, pewność, że zawsze jest ktoś, kto może poradzić, doradzić, zaradzić. Ale jednocześnie właśnie nas, rodziców, z nieskończoną cierpliwością uczyła, jak rozpoznawać niepokojące objawy, jak postępować w takim przypadku, ale – co najważniejsze – jak zapobiegać chorobie.

Pani Doktor była naszą ostoją – pomimo że sama miała już problemy ze zdrowiem. Pełna energii i siły wewnętrznej, miała jeszcze wiele planów na przyszłość. Niestety, choroba pokrzyżowała Jej plany, a nas, rodziców, i Jej małych pacjentów, pozbawiła prawdziwego Przyjaciela. Kochaliśmy Naszą Panią Doktor. Teraz pozostanie na zawsze w naszych sercach.

ALICJA CYBULSKA

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 27 lutego 1999 r. w wieku 80 lat zmarła w Warszawie

pani doktor

EWA PRZYBYSZEWSKA

nestorka wrocławskiej pediatrii, długoletni ordynator Oddziału Dziecięcego we Wrocławku, założycielka Oddziału Wrocławskiego Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego, która całe swoje pracowite życie poświęciła dobru i miłości dla dzieci, w tym duchu wychowała również wielu pediatrów.

Pograżonej w smutek rodzinie pani doktor wyrazy współczucia składają

członkowie Kujawsko-Pomorskiej Okręgowej Izby Lekarskiej



Polskie Towarzystwo Lekarskie
Oddział w Olsztynie



Okręgowa
Warmińsko-Mazurska Izba Lekarska

ROCZNIK MEDYCZNY

Tom VIII
Volumen 1

Olsztyn 2000

Olsztyn 2000

Zenobiusz M. Bednarski

Lekarze Warmii i Mazur
1945 – 1999
Słownik biograficzny

Podpórka

—Czerwionka Pomorska

Cieła Michał Władysław, ur. 27 czerwca 1941 r. w Warszawie w Zalesiu Górnym, s. Czesława i Stanisławy. W 1960 r. ukończył LO w Piasecznie. W latach 1961—1967 studiował na Wydziale Lekarskim WAM w Łodzi, gdzie 12 maja 1967 r. otrzymał dyplom lekarza. Od 1967 do 1969 r. był młodszym asystentem w 2 Centralnym Szpitalu Klinicznym WAM w Warszawie, od września 1969 r. starszym lekarzem w jednostce wojskowej w Lidzbarku Warmińskim, jednocześnie od 5 listopada 1969 r. pracował dwie godziny dziennie w tamtejszym Szpitalu Powiatowym na oddziale chirurgicznym.
Arch. OW-MIL.

Czamik Barbara
patrz Głowacka-Czanik B.

Czarniak-Muraszko Ewa Danuta (1950—1989).
Ur. 13 lutego w Garwolinie, c. Feliksa i Elżbiety z Andrzejków. W 1958 r. ukończyła LO w Garwolinie. W latach 1968—1974 studiowała na Wydziale Lekarskim AM w Białymostku, gdzie 7 września 1974 r. otrzymała dyplom lekarza. Od 10 września 1974 r. skierowana do pracy w ZOZ w Mońkach, woj. białostockie, gdzie pracowała do 15 lipca 1977 r. na oddziale położniczo-ginekologicznym, od 16 lipca 1977 r. podjęła pracę w ZOZ w Mrągowie. Będąc na rencie od 1 czerwca 1987 r. rozpoczęła pracę na pół etatu w ZOZ w Olsztynie. Zmarła 11 czerwca. Spoczęła na cmentarzu komunalnym przy ul. Poprzecznej w Olsztynie 14 czerwca 1989 r.
Arch. OW-MIL; informacja dr. W. Babickiego.

Czarnowska Maria Róża, ur. 7 listopada 1938 r. w Warszawie, c. Władysława. W 1957 r. uzyskała świadectwo dojrzałości. W latach 1957—1963 studiowała na Wydziale Lekarskim AM w Warszawie, gdzie 10 września 1963 r. otrzymała dyplom lekarza. Od 15 listopada rozpoczęła staż podopieczny w Szpitalu Powiatowym i Przyrodni Obwodowej w Ostrołęce.
Arch. OW-MIL; Spt 1964 s. 706.

Czask Irena, z d. Wilk, ur. 20 września 1936 r. w Zamosciu, c. Władysława i Janny z Doroszków. Szkołę średnią ukończyła w Zamosciu. Studiowała na Wydziale Lekarskim AM w Warszawie i 7 czerwca 1962 r. otrzymała dyplom lekarza. Od

1 lipca 1962 r. do 3 czerwca 1963 r. odbyła staż podopieczny w Szpitalu w Ostrołęce.
Arch. OW-MIL; Spt 1964 s. 706.

Czerwiński Adam Wawrzyniec, ur. 21 sierpnia 1924 r. w Skiermiewicach, s. Piotra i Marii z Konicznych. Ukończył LO im. Kazimierza Wielkiego w Zdunskiej Woli. W latach 1948—1954 studiował na Wydziale Lekarskim AM w Łodzi i 10 grudnia 1954 r. otrzymał dyplom lekarza. Od 1 stycznia do 1 sierpnia 1955 r. był lekarzem Pogotowia Ratunkowego w Zielonej Górze, od 1 września 1955 r. do 30 czerwca 1957 r. w Państwowym Ośrodku Wychowawczym w Policach kolo Szczecina, od 1 lipca 1957 r. do 31 lipca 1963 r. asystentem, starszym asystentem w Klinice Laryngologii AM w Szczecinie, od 1 sierpnia 1963 r. laryngologiem w Przyrodni Obwodowej w Tykach, od 1 września 1966 r. do 1 marca 1969 r. w Przyrodni Obwodowej nr 2 w Bydgoszczy, od 1 kwietnia 1970 r. do 30 listopada 1971 r. w Moglinie, od 1 grudnia 1971 r. ordynatorem oddziału laryngologicznego w Szpitalu w Iławie. Przeszedł na emeryturę 31 grudnia 1991 r. podejmując pracę na ćwierć etatu w Przyrodni PKP w Iławie. Uzyskał specjalizację I (1961) i II (1968) z laryngologii. Podczas pracy w Klinice AM w Szczecinie ogłosił drukiem dwie prace: *Guz mieszyj podniebienia miękkiego*. Wiad. Lek. 1962 T. XV nr 23 s. 1731—1735; *Taniowski J. i Czerwiński A.: Narząd równowagi w wieku podeszłym*. Przeg. Lek. 1963 R. XIX nr 1 s. 1—2. W latach 1942—1945 był członkiem Batalionów Chłopskich, 1957—1990 należał do PZPR. Od 1958 r. jest członkiem Polskiego Związku Wędkarskiego, od 1951 r. Polskiego Towarzystwa Laryngologicznego, a od 1956 r. ZZPSZ. Odniesiony Krzyżem Partyzanckim, odznaką Grunwaldu, Medalem Zwycięstwa i Wolności, Krzyżem Batalionów Chłopskich, Złotym KZ, odznakami: „Zasłużonym dla Warmii i Mazur”, „Za wzorową pracę w służbie zdrowia”, srebrną i złotą „Zasłużony dla ZZPSZ, Medalem 40-lecia PL. Zamieszany poln. z zawadodow: żeglarsstwo, szkutnictwo, wędkarstwo.

Zona Anna jest pielęgniarką; syn Piotr, ur. w 1971 r. nauczycielem wychowania fizycznego. Anbieta; PAM s. 50 (odnotowano, że ur. 21 sierpnia 1925 r., dyplom 16 grudnia 1954 r.).

Czerwiński Bernard, ur. 21 lipca 1922 r. w Stancie, s. Jana. W 1934 r. rozpoczął naukę w pol-

skim gimnazjum w Bytomiu, następnie w 1937 r. przeniósł się do polskiego gimnazjum w Kwidzynie. 25 sierpnia 1939 r. wraz z kolegami i wychowawcami osadzony w Tapiau (40 km za Królewcem, obecnie Gwardyjsk) w pomieszczeniach po szpitalu psychiatrycznym. 20 września nauczyciele zostali wywiezieni z Tapiau do obozów koncentracyjnych. Władysław Gębik, dyrektor gimnazjum, przed wywiezieniem zebrał uczniów w jednej z sal i odebrał od nich przysięgę, że nie zniechęcą honoru szkoły i kwidzyńskości. Wraz z innymi kolegami zwolniony z miejsc internowania wrócił do rodzinnego domu w Stancie, gdzie przydzielono go do pracy u gospodarza, który był w wojsku. W 1941 r. pracował w biurze transportowym w Królewcu. Z chwilą wybuchu wojny między Niemcami a ZSRR został powołany do wojska i odbył kurs sanitarny w jednostce wojskowej w Tapiau. W składzie 291 Pułku Prusko-Wschodniej Dywizji Piechoty stacjonował w miejscowości Wołochy i uczestniczył w oblężeniu Leningradu. Później został wycofany spod Leningradu do Witebska. W lipcu 1944 r. stacjonował nad Bugiem, gdzie został ranny. W styczniu 1945 r., gdy stacjonował nad Wisłą, otrzymał oryginalny dokument „urlop specjalny” od AK. Dzięki niemu dotarł do Biskupca. W tydzień później w Stancie był już Rosjaninem. Tuż po wojnie starosta biskupiński mianował go inspektorem szkolnym w Biskupcu. Piastował w oświacie różne stanowiska, a jednocześnie uzupełniał wykształcenie. Świadectwo dojrzałości uzyskał w liceum dla pracujących w Olsztynie. Studiował na Wydziale Lekarskim AM w Warszawie w latach 1946—1952; 15 listopada 1952 r. otrzymał dyplom lekarza. Po studiach pracował w Szpitalu Wojewódzkim w Olsztynie. W 1953 r. przeniósł się do Giżycka, gdzie po kilku latach został dyrektorem miejscowego szpitala. Uzyskał specjalizację z ginekologii.

Katarzyński W.: *Serce i scena za groz.* Gaz. Olszt. 1997, nr 243 s. 17; PAM s. 50, Spt 1964 s. 55.

Czerwiński-Przybyszewska Ewa z d. Podgórska (1918—1999). Ur. 15 września w Krakowie, c. Wincentego. W 1937 r. ukończyła Żeńskie Gimnazjum Humanistyczne w Bydgoszczy. W latach 1937—1939 studiowała rolnictwo i medycynę na UP w Poznaniu, 1939—1942 mieszkała w Bydgoszczy i uczestniczyła w tajnym nauczaniu. W maju 1942 r. przedostała się przez „zieloną granicę” do Warszawy i tu od 1 sierpnia 1944 r.

elo 1

studiowała medycynę w Szkole Zaorskiego na Tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Jednocześnie działała w ruchu oporu — Wojskowej Służbie Kobiet jako patrolowa patrolu sanitarnego pod pseudonimem „Ewa”, wcześniej zajmowała się wytworzeniem fałszywych dokumentów osobistych. Brała udział w Powstaniu Warszawskim jako sanitariuszka 03 kompanii pułku „Baszta”. Po upadku powstania uciekała z transportu do obozu w Pruszkowie i do kocznic wojny mieszkła w Niedźwiedziu kolo Słomnik pod Krakowem, gdzie jako pomoc medyczna i pielęgniarka pracowała z miejscowym lekarzem. Tu wyszła za mąż za ppor. artylerii Wojciecha Czerwińsko-Przybyszewskiego, którym jako ciężko rannym opiekowała się w Powstaniu Warszawskim. W 1945 r. zamieszkała w Krakowie, gdzie rozpoczęła studia na UJ. Studiując, jednocześnie pracowała w klinice jako pielęgniarka i wolontariuszka. W 1947 r. wraz z rodziną przeniosła się do Gryfowa Śląskiego. Stąd dojechała do Krakowa, aby zdawać ostatnie egzaminy na Wydziale Lekarskim UJ. Dyplom lekarza otrzymała 17 lutego 1949 r. Nie posiadając jeszcze dyplomu pracowała w miejscowym szpitalu jako internista i położnik, lekarz ogólny przychodni oraz opiekowała się wyciecznymi dziećmi skupionymi w żłobku. Kierującą się chęcią specjalizowania się w pediatrii przeniosła się w 1949 r. do Giżycka, gdzie uczyła się pediatrii od liczącego ponad 70 lat dr. Bolesława Żabko-Potapowicza i Marii Hryniewicz-Klasse. Wsparta pomocą dyrektora szpitala dr. Jana Klemensa Lipińskiego i ordynatora oddziału wewnętrznego dr. Jana Juchniewicza zorganizowała oddział dziecięcy — otwarty 1 lipca 1950 r. powiązany z oddziałem noworodkowym i zakaznym. Oprócz pracy w charakterze asystentki była zastępcą ordynatora dr. M. Klasse oraz pracowała w poradni i wykładała pediatrię w miejscowej szkole pielęgniarstwa. W 1952 r., na prośbę dr. Janusza Zasztowa (kierownika Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia), przeniosła się do Morągowa, gdzie nie było pediatrii. Tu zorganizowała oddział dziecięcy (otwarty 7 marca 1952 r.) i poradnię dziecięcą. Wraz z siostrą Witkowską zapoczątkowała akcję szczepień BCG. Będąc ordynatorem oddziału w Moragu pełniła obowiązki wojewódzkiego inspektora pediatrii w Wojewódzkim Wydziale Zdrowia w Olsztynie. Uczestniczyła w szkoleniach pediatrycznych w Mrągowie zorganizowanych przez dr. Henrykę Doerffer — ówczesnego konsultanta z pediatrii. W tym czasie

Bechman M., lekare Warmi i Mazur 1945-1999 S.F.B

uzyskała specjalizację II* z pediatrii. W 1957 r. wraz z rodzinną opuszcza Morąg. Była ordynatorem oddziałów dziecięcych w szpitalach w Wałbrzychu (1957—1959), w Świebodzinie Wielkopolskim (1959—1961), w Nowej Soli (1961—1963), we Włocławku (1963—1978). Oprócz pracy zawodowej wykładała higienę i pediatrię w szkołach pielęgnarskich. Za zasługi powstanie otrzymała między innymi: Krzyż Srebrny Virtuti Militari V klasy, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Warszawski Krzyż Powstańczy, Medal za Waruszę, Medal Zwycięstwa i Wolności, Odznakę Grunwaldzką. Ponadto uhonorowana została odznakami: „Zasłużony dla miasta Włocławka”, „Zasłużony dla miasta Włocławka”, Srebrną Odznaką Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, „Przyjaciół Dziecka” oraz tytułem Członka Honorowego PTP. Po przejściu na emeryturę zamieszkała z mężem w Warszawie, gdzie pracowała społecznie i po 1989 r. również politycznie. Do końca życia nosiła pomocnym pacjentom z warszawskiej Saskiej Kępy. Zmarła 27 lutego w Warszawie.

Gaz. Olszt., 1999, nr 46, s. 11 (nekrolog); PAM s. 30; Spis 1964, s. 55 (błędy rok urodzenia); Przybylaszewska-Jarmiska B.: *Ewa Czerwińska-Przybylaszewska (1918—1999)*. Biul. Lek., 1999, R. X, nr 52, s. 37—39.

Czabała Jan* Władysław, ur. 18 czerwca 1923 r. w Poznaniu, s. Walentego i Józefy z d. Tarkówna. Do 1939 r. ukończył 3 klasy Gimnazjum Ogólnokształcącego. Od grudnia 1939 r. do października 1940 r. pracował przy rozbiórce stadionu miejskiego w Poznaniu i w warsztatach szkoleniowych Erga-Motor. W październiku 1940 r. wywieziony na roboty do Niemiec do 1945 r. pracował jako ślusarz. Do Poznania wrócił w październiku 1945 r. i pracował jako kreslarz u „Cegielskiego”. Jednocześnie uczył się w liceum dla dorosłych i w 1948 r. otrzymał świadectwo dojrzałości. W latach 1948—1953 studiował na Wydziale Lekarskim AM w Poznaniu, gdzie 8 października 1953 r. otrzymał dyplom lekarza. Od 1 listopada 1953 r. do 7 marca 1954 r. pracował w Szpitalu Miejskim w Pile, od 15 czerwca do 31 grudnia 1954 r. w Szpitalu Powiatowym w Kościanie, od 17 stycznia do 31 marca 1957 r. w Szpitalu Powiatowym w Sulęcinie na oddziale położniczo-ginekologicznym; w przerwie 1955—1956 pracował jako lekarz rejonowy i w pogotowiu ratunkowym w Poznaniu. Od 4 maja 1957 r. do 31 października 1960 r. był ordynatorem w Sanato-

rium i Przychodni Źrórowej w Polanicy Zdrój. Od listopada 1960 r. pracował w OZ w Jedwabnie, od 1 listopada 1961 r. w OZ w Gietrzwałdzie. Nie udało się ustalić dalszych jego losów.

Arch. OW-MIL; Spis 1964 s. 56.

Czeczko Stanisław (1938—1999). Ur. 2 lutego w Askrmonicach, pow. Przemyski, s. Piotra i Anny z d. Waszkisels. W 1958 r. ukończył LO w Ilawie. W latach 1958—1965 studiował na Wydziale Lekarskim AM w Gdańsku, gdzie 21 września 1965 r. otrzymał dyplom lekarza. Od 1 stycznia 1966 r. do 31 grudnia 1967 r. odbył staż w Szpitalu Powiatowym w Kętrzynie, od 1 lutego 1968 r. pracował w OZ w Garbnie. Zmarł 1 września 1999 r.

Arch. OW-MIL; Akt zgonu USC Kętrzyn 246/1999; Gaz. Olszt., 1999 nr 174 s. 12 (nekrolog).

Czyruch Mirrosława, ur. 3 lutego 1945 r. w Wilnie, c. Adolfa i Weroniki. W 1963 r. ukończyła LO w Olsztynie i w tym samym roku rozpoczęła studia na Wydziale Farmaceutycznym AM w Gdańsku, z którego po roku zrezygnowała. W latach 1964—1973 studiowała na Wydziale Lekarskim AM w Białymstoku, gdzie 19 kwietnia 1973 r. otrzymała dyplom lekarza. Skierowana do pracy w WSS-E w Olsztynie z jednocześnie odbywaniem stażu w WSZ w Olsztynie. Nie udało się ustalić dalszych jej losów.

Arch. OW-MIL.

Czyż Irena z d. Wilczyńska, ur. 20 października 1939 r. w Krzemieńcu, c. Adama i Haliny. Szkołę ogólnokształcącą ukończyła w Bytomiu. W latach 1957—1959 studiowała na Wydziale Lekarskim AM w Zabrzu Rokitynicy, 1959—1963 na Wydziale Lekarskim AM w Warszawie, gdzie 1 czerwca 1963 r. otrzymała dyplom lekarza. Od 20 sierpnia 1964 r. pracowała jako stazysta w Szpitalu Rejonowym w Dobrym Mieście. Wcześniej rok stażu pracy zaliczono jej decyzją MZIOS na podstawie zaświadczenia z okresu pracy w szpitalach w Finlandii (ginekologia, chirurgia).

Arch. OW-MIL; Spis 1964 s. 706.

Czyż Jerzy Stanisław Romuald, ur. 22 lutego 1938 r. w Poznaniu, s. Stanisława i Janiny. Szkołę średnią ukończył w Poznaniu. W latach 1956—1957 studiował na Wydziale Lekarskim AM w Poznaniu, 1957—1963 na Wydziale Lekarskim AM w Warszawie, gdzie 15 czerwca 1963 r. otrzymał

dyplom lekarza. Od 20 sierpnia 1964 r. rozpoczął staż w Szpitalu Rejonowym w Dobrym Mieście. Wcześniej rok stażu zaliczono mu decyzją MZIOS na podstawie zaświadczeń z okresu pracy w szpitalach w Finlandii (ginekologia, chirurgia).

Arch. OW-MIL.

D

Daukszewicz Adam Józef, ur. 30 października 1964 r. w Olsztynie, s. Józefa i Heleny z d. Ziarko. Ukończył LO im. M. Kopernika w Olsztynie. W latach 1983—1989 studiował na Wydziale Lekarskim AM w Białymstoku, gdzie 17 listopada 1989 r. otrzymał dyplom lekarza. Staż podopieczny odbył w Specjalistycznym ZOZ Matki i Dziecka oraz w WSZ w Olsztynie (1989—1990). Od 1990 r. pracuje w Wojewódzkim Specjalistycznym Szpitalu Dziecięcym w Olsztynie kolejno jako młodszy asystent, asystent. Od lutego do sierpnia 1994 r. pracował jako asystent w Queen Mother's Hospital i Royal Hospital for Sick Children w Glasgow (Szkocja). Uzyskał specjalizację I* (1993) i II* (1997) z pediatrii. Jest członkiem komitetu redakcyjnego „Biuletynu Lekarskiego” OW-MIL. Zamiłowania pozazawodowe: turystyka, fotografia, rysunek, film, dobra książka.

Żona Mariola.

Arch. OW-MIL.

Dąbrowska Barbara Regina z d. Bućko, ur. 2 stycznia 1942 r. w Białymstoku, c. Jerzego i Ireny. W latach 1959—1966 studiowała na Wydziale Lekarskim AM w Białymstoku, gdzie 21 stycznia 1966 r. otrzymała dyplom lekarza. Po studiach odbyła dwuletni staż, a następnie od 1968 r. była asystentem na oddziale wewnętrznym w Szpitalu Wojewódzkim w Białymstoku. Po uzyskaniu I* specjalizacji z chorób wewnętrznych (1972) pracowała na oddziale wewnętrznym ZOZ w Olsztynie. Od 1973 r. była zastępcą ordynatora oddziału wewnętrznego-chirurgicznego, od 1980 r. jest ordynatorem oddziału gastrologii w WSZ w Olsztynie. Uzyskała specjalizację I* (6 października 1972) i II* (11 kwietnia 1978) z chorób wewnętrznych, II* (28 kwietnia 1990) z gastroenterologii. Od 1980 r. jest członkiem NSZZ „Solidarność”. Zamiłowania pozazawodowe: górską turystyką pieszą. Dotychczas ogłosiła drukiem osiem prac.

Mąż Andrzej jest lekarzem chirurgiem dr. n. med.; 25 synowie: Wojciech mgr. prawa; Piotr technikiem fizykoterapii.

Arch. OW-MIL.

Dąbrowska-Lukaszek Czesława, ur. 19 lutego 1942 r. w Powiewiorce, pow. Święciany woj. wileńskie, c. Andrzeja i Jadwigi z d. Polisińska. W 1959 r. ukończyła szkołę podstawową i LO w Podbrodziu, woj. wileńskie. W latach 1960—1966 studiowała na Wydziale Lekarskim AM w Białymstoku i 29 sierpnia 1966 r. otrzymała dyplom lekarza. W latach 1966—1968 odbyła staż w Wojewódzkim Szpitalu w Olsztynie, 1968—1997 pracowała na oddziale wewnętrznym Szpitala MSW w Olsztynie, a od września 1997 r. zatrudniona na pół etatu w Przychodni Reumatologicznej tegoż szpitala i na pełnym etacie jako orzecznik ZUS w Olsztynie. Uzyskała specjalizację I* z chorób wewnętrznych (1973) i II* z reumatologii (1981). Odznaczona złotą odznaką honorową „Zasłużonym dla Warmii i Mazur”. Mąż Jan Łukaszek jest lekarzem ginekologiem i położnikiem; synowie: Krzysztof, ur. w 1968 r. jest lekarzem specjalistą I* z położnictwa i ginekologii, pracuje w AM w Gdańsku; Mariusz, ur. w 1976 r. jest studentem III roku Wydziału Lekarskiego AM w Gdańsku.

Arch. OW-MIL.

Dembinska Anna M.

patrz Glinka-Dembinska A. M.

Dereszkiewicz-Kalikowska Natalia z d. Dereszkiewicz, ur. 1 stycznia 1939 r. w Lubawie, c. Antoniego. W 1956 r. ukończyła LO w Gizycku. W latach 1956—1964 studiowała na Wydziale Lekarskim AM w Gdańsku, gdzie 21 listopada 1964 r. otrzymała dyplom lekarza. Roczny staż przeddyplomowy odbyła w klinikach AM w Gdańsku, staż podopieczny w Szpitalu Wojewódzkim w Koszalinie. Od 1 czerwca 1965 r. do 31 sierpnia 1966 r. pracowała na oddziale szpitalnej Wojewódzkiej Przychodni Przewodniczej w Koszalinie, od 1 września 1966 r. w Sanatorium Przewodniczym w Prabutach. Uzyskała specjalizację I* z chorób płuc (1969).

Arch. OW-MIL.

Dobrowolski Mirosław, ur. 1 października 1952 r. w Olsztynie, s. Adama i Henryki z d. Eliaszewicz.

II-7

Fragment książki
Ludwika Huttenbierg

"Moja K
Półka c.k. "Baszta"
wyd. W. - 1902 r.

MOJA
KOMPANIA

PUŁKA
BASZTA

P

GENERALNA FUNDACJA
ELŻBIETY ZAWACKIEJ

V-8

Ewa Czerwionko-Przybyszewska

Pierwsze dni Powstania Warszawskiego

Będąc studentką IV roku medycyny Tajnego Uniwersytetu Warszawskiego, zostałam zaprzysiężona przez WSK²¹¹ jako sanitariuszka z przydziałem w punkcie przy ulicy Grochowskiej, gdzie jednak nigdy nie dotarłam. Powstanie zaczęło się dla mnie na Mokotowie, w domu na rogu ulic Puławskiej i Reytana. Z tego rejonu trzeci pluton Kompanii „O3” Pułku „Baszta”, pod dowództwem podporucznika Zygmunta Wojciecha Czerwionko-Przybyszewskiego (pseudonim „Bem”), równocześnie zastępcy komendanta Kompanii „O3” – porucznika Ludwika Kotowskiego (pseudonim „Ludwik”, „Sybirak”), miał rozpocząć atak na dom Wedla. Niestety, już w trzeciej godzinie powstania „Bem” otrzymał postrzał w głowę i został przyniesiony przez kaprała podchorążego Józefa Krawczyka (pseudonim „Józwa”) do domu, w którym się znajdowałam. Na szczęście, wśród strychów tego domu miała mieszkanie Maria Malinowska (pseudonim „Urszula”), również studentka IV roku medycyny. Za pomocą jej sprzętu pierwszej pomocy chirurgicznej, mogłyśmy oczyścić ranę „Bema” z drobnych odprysków kości, wciśniętych w opony mózgowie. Zdążyły-

²¹¹ WSK – Wojskowa Służba Kobiet.

śmy skończyć zabieg, kiedy przyniesiono nam ciężko rannego w łopatkę „Józwę” (trafił go pocisk, gdy strzelał leżąc na dachu). Stan naszych podopiecznych był bardzo poważny.

Przez następne dwa dni nasi ranni wyraźnie oprzytomnieli i wzmocnili się. Wkrótce jednak weszli Niemcy i z naszego domu (za karę, że w tym rejonie rozpoczęto akcję) wyrzucili wszystkich mieszkańców (szczęśliwie nie zauważyli, że byliśmy na strychu), aby ich wywieźć na Szucha i podpalili dom. Mogliśmy „Bema” i „Józwę” sprowadzić nie spalonymi jeszcze schodami i schronić się w sąsiednim domu przy ulicy Reytana.

Przez tydzień chowałyśmy naszych podopiecznych w piwnicach domów, obawiając się, że Niemcy potraktują nas jak „bandytów” (alianci jeszcze wówczas nie ogłosili powstańców kombatanami). Dopiero dziewiątego sierpnia uznaliśmy, że czas już poszukać drogi do walczącego pułku.

Ostatnią noc ranni spędzili w zgliszczach naszego spalonego domu, bo gdzie indziej było niebezpiecznie. Niestety, okazało się, że tylko zewnętrzna warstwa ruin, zmoczona deszczem, wystygła; wewnątrz ciągle się tliło. Pod wpływem gorąca „Bem” dostał bardzo wysokiej temperatury i prawie stracił przytomność. „Urszula” poszła szukać kontaktu z naszą Kompanią. Wraz z „Józwą”, który lepiej zniósł tę noc, z trudem wynieśliśmy „Bema” na korytarz i położyliśmy na zimnym klepisku. Właśnie wówczas usłyszałam czyjś, wołający mnie po imieniu, głos. To była Zena Gąsinowska (pseudonim „Narcyza”), sanitariuszka i łączniczka zarazem, przysłana przez porucznika „Ludwika”, żeby nas doprowadzić do Kompanii. Trzeba więc było szybko ocucić „Bema”. Oblałam go zimną wodą, po czym włożyłam mu do ust znalezione w torebce dropsa z napisem „orzeźwiający”, przekonując go przy tym, że dostaje cudowne lekarstwo, po którym na pewno otrzeźwieje. Na szczęście sugestia zadziałała. „Bem” wstał, po czym w czwórkę, z „Narcyzą” i „Józwą” wyszliśmy na ulicę.

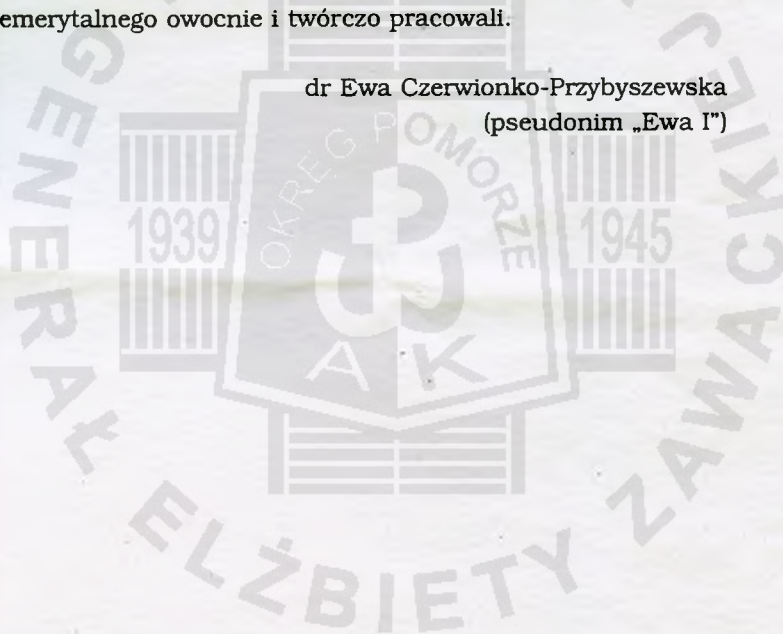
✓ VM

Tam Niemcy wypędzili mieszkańców krzyząc: „szybko na sachód”. Udając, że idziemy we wskazanym kierunku, kluczyliśmy po ulicy Reytana i Sandomierskiej, aż dotarliśmy do Narbutta, gdzie osłonili nas, ostrzeliwując Niemców, powstańcy naszej Kompanii. Wkrótce dotarliśmy do ulicy Krasickiego. Tu nastąpiło radosne powitanie przez „Ludwika” i jego chłopców. „Bem” po ogromnym wysiłku, jakim był dla niego marsz z podniesionymi

rękami, stracił siły i na noszach został zaniesiony do Szpitala Elżbietanek. Pod opieką bardzo sympatycznego i świetnego chirurga dr. Raczyńskiego pozostawał tam aż do czasu zbombardowania szpitala przez działą kolejowe, czyli tzw. „Grubą Bertę”. 29 sierpnia wrócił na linię do akcji. „Józwa” wrócił do walki już wcześniej, ponieważ czuł się dość dobrze, a Rtg wykazał, że w jego płucach nie ma kuli. Ja zostałam do końca powstania przy Kompanii „O3”, jako sanitariuszka „Ewa I”.

Obaj ciężko ranni nie tylko przeżyli, ale po wojnie założyli rodziny, skończyli studia wyższe i pomimo wielu przykrości, jakich doznali ze strony okupacyjnych władz komunistycznych, do wieku emerytalnego owocnie i twórczo pracowali.

dr Ewa Czerwionko-Przybyszewska
(pseudonim „Ewa I”)



II-112



Ppor. Zbigniew Bednarski „Jurkowski”, por. Ludwik Kotowski „Ludwik” oraz sanitariuszka Ewa Podgórska „Ewa” i ppor. Wojciech Czerwiński-Przybylski „Bem”

w Parku gen. Orlicz-Dreszera, w drodze do kościoła na zapowiedzi.

fot. archiwum rodzinne autora

II-111

202. do j 281/09

BIG
M. K. M. E. O. S. K. Z.

szedł do nas ks. Zieja – nasz kapelan – z dwoma świadkami: Ludwikiem i Jurkowskim. Odbyła się ta część ślubu, którą zwykle załatwiano się w kruchcie kościoła, czyli kontrakt cywilny. Sakrament miał się odbyć w niedzielne południe przy ołtarzu polowym. Przy moim łóżku czekały już pięknie wyczyszczone, błyszczące „oficerki”, jeden z chłopców z kompanii szykował dla nas prawdziwe „złote” obrączki z pocisku (jedna była już gotowa, druga zaś w robocie). Niestety właśnie w tę niedzielę wczesnym rankiem Niemcy przypuścili ostateczny szturm na Mokotów. Tak więc do ślubu kościelnego nie doszło, ale byliśmy po cywilnym, kiedy znaleźliśmy się w Niedźwiedziu i poszliśmy do tamtejszego proboszcza. Ksiądz początkowo przyjął nas dość nieufnie, ale kiedy dowiedział się, że my z Powstania Warszawskiego, z rozrzewnieniem zaczął opowiadać o czasach, kiedy był kapelanem w Legionach Piłsudskiego, po czym pomógł w załatwieniu formalności ślubnych. A ślub okazał się zupełnie niezwykłym. Chcieliśmy, by był jak najskromniejszy, żeby odbył się w powszedni dzień rano, bez niepotrzebnych świadków, a zobaczyliśmy przy ołtarzu trzech księży. Okazało się, że proboszcz dobrał sobie do towarzystwa dwóch braci Janczurów – znanego mi księdza Jerzego i jego starszego brata, który właśnie wyjeżdżał do jakiejś większej parafii. W efekcie otrzymaliśmy tzw. ślub rzymski, z całą mszą i podobno z wieloma błogosławieństwami, które miały utrwalić nasze wspólne życie. (Może faktycznie miało to wpływ na dalsze nasze losy. Przeżyliśmy wspólnie w spokoju pięćdziesiąt lat, udało się nam wychować czworo własnych, zdrowych dzieci i mogliśmy pomóc w wychowaniu trzem dziewczynkom potrzebującym tej pomocy).

11-13

Fragment wspomnień „Moja medycyna”

„Pamiętnik Tow. Lek. W-wa. Powst. Warsz. i Medycyna”
W-wa 2003 s. 64

Życiorys

Ewa z Podgórskich Czerwionko-Przybyszewska urodziła się 15 IX 1918 w Krakowie w rodzinie Wincentego i Jadwigi Podgórskich. Wczesne dzieciństwo spędziła w Borunach, na Kresach Wschodnich, gdzie jej ojciec

64

– inżynier i matematyk – po odzyskaniu przez Polskę niepodległości organizował seminarium nauczycielskie. Do szkoły uczęszczała w Bydgoszczy i tam w 1937 ukończyła żeńskie Gimnazjum Humanistyczne. W latach 1937–1939 – studiowała rolnictwo i medycynę na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pierwsze lata okupacji hitlerowskiej spędziła w Bydgoszczy zajmując się tajnym nauczaniem.

W maju 1942 przedostała się przez „zieloną granicę” do Warszawy, gdzie kontynuowała studia medyczne w tzw. Szkole Zaorskiego, a następnie na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. W czasie studiów nawiązała kontakt z konspiracją. Początkowo zajmowała się wytwarzaniem fałszywych dowodów (ausweissów, kennkart), później, kiedy rozpoczęła pracę w klinice internistycznej, została zaprzysiężona w WSK jako patrolowa patrolu sanitarnego (ps. „Ewa”).

W Powstaniu Warszawskim była sanitariuszką Kompanii 03 pułku „Baszta”. Opiekowała się rannymi, m.in. ciężko rannym oficerem, ppor. artylerii Wojciechem Czerwionko-Przybyszewskim, który później został jej mężem. Po kapitulacji powstania uciekła z transportu do Pruszkowa, po czym do końca wojny mieszkała w Niedźwiedziu koło Słomnik pod Krakowem. Spotkała się z mężem, któremu również udało się uciec. Współpracowała z miejscowym lekarzem jako pomoc medyczna i pielęgniarzka, zdobywając przy tym praktykę lekarską.

W 1945 przeprowadziła się z mężem do Krakowa, gdzie oboje podjęli studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Naukę łączyła z wolontariatem w klinice oraz pracą w charakterze pielęgniarki. W tym też okresie na świat przyszło dwóch jej synów (w następnych latach rodzina powiększyła się o kolejnego syna i córkę).

Ze względów bytowych w 1947 wraz z rodziną przeniosła się na Ziemię Odzyskaną, do Gryfowa Śląskiego, skąd dojeżdżała do Krakowa na ostatnie egzaminy i odbiór dyplomu, co nastąpiło w 1949 r.

W Gryfowie była przez dwa lata jedynym lekarzem. Pracowała w szpitalu jako internista i położnik, obsługiwała przychodnię i wizyty domowe i – co dawało jej największą satysfakcję – starała się o zmniejszenie śmiertelności dzieci w żłobku.

Chcąc specjalizować się w pediatrii, przeniosła się w 1949 do województwa olsztyńskiego, początkowo do Giżycka, gdzie w 1950 zorgani-

zowała pierwszy w miejscowym szpitalu oddział dziecięcy oraz noworodkowy i zakaźny. W 1952 przeniosła się do Mragowa, gdzie nie było pediatrii. Tu też zorganizowała oddział dziecięcy, otworzyła poradnię i rozpoczęła akcję szczepień BCG. Uzyskała II stopień specjalizacji z pediatrii.

W następnych latach, gdy minęła już „odwilż” 1956 r. i niekorzystnie zmieniła się atmosfera polityczna, rodzina kilkakrotnie zmieniała miejsce zamieszkania. Dr Przybyszewska pełniła funkcje ordynatora oddziałów dziecięcych w szpitalach Wałbrzycha, Świebodzina Wielkopolskiego, Nowej Soli i Włocławka (lata 1957–1978). Wszędzie prowadziła, jak i poprzednio, intensywne szkolenia lekarzy, uczyła pielęgniarki pracujące w oddziałach, wykladała higienę i pediatrię w szkołach pielęgniarskich. Sama starała się też aktualizować swoją wiedzę do końca życia. Jej działalność zawodowa i społeczna była doceniana przez władze miast, w których pracowała, przez związki i stowarzyszenia lekarskie. Została odznaczona m.in. odznaką „Zasłużonemu – Polskie Towarzystwo Lekarskie”, „Zasłużony dla miasta Włocławka”, Srebrną Odznaką Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, odznaką „Przyjaciel Dziecka”.

Po przejściu na emeryturę powróciła do Warszawy. Nadal prowadziła działalność społeczną, uczestniczyła w konferencjach, zebraniach i zjazdach pediatrycznych, nadal pomagała małym pacjentom.

Zmarła w Warszawie 27 lutego 1999 r.

Po Powstaniu Warszawskim przyznano dr Ewie Czerwionko-Przybyszewskiej odznaczenia: Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari V kl., Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Warszawski Krzyż Powstańczy, Medal za Warszawę, Medal Zwycięstwa i Wolności, Odznakę Grunwaldzką.

Opr. córka – Barbara Przybyszewska-Jarmińska

Adres (mąż):

Wojciech Przybyszewski
ul. Łukaszczyka 2 m 5
02-781 Warszawa
tel. 644-79-65

Pamiętnik Tow. Lek. Warszawskiego
66 Powstanie Warszawskie i Medycyna Wydanie II
Wyd. Tow. Lek. W_ wa 2003

III/1 Materiały dotyczące rodziny relatorów

- W. Przybyszewski, Życiorys napisany ok. 1966r., mps, kopia, k. 5, s. 1-5
- W. Przybyszewski, Szeregometry poświęcone działalności W. Czerwionko-Przybyszewskiego w czasie II wojny światowej, 1970, mps, kopia, k. 2, s. 6-7
- W. Przybyszewski, Informacje o W. Przybyszewskim -- [l.o.d.], mps, kopia, k. 3, s. 8-10
- Korespondencja W. Przybyszewskiego z dr. A. Toczewskim w latach 1985-1995 oraz zdjęcia studentów Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu z 1936r., mps, k. 23, s. 17-33



p 321/03

III/1-1 B305

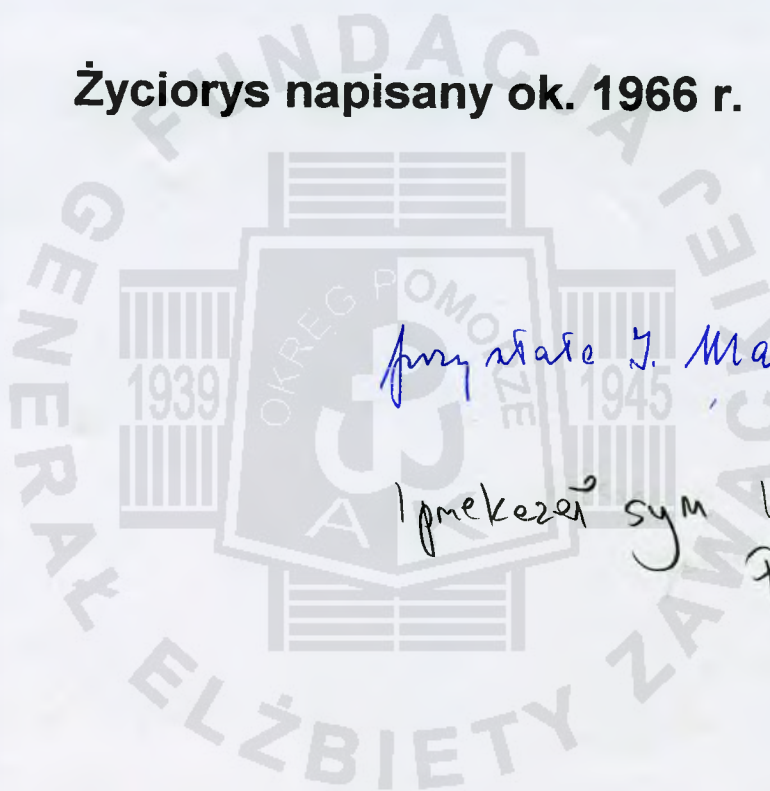
WOJCIECH PRZYBYSZEWSKI

Wojciech

(1915 – 1995)

S.3,4
gsm.1234

Życiorys napisany ok. 1966 r.



przebieg J. Makowska do 22
26 05 03

przebieg syn Wojciech
Przybyszewski

[Kart: 4; numerowane: (-) – 4; maszynopis, drugi egzemplarz]

1.02. 1699/PSK-412/08

Wojciech Czerwionko-Irzybyszewski /rodowe Zygmunt Czerwionko/ pseudo "Rafał", "Zych", "Bem". Ur.30.06.1915 w Spoczynku k/Baranowicz, świadectwo dojrzałości uzyskał w 1936 r. w Państwowym Gimnazjum im. T.Reytana w Baranowiczach, w tymże roku wstąpił do Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu. W czerwcu 1939 r. otrzymał przydział oficerski do 18 p.a.l. w Ostrowi Mazowieckiej, gdzie otrzymał funkcję d-cy I plutonu 4-ej baterii pod d-ctwem kpt. Żyźniewskiego. Przydział mobilizacyjny /24.08.1939 r./ otrzymał na stanowisko oficera zwiadowego 6 baterii /18 p.a.l./, pod d-ctwem por. Stefana Pągowskiego w Samodzielnej Grupie Operacyjnej "Nare Chrzest ogniowy przeszedł 8.09.1939 r. pod wsią Dzbenin /w pojedynku artyleryjskim z Niemcami przez rz. Narew/.

Brał udział w zwycięskich utarczkach pod Kleczkowem /9.09/ i pod Żyźniewem /10.09./. w bitwie pod Zambrowem /11.09/ działając jako obserwator wysunięty do piechoty /przy III batalionie 42 pp z Białegostoku/ został ciężko ranny /przestrzał szyi, ranę opatrzył por. Majewski dodając własny opatrunek osobisty przez co zatałował upływ krwi/ i po 6-cio godzinnym pozostawaniu na pobojowisku w stanie nieprzytomnym był wzięty do niewoli /przez patrol sanitarny, który dostarczył rannego do Feldlazaret, gdzie udzielono fachowej pomocy i nazajutrz odtransportowano z kilkunastoosobową grupą rannych jeńców do niemieckiego szpitala w Mehlsack /Młynary/. Po trzytygodniowym pobycie w tym szpitalu, gdzie dokonano transfuzji krwi /dawcą była siostra zakonna Mazurka Gerda Knopf/ przetransportowany do szpitala jenieckiego w Stalag IA /Stablak/, a następnie w listopadzie do obozu przejściowego w Klein Dexein i dalej 11.11. do Oflag II A w Irenzlau k/Szczecina.

Pierwsza indywidualna ucieczka z Oflagu /przez druty/ 6.08.1940: pieszo i "borem lasem" doprowadziła w okolice Nakła, ale po 9 dniach żandarmi ujęli uciekiniera. Po dwudniowym zatrzymaniu w areszcie w Oflagu II C w Woldenbergu i przetransportowaniu /w kajdanach/ do Oflagu II A w Irenzlau oraz odbyciu tam kary aresztu /30 dni/ został włączony do grupy 10-ciu oficerów złapanych przy próbie ucieczki podkopem. W czasie transportu wymienionych oficerów do "Sonderlager" /29.11.1940 r./ miała miej-

sce uciezka /skok z pociągu/ 3 oficerów /ppor. pil. Wacław Gąsowski, Mieczysław Chmiel i Zygmunt Czerwionko/. Do 2.12. trzej uciekinierzy zostali wyłapani i doprowadzeni do Cflag IV C Colditz K/Lipska i ukarani aresztem /po 30 dni/.

Po dwu niefortunnych improwizowanych ucieczkach trzecia nastąpiła 6.03. 1943 r. po starannym przygotowaniu /cywilnego ubrania, pieniędzy i dokumentów - "Urlaubschein"/ drogą przez szpital w Hoheswerda /skierowany przy pomocy dr. Tadeusza Jakubca przez Stabsarżta z rozpoznaniem "Verdacht auf Angina Pectoris"/ Z takim rozpoznaniem przeniesiony do szpitala w Gnauschwitz/ 8 km od Budziszyna/- zapewne specjalistycznego, w warunkach słabego dozoru /wartownik wokół drutów kolczastych - bez wież strażniczych/ miał ułatwioną uciezkę ze szpitala skradzionym po drodze rowerem do Budziszyna i dalej pociągiem przez Cotbus - Frankfurt - Poznań - Toruń - Bydgoszcz - Iławę - Nasielsk, dalej autobusem do Fułtusk i pieszo w okolice Wyszkowa, gdzie mimo braku przewodnika udało się przeprowić przez zieloną granicę do "GG".

Finał uciezki nastąpił /13.03.1943 r./ w Warszawie przy ul. Filtrowej 7 w mieszkaniu państwa Chrzanowskich, przedwojennych znajomych z letniska w Broku nad Bugiem. Nawiązanie kontaktu z AK nastąpiło przez pana Józefa Chrzanowskiego, który też dostarczył oryginalną Arbeitskarte ze Związku Kupców Chrześcijańskich i spowodował wizytę koczniczki /Aliny Mielczarek/, która zainstalowała zbiega w mieszkaniu swej zamężnej siostry /Marii Wiśniewskiej/ przy ul. Waszyngtona 64 do czasu wyrobienia Kenkart, co umożliwiło zameldowanie na pobyt stały przy ul. Kawczej 27 na nazwisko Wojciech Przybyszewski /z autentycznej metryki urodzenia/.

Po skontaktowaniu się z kpt. "Tomaszem" / pseudo - nazwisko nieznane/ nastąpiło wyposażenie w cywilne ubranie /lepsze od zaimprowizowanego w obozie/ i szkolenie na kursie "freblówki" zachowania się w Warszawie i na kursie dywersyjnym /w Prudentialu/, a 13.06.1943 r. nastąpił wyjazd do partyzantki /w okręgu Lidy/.

W Batalionie Zaniemeńskim pod komendą rtm. Józefa Świdry /pseudo "Lech"/ na stanowisku d-cy 1 Kompanii walczył w 3-ech większych bitwach:

- 1/ Jastrzębia Górka k/Szczuczyna /skuteczna zasadzka na Niemców 29.06.1943/, 2/ Dubicze-Zabłocie /przebiecie się z obławy 20-21.10.1943 r./ i 3/ pod wsią Fiszczowce n/Niemnem /25.11.1943 r. bój spotkaniowy po wycofaniu się z puszczy Lipiczańskiej między Niemnem i Szczarą/.

31.12.1943 r. po ostatniej bitwie pod Fiszczowcami powrót do Warszawy n leczenie serca. Od stycznia 1944 r. do kwietnia tegoż roku zamieszkując u wdowy po zamordowanym w Katyniu pułkowniku Fellegrinim - leczenie dolegliwości sercowych u dr. Wilczyńskiego.

Od 1.05.1944 r. nowy przydział z K.G.AK do pułku "Baszta" na stanowisko z-cy d-cy kompanii O₃ pod d-ctwem por. "Ludwika Sybiraka" Ludwika Kotowskiego /znajomego z okresu, gdy był Komendantem Strzelca w Baranowiczach

Od tejże daty zaangażowany do pracy w MZK /za łąpówką 1000 zł./ jako konduktor tramwajowy /przepustka nocna/. Ranny w 1-ej godzinie powstania przy ul. Jarbutta /postrzał głowy/ i wyciągnięty spod ostrzału przez ubezpieczającego kpr. "Józwę" /Józef Krawczyk/, który po godzinie sam został ranny /w klatkę piersiową/. Obaj ranni otrzymali pierwszą pomoc lekarską od studentek medycyny Marii Malinowskiej, pseudo "Urszula" i Ewy Podgórskiej, pseudo "Ewa" w pralni domu /róg ul. Reytana i Puławskiej i tamże byli przechowywani i pielęgnowani w mieszkaniu "Urszuli" na IV piętrze tego domu /2 dni, tj. do czasu jego podpalenia przez Niemców/, a następnie do 10.09.1944 w piwnicach tegoż domu /ostatnio na jego gruzach w wypalonych ruinach/. Przejście rannych pod opieką "Ewy" i łączniczki "Narcyzy" - Zeny Gąsinowskiej przez front na ul. Madalińskiego nastąpiło dnia 10.09., a następnie obie dziewczyny ewakuowały rannych pozostałych przy ul. Starościńskiej skąd ruszyło natarcie w godzinie "W". Ranny "Bem" został dostarczony do Szpitala SS Ślźbietanek, gdzie nazajutrz /11.09/ był operowany przez dr. Raczyńskiego /trepanacja czaszki/ i był leczony w tym szpitalu do dnia jego zbombardowania 23.08.1944r. W dniu tym został przeprowadzony przez "Ewę" na punkt kompanijny przy

vm ✓

ul. Malczewskiego.

Rekonwalescencja rannego "Bema" trwała do 10.09.1944 r. , po czym dnia 11.09. wrócił na linię i brał udział w ostatnich walkach obrony Mokotowa 24-26.09.1944 r., a 27-go został wzięty do niewoli, w której był 2 doby /w Irszku i w Skierniewicach/, skąd uciekł przez druty przy pomocy kpr. Józwy /29.09.1944 r./

Przez znane sobie adresy w Kielcach dotarł wspólnie z "Ewą" /zbiegła z transportu konwojowanych rannych jeńców/ do jej rodziny przebywającej we wsi Niedzwiedź k/Słomnik pow.Liechów, gdzie do wyzwolenia /21.01.1945 r./ brał udział w konspiracji w Batalionach Chłopskich /w Słomnikach nie brał udziału/.



p. 321/03

III/1-6 B305

WOJCIECH PRZYBYSZEWSKI

Męz Ewy

(1915 – 1995)

Szczegółowy przebieg działalności [Wojciecha Czerwionko-Przybyszewskiego w czasie II wojny światowej], napisany pod koniec lat 70.

FUNDACJA
"Archiwum i Muzeum Pomorskie
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"
w Toruniu

Wpłynęło dnia: 23 X 2008 r.

L. dz. 1698/WSK-412/08

Załączniki:

Referent:

[Kart: 1; bez numeracji; drugi egzemplarz maszynopisu]

5

III/1-7

Wojciech Czerwionko-Przybyszewski
"Żych" "Rafał" "Bem" _członek ZBoWiD-u w Warszawie Dzielnica Mokotów, Kob./15

Szczegółowy przebieg działalności

I. Front:

1-11.9.1939r. Oficer zwiadowczy 6 baterii 18 pal. na froncie Sam. Gr. Operac. "Karew" pod dowództwem gen. Młot-Fijałkowskiego.

11.09.1939r. w bitwie pod Zambrowem ranny/przestrzał szyi/i wziął do niewoli z pola bitwy w stanie nieprzytomnym przez niemiecki patrol sanitarny.

II. Niewola:

Po dwutygodniowym leczeniu w szpitalu niemieckim w Mehlsack /Młynary/ zostałem przeniesiony do szpitala jenieckiego w Stalagu 1 A w Stabblack. 11.11.39. przeniesiony do Oflag 2A-Prenzlau. 6.8.40r. uciekłem z obozu i po 9-ciu dniach wędrówki pieszej dnia 15.8.40r. zostałem ujęty pod Nakłem przez "Szupo" i odstawiiony do Oflagu 2A-Prenzlau, oraz ukarany 30-ko dniowym aresztem.

29.11.40r. w drodze do "Sonderlager" Oflag 4C w Colditz K/Lipska. wraz z ppor. Wacławem Gąsowski i ppor. Mieczysławem Chmielem uciekłem z jadącego pociągu. -za Lipskiem.

Po 3 dniach - 2.12. zatrzymany przez żandarma na moście w Rühlitz zostałem odstawiiony do Oflagu 4C w Colditz /30 dni aresztu/.

8.3.43r. dokonałem 3-ciej/udanej/ucieczki ze szpitala jenieckiego w Gnaschwitz k. Budziszyna. -13.3.43r. dotarłem do Warszawy.

III. Partyzantka:

Po odbyciu w kwietniu i maju "Freblówki" ^{kuria} i dywersyjnego zostałem skierowany do partyzantki w okręgu lidzkim - od 15.6. do 31.12.43r. dowodziłem 1 kompanią Batalionu Żaniemeńskiego pod komendą Józefa Swidy /rtm/ ps. "Lech". Brałem udział w 5-ciu bitwach. Świadkiem mojej działalności jest b. dowódca plutonu z 2-giej kompanii por. C. Ragnara-Aleksander Dziakiewicz /zamieszkały w gmachu B.G.S. w Gorzowie Wkp.

IV. Powstanie "Warszawskie":

Poleczeniu w Warszawie od stycznia do kwietnia 44r. - 1 maja otrzymałem przydział do pułku "Basztka" na stanowisko z-cy dowódcy kompanii "O" 3 por. Ludwika Kotowskiego ps. "Ludwik-Sybirak"

1.8.44r. zostałem ranny/postrzał głowy/ w akcji na Dom Wedla.

Potrepanacji czaszki i wyleczeniu w szpitalu SS Elżbietanek

11.9. wróciłem na linię i brałem udział w walkach do kapitulacji Mokotowa 27.9.44r.

4-ty raz uciekłem z niewoli 29.9. z przejściowego obozu w Skiernewicach.

Wojciech Przybyszewski

2003

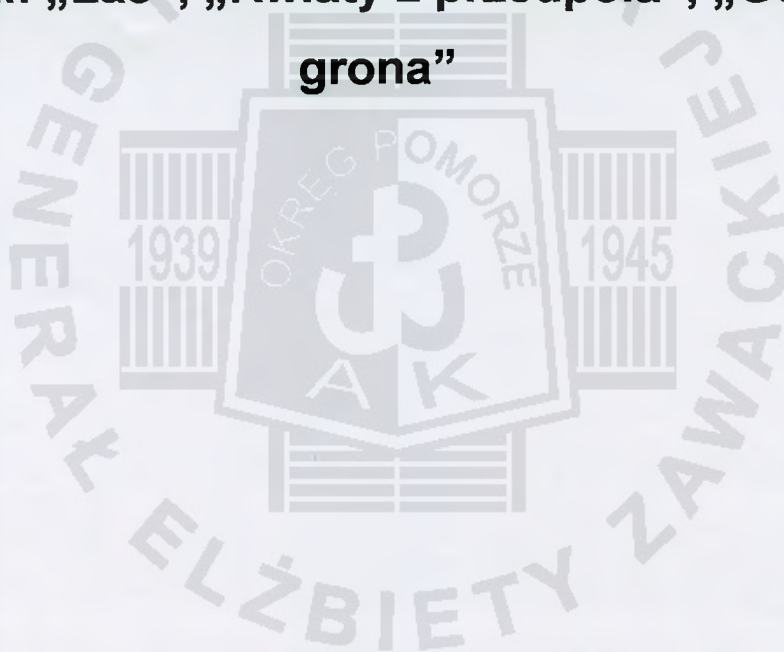
p 321/03

B 305
11/1-8

WOJCIECH PRZYBYSZEWSKI jr

(ur. 1950)

**Informacja o Wojciechu Przybyszewskim, autorze
Trylogii: „Las”, „Kwiaty z przedpola”, „Gorzkie
grona”**



[Kart: 2; numerowane: (-) – 2; drugi egzemplarz maszynopisu]

l.dz. 1699 | WSK-412 | 08

Informacja o autorze

Wojciech Przybyszewski /właściwie: Wojciech Czerwionko-
-Przybyszewski/ urodził się w roku 1915 w powiecie Baranowicze.
Po Szkole Podchorążych Artylerii w Toruniu /1936-1939/ otrzymał
przydział oficerski do 18 pał /pułku artylerii lekkiej/
w Ostrowi Maz. Kampanię wrześniową odbył w tymże pułku na
froncie SGO /Samodzielnej Grupy Operacyjnej/ "Narew". W dniu
11 września 1939 ranny w bitwie pod Zambrowem dostał się do
niewoli niemieckiej / Oflag 2A Prenzlau i Oflag 4C Kolditz/.
Uciekał z niej trzykrotnie: w sierpniu 1940 i w listopadzie 1940
- bezskutecznie - oraz w marcu 1943 roku z powodzeniem dociera-
jąc do Warszawy. Tam rozpoczął pracę w konspiracji AK. W czerwcu
1943 roku skierowany do partyzantki na stanowisko d-cy 1 kompanii
Batalionu Zaniemeńskiego. W listopadzie tegoż roku, po bitwie
pod wsią Piszczowice, został skierowany do leczenia w Warszawie.
Tu 1 maja 1944 otrzymał nowy przydział na stanowisko z-cy d-cy
kompanii 0³ Pułku "Baszta", w którym walczył podczas Powstania
Warszawskiego. W dniu 1 sierpnia ranny /postrzał w głowę/
w czasie akcji na Dom "Wedla". Po kapitulacji Mokotowa /27 wrze-
śnia 1944/ przeszedł przez obóz przejściowy w Pruszkowie oraz
w Skierniewicach, skąd zbiegł w dniu 29 września i do końca
wojny przebywał w Niedźwiedziu, pow. Młeczów /biorąc udział
w konspiracji B.Ch. w Słomnikach/ a następnie w Krakowie, gdzie
rozpoczął studia na Wydziale Prawa UJ, które ukończył w lutym
1950 roku. Za udział w ruchu oporu /z wyszczególnieniem Powsta-
nia Warszawskiego/ odznaczony został: Krzyżem Walecznych,
Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami oraz Krzyżem Powstańcom
Warszawy.

Zbeletryzowane wspomnienia z frontu, niewoli, partyzantki i Powstania Warszawskiego autor rozpoczął pisać w roku 1958 i w pierwszej wersji ukończył na początku lat sześćdziesiątych. Wspomnienia zatytułowane "Las", obejmujące początkowy okres działalności autora, powstały chronologicznie później tj. już po ukończeniu "Kwiatów z przedpola". W obydwu pracach zmienione zostały nazwiska i pseudonimy osób - bohaterów wspomnień. Dwukrotne próby wydania wspomnień / z tym związane niewielkie korekty autorkie pod koniec lat sześćdziesiątych / nie powiodły się.



2003

321/03

B 305
III/1-11

**Dr ANDRZEJ TOCZEWSKI z Zielonej Góry
WOJCIECH PRZYBYSZEWSKI (1915 – 1995)
WOJCIECH PRZYBYSZEWSKI jr (ur. 1950)**

**Korespondencja z dr Andrzejem Toczewskim w
sprawie użyczenia oraz zwrotu zdjęć z niewoli i
opisu ucieczek Wojciecha Przybyszewskiego
(1915-1995):**

- Drugi list od dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 6, 65-265 Zielona Góra] do Wojciecha Przybyszewskiego sen. w sprawie pożyczania zdjęć z niewoli i pozyskania opisu ucieczek Wojciecha Przybyszewskiego (1915-1995), datowany 9 października 1985 r. [List pierwszy + ankieta do wypełnienia przez respondenta w zbiorach rodzinnych nie zachowały się]
[Kart: 1; bez numeracji; oryginał maszynopisu]
- Brudnopis listu Wojciecha Przybyszewskiego sen. do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 6, 65-265 Zielona Góra] datowany (*post factum*) 25 października 1985 r.]
[Kart: 7; częściowo numerowane; oryginał rękopisu]
- List Wojciecha Przybyszewskiego sen. do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 6, 65-265 Zielona Góra] napisany 22 października 1985 r. i wkrótce potem wysłany do adresata przez autora
[Kart: 6; numerowane: (-) – 4, (-) – 2; drugi egzemplarz maszynopisu]
- List do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 6, 65-265 Zielona Góra] napisany przez Wojciecha Przybyszewskiego jr 24 lutego 1989 r. w sprawie odzyskania zdjęć
[Kart: 1; bez numeracji; drugi egzemplarz maszynopisu]
- List od dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 6, 65-265 Zielona Góra] datowany 7 maja 1989 r. w sprawie odzyskania zdjęć
[Kart: 1; bez numeracji; oryginał maszynopisu]
- Brudnopis listu do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 6, 65-265 Zielona Góra] napisany przez Wojciecha Przybyszewskiego jr 28 sierpnia 1995 r. w sprawie odzyskania zdjęć
[Kart: 1; bez numeracji; oryginał rękopisu]
- List od dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 6, 65-265 Zielona Góra] datowany 31 sierpnia 1989 r. w sprawie odzyskania zdjęć
[Kart: 1; bez numeracji; oryginał wydruku komputerowego]
- List do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 6, 65-265 Zielona Góra] napisany przez Wojciecha Przybyszewskiego jr 28 września 1995 r. w sprawie odzyskania zdjęć
[Kart: 1; bez numeracji; kserokopia maszynopisu]

[Łącznie kart: 19]

Dr ANDRZEJ TOCZEWSKI z Zielonej Góry
WOJCIECH PRZYBYSZEWski (1911 - 1988)
WOJCIECH PRZYBYSZEWski (1911-1988)

Korespondencja z dr Andrzejem Toczewskim w
sprawie użyczenia oraz zwrotu zdjęć z niewoli i
opisu ucieczek Wojciecha Przybyszewskiego

(1911-1988)

- 1. List do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 4, 62-502 Zielona Góra] do Wojciecha Przybyszewskiego [ul. Lubuska 4, 62-502 Zielona Góra] z dnia 11.10.1988 r. w sprawie opisu ucieczek z niewoli i zwrotu zdjęć z niewoli. [List dwustronny]
- 2. List do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 4, 62-502 Zielona Góra] z dnia 11.10.1988 r. w sprawie opisu ucieczek z niewoli i zwrotu zdjęć z niewoli. [List dwustronny]
- 3. List do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 4, 62-502 Zielona Góra] z dnia 11.10.1988 r. w sprawie opisu ucieczek z niewoli i zwrotu zdjęć z niewoli. [List dwustronny]
- 4. List do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 4, 62-502 Zielona Góra] z dnia 11.10.1988 r. w sprawie opisu ucieczek z niewoli i zwrotu zdjęć z niewoli. [List dwustronny]
- 5. List do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 4, 62-502 Zielona Góra] z dnia 11.10.1988 r. w sprawie opisu ucieczek z niewoli i zwrotu zdjęć z niewoli. [List dwustronny]
- 6. List do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 4, 62-502 Zielona Góra] z dnia 11.10.1988 r. w sprawie opisu ucieczek z niewoli i zwrotu zdjęć z niewoli. [List dwustronny]
- 7. List do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 4, 62-502 Zielona Góra] z dnia 11.10.1988 r. w sprawie opisu ucieczek z niewoli i zwrotu zdjęć z niewoli. [List dwustronny]
- 8. List do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 4, 62-502 Zielona Góra] z dnia 11.10.1988 r. w sprawie opisu ucieczek z niewoli i zwrotu zdjęć z niewoli. [List dwustronny]
- 9. List do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 4, 62-502 Zielona Góra] z dnia 11.10.1988 r. w sprawie opisu ucieczek z niewoli i zwrotu zdjęć z niewoli. [List dwustronny]
- 10. List do dr Andrzeja Toczewskiego [ul. Lubuska 4, 62-502 Zielona Góra] z dnia 11.10.1988 r. w sprawie opisu ucieczek z niewoli i zwrotu zdjęć z niewoli. [List dwustronny]

[Kopieje kart 10]

Szanowny Panie !

Dziękuję za przesłaną wypełnioną ankietę badawczą związaną z pobytem w niemieckiej niewoli. Ponieważ przygotowuję pracę habilitacyjną, która będzie syntezą losów oficerów polskich, którzy przebywali w oflagach, zwracam się z prośbą o uzupełnienie podanych informacji.

W ankiecie podałeś Pan informację o ucieczce z Oflagu IV C. Ponieważ w dotychczasowych opracowaniach brak jest odnotowania tego faktu, uprzejmie proszę o podanie:

1. Dwie poprzednie ucieczki - kiedy miały miejsce z jakich obozów, jak były zorganizowane i czy brał w nich jeszcze ktoś ? Jaki miały przebieg i finał ?
2. Ucieczka z Ofł. IV C w dniu 8 III 1943r. - jak została zorganizowana, kto brał w niej udział ? Kto brał udział w jej przygotowaniach ? Jak długo one trwały ? Sposób ucieczki.
3. Przebieg ucieczki i zdarzenia na trasie do Warszawy.
4. Gdzie i kiedy nastąpiło spotkanie z przedstawicielami KG AK ? Czy pamięta Pan kto w nich uczestniczył ? Jakie sprawy szczególnie interesowały KG AK ?
5. Jakie były dalsze Pana losy ? Czy jest Pan w posiadaniu adresów osób które znały dzieje tej ucieczki ? Czy w okresie późniejszym nawiązywał Pan kontakt z kolegami z Oflagu ?

Interesują mnie wszystkie sprawy związane z tą ucieczką i będę bardzo zobowiązany za otrzymanie relacji na powyższe punkty.

O ile może Pan może udostępnić zdjęcia to bardzo uprzejmie proszę. Łączę serdeczne pozdrowienia.

Z poważaniem



od pkt. 2 Aleksha z oplot ^{in C} (indywiduálny) dostato zorgemirovany
 (spiracie smelny) w (Hoheswenda)
 puer septok jemieckie s Alopes vorda, dokyd dyjochovca as tyonia
 19431. pry pomocy pedhiya lekoni (ppos Tedeun Jakobiec)
 a dypuara, uicunilijer lekera boru, setlachit auf cupine pacteris.
 A jenucu lutgo 19431 vostonem pnuemiony do septile jemieckijer
 o Gnaschwitz
 o Gnaschwitz k Braubren gelie & morec delouderu udomej ucieniti
 puer dputy kelcraste (oici dostovnicaych nie bylo vostonem k chodit
 (Cwamastros zu amtom)
 dohodit od na opatou. A pry jostovani ucieniti broli redit:

1. Kpt. Lippzo (da odierij # Putanka).
2. Kpt. Leutyko (uozidka me pnuemion) od pryjochodicycl do jostovani
 o semple robotnikis polkion zorgemirovany dle umie 2021; Hrloubshain
 in Blonche, ktery vyjedenem na filokijne uozidko Pover Stribu
 utropodocy z robot u Bouera, nach Thoin (ionu), bo tca licyseu
 na pnuce mejomych zacinu febru # SPART.
3. Kpt. Jygodovani (jenuce oclerajy sinitel) jymedot diti na papion
 cyclere dypodue keryery z lity me kolonice; i nryj mi ludy
 k tca (pnuemiony rama gnuqoliteu a cupidistey, tca).
 Alekshem o zumerchu podot imoy. Hlhasot metris ze dntem
 jierpove stojey pod delivoniu vood; deychovca de Badiinyua,
 z lityem uvidem mitor kochodit o droy ob doreo.





✓ W tej jednostce brałem udział w Powstaniu Warszawskim na Mokotowie od 1.08 do 27.09.1944, i byłem wamym (później - jedy-
nym) byłem wamym pod Jambrosem 11/09.1939 r.).
Po kapitulacji Mokotowa (27.09.) przeszedłem przez Puławo
i 29.09. uczestnicząc w obchodach przejściowych o Sławnościach,
skąd dostojem się do Kielc, a następnie w podziale podziemie
do osi Niodzielski K/S Tomnik (osob.) przez Mielno, gdzie przystąpiłem
do Wydziału Brońca w styczniu 1945 r. a o miesiąc później, także
podjęłem studia na Wydziale Pocz. U. J. w Warszawie (obecnie RPL,
i praca nie została ukończona do końca, mimo, że byłem
oficerem rezerwy).



03-378 Warszawa

ul. Ateńska 2 m 122

tel. 17 70 82

p. 321/03

B.305

III/1-20

Szanowny Panie Doktorze,

spełniając życzenie Pana wyrażone w liście z 9.10.br. przedkadam niżej uzupełniające informacje.

ad pkt.1. Pierwsza moja /indywidualna/ ucieczka z Oflagu II A w Irenzlau k/Szczecina od 6 do 15.08.1940 r. improwizowałem desperacko /skok przez druty kolczaste pod więzłą strażniczą w czasie alarmu łączniczego i marsz przez 9 dni zakończony wzięciem przez Szupc, naprowadzone przez Bauera w okolicy Nakła. Wzmianka o tym w książce Kazimierza Sławiewskiego p.t. "Uciekamy". Doprowadzony do aresztu w Oflagu II C w Woldenbergu /Dobiegniewo/ po 2-ach dniach pobytu w areszcie zostałem przewiezony w kajdanach przez 2-osobową eskortę do Oflagu II A w Irenzlau, gdzie zostałem uwięziony w 30-dniowym areszcie. Druga ucieczka /3-osobowa/ z transportu z Oflagu II A Irenzlau do Oflagu IV C w Colditz /skok z pociągu za Lipskiem/ miała miejsce 29.11.1940 r. i skończyła się dla mnie wylegitymowaniem przez Szupc na moście w Röchlitz dnia 2.12.1940 r. Byłem w stroju marynarskim i nie miałem dokumentów, więc trafiłem do aresztu w Oflagu IV C w Colditz, gdzie byli już wykapani uprzednio moi współtowarzysze ucieczki - skoczkowie z pociągu p.por.pil. Jacek Gąssowski /znany z olimpiady w Berlinie w 1936 r. długodystansowiec, bodaj na 3 km./ i ppor.pie Mieczysław Chmiel. Obaj wymienieni należeli do grupy 10-ciu oficerów, którzy usiłowali uciec podkopem z Oflagu II A w Irenzlau we wrześniu 1940 r. /gdy ja byłem tam w areszcie/. Należeli do tej grupy m.in. kpt.art. Mieczysław Silkowski /znany mi z praktyki podchorążowskiej w

III/1-21

15 p.a.l. w Bydgoszczy w 1938 r./, por.art.Ksawery Dokurno,
por.piech.Sławomir Kempicki, por.piech.Walerian Żelazniewicz,
ppor.pil.Kazimierz Szawiński:

ad pkt.2.Ucieczka z Cflag IV C /indywidualna/ została zorganizowana przez szpitale jenieckie w Hocheswerda, dokąd wyjechałem w styczniu 1943 r. przy pomocy polskiego lekarza /ppcr.Tadeusz Jakubiec/ z diagnozą niemieckiego lekarza obozu "verdacht auf angina pectoris". W końcu lutego 1943 r. zostałem przeniesiony do szpitala jenieckiego w Gnaschwitz k/Bautzen, gdzie 8 marca dokonałem udanej ucieczki przez druty kolczaste /wież wartowniczych nie było, wartownik chodził wahadkowo za drutami/ w przygotowaniu ucieczki brali udział:

1. kpt.lig.za /dał adres w Pułtusk/,
2. kpr. dentysta /nazwiska nie pamiętam/ od przychodzących do jego gabinetu w szpitalu robotników polskich zorganizował dla mnie 20 RM. i "Urlaubschein" in blanco, który wypełniłem na fikcyjne nazwisko Paweł Skiba, urlopowany z robót u Bauer "nach Horn" /Toruń/, bo tam liczyłem na pomoc znajomych z czasów pobytu w SFart.
3. strzelec Jugosłowianin /jeniec z obsługi szpitala/ sprzedał mi za papierosy cywilne spodnie /bryczesy z łatą na kolanach/ i uszył mi kurtkę z koca /pończochy sam sporządziłem z angielskiego szala/.

Uciekłem o zmierzchu /padał śnieg/. Kilka metrów za drutami złapałem stojący pod elektrownią rower i dojechałem do Rudziszyna, z lękiem musiałem pytać przechodniów o drogę do dworca.

ad pkt.3.Z obawy przed pociągami noc spędziłem na cmentarzu, a o świcie pojechałem pierwszym pociągami w rozkładzie, którym dojechałem do końcowej stacyjki /bez połączeń/. Informowany przez kolejarzy /prawdopodobnie aużyczan/ wróciłem pieszo do stacji w Złowej /kilka km/, skąd przez Sotbus /z przesiadką we Frankfurcie/ dojechałem do Poznania i dalej do Torunia. Tu spotkał mnie zawód, gdyż znajomi, na których pomoc liczy-

łem byli aresztowani. Zaryzykowałem dojazd do Bydgoszczy, gdzie znajoma pani Wanda Chylińska/ ofiarowała mi pomoc /płaszcz gabardinowy męża przebywającego w oflagu, jego kapelusz i półczochy wzorzyste do bryczesów/ oraz kilkanaście RM. Nazajutrz dopisałem w mej karcie urlopowej "nach Bromberg un Ostenburg" /do Bydgoszczy i Pułtuska/ i przez Iławę-Nasielsk dojechałem do Pułtuska z zamiarem przekroczenia granicy Südostpreusen do GG przy pomocy znajomych kpt. Ligęzy. Wypadki nocy poprzedniej na granicy /pobicie przemytników i zastrzeżenie ich przewodnika/ uniemożliwiły znalezienie przewodnika i musiałem zanocować w przygranicznej wsi przy szosie na Wyszaków /Iniewy lub Iniewo/ i po zaobserwowaniu ruchu wartowników samodzielnie przedostać się przez zieloną granicę /wyznaczoną na łące potykaczami z drutu/. Dalej dotarłem pieszo do Wyszaków i po przenocowaniu tam w małej chatce dojechałem do Warszawy 13 marca 1943 r., gdzie znalazłem czasowe oparcie u pana Józefa Chrzanowskiego, Filtrowa 7).

ad pkt.4 Z przedstawicielem KGAK pseudo "Tomasz" /nazwiska nie znam/ skontaktowała mnie ówczesna moja łączniczka Alina Mielczarek /siostra ppor. Jana Mielczarka z komórki konspiracyjnej w Oflag IV C/ w końcu marca 1943 r. w kawiarence przy Nowogrodzkiej /nr nie pamiętam/. Złożyłem, po kilku dniach, szczególnie wy raport z ucieczki z dokładnym szkicem szpitala jenieckiego w Gnaschwitz, usytuowanego obok prochowni./Sie wiem, czy złożony szkic został wykorzystany jako ewent. cel dla RAF/.

ad pkt.5 Pozostając w dyspozycji Szefa Personalnego KGAK ptk. Wolańskiego odbyłem w kwietniu 1943 r. wstępny kurs, t.nw. "frelbowski" w maju kurs dywersyjny /w Gmachu Prudential/, a 13.06.1943 r. wyjechałem do Lidy i Szczuczyna, gdzie w okolicznych lasach objąłem dowództwo 1-ej Kompanii Batalionu Zaniemeńskiego AK pod komendą rtm. Józefa Świdy ps. "Lech" /widoczny na zdjęciu w książce Melchiora Wańkowicza p.t. "Hubalczyki" w partyzanckim bractwie udział do końca 1943 r., po czym zostałem skiero-

wany do Warszawy na leczenie, z którego korzystałem u dr. Wilczyńskiego w Przychodni na Rynku Starogo Miasta i w jego mieszkaniu przy ul. Wielkiej. Od 1.05.1944 r. zostałem wcielony do pułku "Baszta" na funkcję za-cy d-cy Kompanii U₃ pod komendą por. Ludwika Kotowskiego /ps. "Ludwik - Sybirak"/ obecnie mjr rez. w tej jednostce brałem udział w Powstaniu Warszawskim na Mokotowie od 1.08 do 27.09.1944 r. i byłem ranny /po raz drugi - pierwszy raz byłem ranny pod Zambrowem 11.09.1939 r./ Po kapitulacji Mokotowa /27.09./ przeszedłem przez Irušzków 20.09. uciekłem z obozu przejściowego w Skierniewicach, skąd dostałem się do Kielc, a następnie w połowie października do wsi Niedawiedz k/Słomnik pow. Miechów, gdzie przetrwałem do wyzwolenia Krakowa w styczniu 1945 r., a w marcu tegoż roku podjąłem studia na Wydziale Prawa U.J. /na Komisji ówczesnej PKO w Krakowie nie zostałem wcielony do wojska, mimo, że byłem oficerem zawodowym/.

Adresów osób zajmujących dzieje tej /3-jej/ ucieczki nie posiadam kontaktowałem się dorywczo z kolegami z Cflagu IV J:

1. mjr. Mieczysław Silkowski był moim dobrym znajomym w Krakowie w latach 1945-46, po czym - o ile wiem - wyjechał do Łodzi
2. por. art. Leon Koreywo odwiedzał mnie w Wałbrzychu w 1958 r /ja go rewizytowałem w Warszawie przy ul. Francuskiej /bod 25/,
3. ppor. piech. Jan Bielczarek odwiedzał mnie z rodziną w Morogou w latach 50-tych. Ja go szukałem bezskutecznie pod wskazanym adresem w Kielcach /pracował jako inż. w PRK/,
4. por. piech. Walerian Żelazniewicz parokrotnie gościł mnie wiosną 1944 r. w Warszawie.

Zgodnie z życzeniem Pana przesyłam w załączeniu posiadane zdjęcia z Cflag IV J do wykorzystania. Oczekuj, na wieści o losach Pańskiej publikacji. Z poważaniem *W. Sybirak*

A. Format większy

1. Oflag IV C w Colditz /zamek/ w nocy /oświetlony reflektorami/
2. Ściana honorowa w świetlicy kompanii polskiej /popiersie żołnierzy - polskiego, francuskiego i angielskiego, rzeźbione przez kpt. art. Mieczysława Silkowskiego, który w obozi ujawnił talent rzeźbiarski/.

Herbowa gala w naszej świetlicy trwała kilka miesięcy w 1941, gdy pewnego dnia /bodaj w lipcu/ na porannym apelu oficer niemiecki /Hptm. Irmm/ wezwał nas do usunięcia Orła, wrzeszcząc: "doch die Polen existiert nicht mehr. Weg mit diesem Wappe". Na nasz protest /hałas/ Niemcy usunęli Godko w nocy, na co zareagowaliśmy strajkiem głodowym /od strzelców obsługi gospodarczej do najwyższych stopniem i wiekiem oficerów z gen. Tadeuszem Liskorem i adm. Józefem Uhrugiem na czele. Strajk trwał trzy dni. Inne narodowości: Anglicy, Francuzi, Belgowie, Holendrzy dziwili się, co to znaczy, litowali się nad nami, a 4-ego dnia rano sprzątający świetlicę strzelec skórski z płaczem meldował oficerowi służbowemu kompanii, że Orzeł znów wisi w świetlicy /zawieszony w nocy przez Niemców/. Solidarnie z nami strajkowali głodem włączeni do naszej kompanii oficerowie Jugosłowianie. Od głodówki zwolnieni byli decyzją admirała Uhruga i lekarza obozu ppor. Tadeusza Jakubca tylko ciężko chorzy w Izbie Chorych.

3. Widok zamku z odbiciem w rzece Muldzie.
4. Zamek i m. Colditz widok ogólny.
5. Zamek od strony mostu nad rzeką Muldą.
6. Zdjęcie grupowe /przed wejściem do kompanii francuskiej -FR nad portalem/ siedzą: ppłk. Wyderko /z orderem/, obok kpt. art. Mieczysław Silkowski /w skórzanym płaszczu/ i por. mar. Bzokfiel /pierwszy uciekinier z Oflagu II A w Frenzlau, wykpany w Szczecinie/. Stoją /od prawego skrzydła/: por. piech. Walerian Łelazniewicz - w mundurze z pasem /spotykany kilkakrotnie wiosną 1944 r. w Jarzawie po udanej ucieczce z obozu/. Obok NN marynarz i NN por. broni panc., niżej: ppor. piech. Jerzy Stępnia, obok por. piech. Sławomir Kempicki, niżej w polówce z koalicystką ppor. art. Zygmunt Czerwionko, za nim NN w furaczerce, niżej por. art. Ksawery Dokurno w polówce /zginął przy bombardowaniu Lubeki przez RAF - wiadomość od mojej kuzyniczki Aliny Mieleczarek/, ppor. pil. Kazimierz Skawiński /autor książki pt. "Uciekamy" i opowiadań, które były podstawą scenariusza filmu "Jak rozpętałem drugą wojnę światową"/ Za nim ppor. pil. Wacław Gąsowski /przedwojenny długodystansowiec znany z Olimpiady w Berlinie w 1936r., później we wrześniu 1940 członek grupy 10-ciu oficerów wykpanych przy ucieczce podkopem z Oflag II A w Frenzlau i skoczek z pociągu /koło Lipska 29.11.1940 r./ Ostatni: ppor. piech. Mieczysław Chmiel /kolejny z 10-ciu uciekinierów z Oflag II A

i drugi skoczek z pociągu koło Lipska/.

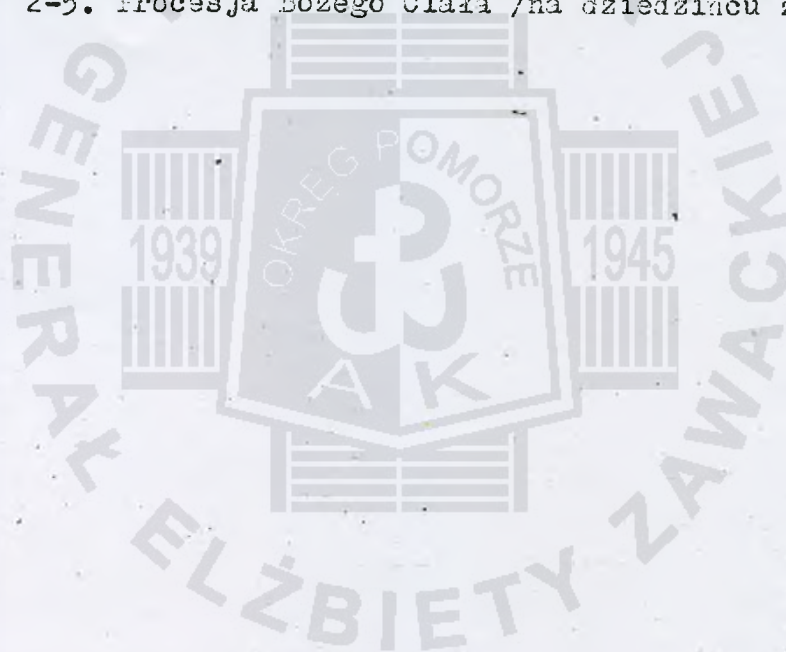
7. Zdjęcie grupki nauki języka angielskiego - od prawego skrzydła: ppor.art.Zygmunt Czerwionko /w koalicyjce/, por.art.Leon Korejwo, ppor.kaw.Edward Zieliński, ppor.art.Feliks Haj /zginął przy bombardowaniu Lubeki/, por.rez.andrzej Jacyna-Onyszkiewicz /nasz nauczyciel angielskiego/, ppor. Obrony Narodowej z Puszczykowa Ryszard Bednarski /zdemaskowany jako konfident niemiecki i wydalony z Cfląg pó zdegradowaniu - wyjechał do innego obozu, bodaj w Arnswalde, uprzedzono o nim tamtejszą komórkę konspiracyjną przez Kraj/, ppor.piech.Jerzy Stępniać, ppor.piech.Deryng.

8. Zdjęcie indywidualne ppor.art.Zygmunt Czerwionko /autor informacji/.

B. Format mały

1. Portal kaplicy zamkowej, w której nabożeństwo odprawiał nas kapelan Ks.Łostrach i Ks./Francuz, nazwiska nie pamiętam/.

2-5. Procesja Bożego Ciała /na dziedzińcu zamkowym w 1941 r./



Wojciech Przybyszewski
ul. Zamiany 5 m 94
02-871 Warszawa

p. 321/03

Warszawa, 1989.02.24

B305

III/1-26

Szanowny Panie !

Działając z upoważnienia mojego ojca Wojciecha Czerwionko-Przybyszewskiego, któremu zdrowie nie pozwala obecnie na prowadzenie korespondencji, zwracam się do Pana w następujących sprawach:

- czy ostatnia, uzupełniająca informacja nadesłana przez mojego ojca do Pana /list opatrzony jest datą 22.10.1985/ zadawała Pana pod względem merytorycznym ?
- czy mógłby Pan odesłać oryginały zdjęć przesłanych Panu w tym samym liście /z załączonego opisu wynika, że jest ich 13 tj. 8 w formacie większym oraz 5 w mniejszym/ ; będą one potrzebne ojcu w związku z zamiarem opublikowania wspomnień obejmujących m.in. okres pobytu mego ojca w niewoli niemieckiej
- wreszcie, czy praca Pana została /zostanie/opublikowana.

Szczerze wdzięczny byłbym za korespondencję w tych sprawach, oczekując jej pod adresem mego ojca lub moim.

Łączę wyrazy szacunku

z poważaniem

M.P.P.

Warszawa, 1987.05.24

Województwo Mazowieckie

ul. Kantory 5 m 92

01-001 Warszawa

Warszawa, dnia 1

Województwo Mazowieckie

Województwo Mazowieckie, Kierownictwo wojewódzkie
na prowadzenie korespondencji, w tym na
sprawach:

- o wydatkach, w tym o wydatkach na
ozone do dnia 31.12.1987 r. (data 22.10.1987) katowicki

- o wydatkach na wydatki na wydatkach

- o wydatkach na wydatki na wydatkach

- o wydatkach na wydatki na wydatkach

- o wydatkach na wydatki na wydatkach

- o wydatkach na wydatki na wydatkach

- o wydatkach na wydatki na wydatkach

- o wydatkach na wydatki na wydatkach

- o wydatkach na wydatki na wydatkach

- o wydatkach na wydatki na wydatkach



1987

dr ANDRZEJ TOCZEWSKI
65-958 Zielona Góra B
Skp. pocz. 110

p. 321/03

Zielona Góra 7 V 1989

3305

III/1-27

Szanowny Panie !

Dziękuję bardzo za list i serdecznie przepraszam za tak długą zwłokę w odpowiedzi. Oczywiście relacje Pana Ojca są dla mnie bardzo cenne a zwłaszcza te, które nagrałem na taśmie. Ucieczka z obozu ppor. Wojciecha Czerwonko z Oflagu IV C nie została odnotowana w oficjalnym niemieckim wykazie ucieczek. Dlatego relacje Pana Ojca są materiałem źródłowym. Pracuję nad rozprawą habilitacyjną, która będzie syntezą losów polskich jeńców wojennych w niemieckiej niewoli. Właśnie w środę wyjeżdżam na badania archiwalne do Instytutu im. Sikorskiego w Londynie.

Natychmiast po powrocie wykonam reprodukcje z udostępnionych zdjęć, które zwrócę. Bardzo proszę serdecznie pozdrowić Pańskiego Ojca, do którego czynów bohaterskich w niewoli żywią pełen podziw i uznanie.

Z poważaniem

Stowulic

Szanowny Panie!

Z przykrością przynajmniej muszę, że nie jest Pan solidny w swoich kontaktach z respondentami. Ostatni list od Pana z obietnicami otrzymanym 7.V.1989 (V). Cisgle celujemy na oryginały zdjęć dostarczone Panu przez mojego ojca Wojciecha Czerwoniaka - Przybyrowskiego (przy okazji: właściwie brzmienie imienia i nazwiska mojego ojca tak właśnie wygląda, a nie, jak Pan napisał w tamtym liście „Czerwonko”, bez „i”). Zdjęcia ss. mojemu ojcu i całej mojej rodzinie pilnie potrzebne, stąd ten trochę stary list, ale proszę Pan, że drugo już na nie celujemy. Przy okazji prosimy wskazać, jak moim subiec Pan publikacji, w której zostały one wyliczone. Wszak temat Panu prawy jest tak bardzo interesujący.

Z poważaniem
z upoważnieniem: w imieniu mojego ojca

(Wojciech Przybyrowski: jr.)

Moje adres: Wojciech Przybyrowski
ul. Łukaszczyka 2 m5
02-781 Warszawa

Verte

Ładysławie moim Panie odesłać, oczywiście, także III/1-28
korespondencje na adres ojca. Przypominam ten adres:

ul. Ateńska 2 m 122

03-978 Warszawa

MBP



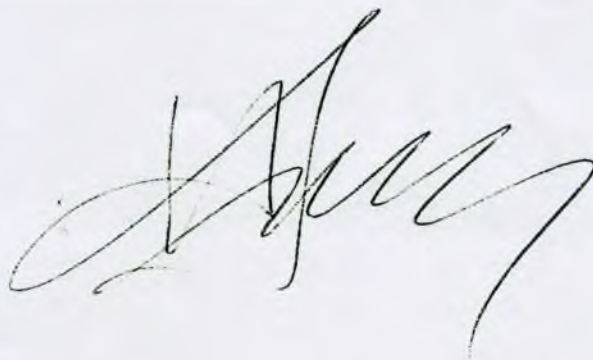
dr Andrzej Toczewski
65-265 Zielona Góra
ul. Lubuska 6

Zielona Góra 31 VIII 1995

Szanowny Panie !

W załączeniu zwracam udostępnione zdjęcia dotyczące Pańskiego pobytu w niemieckiej niewoli. Bardzo serdecznie dziękuję za umożliwienie zapoznania się z nimi. Relacja Pana, którą zarejestrowałem na taśmie magnetofonowej została wykorzystana przez Panią Jolantę Altman-Radwańską do przygotowania referatu na sesji poświęconej ucieczkom z niewoli. Niestety materiały z tej sesji nie zostały wydane. Relacja Pańska jest cenna ponieważ oficjalny niemiecki materiał "Wehrmacht-auskunftstelle für Kriegsverluste und Kriegsgefangenen" nie odnotowuje tej ucieczki.

Łączę serdeczne pozdrowienia



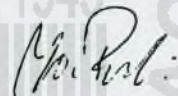
mgr Wojciech Przybyszewski jr
ul. Łukaszczyka 2 m 5
02-781 Warszawa

III/1-31
Warszawa, 28.09.1995

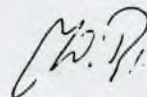
Szanowny Panie !

Potwierdzam w imieniu moich Rodziców odbiór 10 zdjęć z zestawu przesłanego niegdyś Panu przez mojego Ojca. W komplecie było jednak wszystkich zdjęć 13. Trzech zatem brakuje i to tych najistotniejszych. Chodzi o zdjęcie nr 1, tj. "Oflag IV C w Colditz /zamek/ w nocy /oświetlony reflektorami"; zdjęcie nr 2, tj. "Ściana honorowa w świetlicy kompanii polskiej /.../" oraz zdjęcie nr 8 przedstawiające mojego ojca w niewoli - wszystko zgodnie z przesłanym Panu "Opisaniem zdjęć z Oflagu IV C w Colditz." z dnia 22.10.85. Odbitki w większym formacie. Doszliśmy do wniosku, że mógł Pan wcześniej wyłączyć te trzy najatrakcyjniejsze zdjęcia, być może w celu ich opublikowania. Bardzo prosimy zatem o odszukanie ich i odesłanie na znany Panu adres.

W imieniu moich Rodziców



P.S. Jakkolwiek zdjęcia nadeszły dość szybko po moim telefonie, to jednak eksponowane na wystawie organizowanej przez kombatantów z kręgu mojego ojca być nie mogły. Zabrakło też, niestety, tych najważniejszych - w tym jedyne egzemplarze zdjęcia portretowego mojego ojca z czasów niewoli. Szkoda.





Stuchacze Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu – defilada
Kompanii Honorowej podczas przysięgi w Różanie, 6 listopada 1936 r.
Fotograf nieznaną.



Zygmunt Czerwionko [później: Wojciech Czerwionko-Przybylski]
(1915-1995), na zdjęciach legitymacyjnych z czasów nauki w Szkole
Podchorążych Artylerii w Toruniu. Fotografie z około 1936 r.

III
1-32



l. dz. 1699 / WSK-412 / 08



Szkola Podchorążych Artylerii w Toruniu – uczestnicy kursu
unitarnego w Różnaniu pod Warszawą, 1936 r. Fotograf nieznamy.

III/4-33



Biuletyn Komisji do Spraw Pomocności i Rehabilitacji
w Zakresie Pomocności i Rehabilitacji
w Zakresie Pomocności i Rehabilitacji

102 1688/05K-412/08

IV Korespondencje



p 352
Podpiska, 18. 07 2002,
19

Dzisiaj roku!

bez odp

Parafy podaje dane o Ewie Podpiskiej
cechy jej córki Barbara Parafianka
ul. Miedogórska 20 - Warszawa

adres: ewa@poczta

Parafianka a Ewie podaje parafiancy Ewie:

"Moja Kompania" - autor Ludwik Parafianki
długość jej książki - książka ta parafiancy
Parafianki A.K. - Parafianka - parafiancy Ewie z

adres - Ewa Parafianka Parafianka
ul. Miedogórska 20

ul. Miedogórska z podpiskiej generacji -
Ewie Katalickie generacji Ewie Parafianki

Parafianki "Strany Parafiancy" - TWK

Parafianki Miodogórska - obecne adres Ewie

podaje - Parafiancy - Barbara ul. Miedogórska

ul. 2/19 - telefon 621 1630

Dane o parafiancy telefonum - ul. p. Parafiancy

Parafiancy - adres parafiancy Katalickie

Wawancara di Milera 33 di 21 -
- telepon 021376

Zakaria editor yang bertanggung jawab
materialnya & di tulis wawancara x (1985 m.)
di tele konferensi

di tele konferensi



FUNDACJA

ARCHIWUM I MUZEUM POMORSKIEJ ARMII KRAJOWEJ ORAZ WOJSKOWEJ SŁUŻBY POLEK

BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUŃ • UL. WIELKIE GARBARY 2 • TEL./FAX (0-56) 65-22-186
<http://www.um.torun.pl/AK>, e-mail: AK@um.torun.pl, fapak@wp.pl

KONTO: WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA W TORUNIU • NR RACHUNKU 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

L. dz. 2530/1E.Z

W. 318/03

B.m.
teczka

Toruń 23 V 2003 r.

UM

Czerwionko-
Przybyszewska

Pan Wojciech Przybyszewski
ul. Łukaszczyka 2 m. 5
02-781 Warszawa

Kopie

Szanowny Panie,

Za pośrednictwem kol. Ireny Makowskiej, Przedstawicielki naszego Memoriału General Marii Wittek na Warszawę, otrzymałam przekazane przez Pana materiały dotyczące Pana śp. Matki Ewy Czerwionko-Przybyszewskiej. Dziękuję bardzo za te niezwykle cenne materiały. Zostaną wykorzystane do opracowania biografii Pana Matki, która znajdzie się w I tomie Słownika Kobiet odznaczonych Orderem Virtuti Militari (ukaze się pod koniec 2003 r.). W Dziale Wojennej Służby Kobiet naszego Archiwum została założona teuszka osobowa na nazwisko Pani Matki o numerze inwentarza 3367/WSK i tam będą przechowywane przekazane przez Pana materiały.

Z wyrazami szacunku

ZZ

Prof. dr hab. Elżbieta Zawacka
ul. Gagarina 136 m 26, tel. 65-17-344
87-100 TORUŃ

l. eh.

Wojciech Przybyszewski
ul. Łukaszczyka 2 m 5
02-781 Warszawa
tel. 644-79-65

FUNDACJA
"Archiwum i Muzeum Pomorskie
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek
w Toruniu

Wpłynęło dnia: 29.10.08
L. dz. 1699/13k-512/08

Załączniki:
Referent:

P o ś w i a d c z e n i e

Działając z upoważnienia spadkobierców mojej mamy – dr Ewy z Podgórskich Czerwionko-Przybyszewskiej (1918-1999), pseudonim powstańczy „Ewa I” – mam przyjemność przekazać na ręce pani Ireny Makowskiej, Członka Zarządu Memoriału Generał Marii Wittek teczkę zawierającą:

- niepublikowane dotąd pamiętniki mojej mamy (Ewa Przybyszewska, „Moja medycyna”, Nakładem rodzinnym, Warszawa 2001, wydruk komputerowy, kart 146, nieoprawne, egzemplarzy jeden)
- kserokopie zdjęć (z czasów drugiej wojny światowej i późniejsze) przedstawiających moją mamę (kart 4)
- kserokopie dotyczących jej osoby dokumentów, publikacji, nekrologów i innych druków (kart 17).

Jednocześnie wyrażam zgodę na korzystanie z wyżej wymienionych pamiętników i materiałów archiwalnych (w tym także przedruku wybranych fragmentów pamiętnika oraz reprodukcji archiwaliów) dla potrzeb publikacji przygotowywanej przez prof. Elżbietę Zawacką, pseudonim powstańczy „Zo”, o kobietach odznaczonych Orderem Krzyża Virtuti Militari.

Wojciech Przybyszewski
.....
(Wojciech Przybyszewski)

Warszawa, 16 maja 2003 r.



FUNDACJA ARCHIWUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ

BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUN • UL. WIELKIE GARBARY 2 • TEL./FAX (0-56) 65-22-186
http://www.um.torun.pl/AK, e-mail: AK@um.torun.pl

KONTO: WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA W TORUNIU, NR 10901506-4675-128-00-0

kopie N. 524/02

Toruń 23 X 2002 r.

b.mw
(kop. UM)

1.dz.3834 EZ/WSK

Dyrektor Szpitala Miejskiego

ul. Wieniecka 43

87-800 Włocławek

Szanowny Panie Dy^eryktorze,

Profesor Elżbieta Zawacka, założycielka Fundacji „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej” w Toruniu pracuje obecnie nad Słownikiem kobiet odznaczonych Orderem Wojennym Virtuti Militari (jest ich ponad 300). Jedną z odznaczonych jest zmarła w 1999 r. lekarka Ewa Czerwionko-Przybyszewska z d. Podgórska. Wśród niewielu informacji, jakie udało się do tej pory o niej zgromadzić była wzmianka, że pracowała ona kiedyś w Szpitalu Miejskim we Włocławku na stanowisku ordynatora oddziału dziecięcego. W związku z tym zwracamy się z prośbą o udostępnienie wszelkich danych na jej temat, które są niezbędne do opracowania jej biografii. Będziemy wdzięczni za każdą pomoc.

Załączamy informacje o naszej Fundacji.

Z wyrazami szacunku

D.Kw.

Dorota Kromp

Dokumentalistka Archiwum WSK

Zał.:

- 1) Ulotka informacyjna o FAPAK.
- 2) Ulotka informacyjna o Memoriale Generał Marii Wittek.
- 3) Ulotka Muzeum WSP.
- 4) Ulotka wydawnicza.

p. 524/02

10. MW

SZPITAL WOJEWÓDZKI
ul. Wieniecka 49
87-800 WŁOCŁAWEK
tel. 413-18-70, 412-94-61
fax: 412-92-96

Włocławek, dnia 2002-10-28

Sz.W.OZ/444/2002

keps

Wpłynęła data 28.10
3898 E2 / HSH 1002
L. U.

Fundacja

Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. Wielkie Garbary 2
87 - 100 Toruń

W odpowiedzi na pismo z dnia 23 października 2002r. dotyczące lek.med. Ewy Czerwionko - Przybyszewskiej uprzejmie informuję, że w zasobach archiwum Szpitala Wojewódzkiego we Włocławku znajdują się dokumenty takie jak: kwestionariusz osobowy, podania, życiorys, świadectwo pracy. Większość tych dokumentów pisana jest własnoręcznie przez lek.med. Ewę Czerwionko - Przybyszewską.

Uprzejmie informuję, że przekazemy posiadane przez nas dokumenty po okazaniu przez Państwa Fundację upoważnienia wystawionego przez spadkobierców w/wym.

Z poważaniem

DYREKTOR
[Signature]
Bronisław Dziągiewski

V Nazwiskowe karty informacyjne



++
PRZYBYSZEWSKA Ewa
od. Podgórska

Powst.
Warsz.

EWA PRZYBYSZEWSKA (zm. 27.II., żyła 80 l.) lekarz pediatra, podczas Powstania sanitariuszka Pułku „Baszta”, wyróżniona odznaką „Przyjaciel Dziecka”.

„Gazeta Wyborcza Stołeczna”
30 X - XI 1999 r.

D.K. 10/2002.

AK
Warszawa
Powiatemie

++
dr EWA PRZYBYSZEWSKA
z d. Podgórska (1919-1993)

"Ewa"
lekarz pediatra
w Powiatemie warszawskim sanitarnego
pułku "Bogatka".

Odznaczenia: Srebrny Krzyż Orderu Virtuti
Militari, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczem,
warszawski krzyż Powstańcy

Neurolog: Głazeta Wyborca (Stocznia) 3/3.93
nr. 52

akozłucijka -
kubanku93

VERTE

813,99
m. 572
Dnia 27 lutego 1999 roku w wieku 80 lat zmarła

ŚTP

EWA PRZYBYSZEWSKA

z domu PODGÓRSKA

lekarz pediatra

Człowiek wielkiego serca i charakteru.

W Powstaniu Warszawskim 1944 roku pod pseudonimem „Ewa” sanitariuszka pułku „Baszta”, odznaczona między innymi Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami i Warszawskim Krzyżem Powstańcym.
Ordynator Oddziałów Dziecięcych i Noworodków w szpitalach w: Gryfowie Śląskim, Głybcu, Morągu, Wałbrzychu, Świebodzinie Wielkopolskim, Nowej Soli i Włocławku.
Wykładowca higieny i pediatrii w szkołach pielęgniarstkich.
Zasłużony członek Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, honorowy członek Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego, wyróżniona odznaką „Przyjaciel Dziecka”.

Nabożeństwo żałobne odprawione zostanie w dniu 5 marca 1999 roku o godzinie 10.00 w kościele św. Michała Archanioła przy ul. Puławskiej 95 w Warszawie.

Pogrzeb odbędzie się tego samego dnia o godzinie 16.00 na ementarzu komunalnym przy ul. Poprzecznej w Olszynie.

O czym powiadamy pogrzebi w głębokim smuku

córka i synowie z rodzinami

i

UM

CZERWIONKO - Pomybyszewske Ewe

~ meliście do hufce szkodnego PWK

Wpisanie do
komputera 12.12.04

Informacje przekazane

p. Aleksandrze Sokołowskiej przez
w czasie rozmowy z E2 21.11.2004r.

Dok. 11704

per. 1180 s. 175

Czerwienko - Prybyśiewskie Ewa c. Wincenty,
i jadłmgi wr. 15. IX. 1918.

W r. 1943 wstępuje do AK, wstępuje patrolowi
sanitarnemu, prowadzi szkolenie sanitarnych,
Z okazji wybuchu Powstania działa na Mokotowie
w pitku „Baszka”. Od początku Powstania jako
patrolowa wykazuje odwagę i poświęcenie.

Radiuje dużą ilość rannych powstanców przepro-

5 Knecl 2002

Wadrajac ich pite Jrent,
Deluwerse Kuyen Seebuy O. V. M.

V m

Prk
KNO

Podgórske Świą Cześćwisko - Pomyślęwska
adres cöntki Barbara Jarmínska
ul. Mjdsyboraska 50

zawód muzykolog

o Świą rodzina ul. Mijace "Maja Kampanie"
antek Zdzisik Kotarski (juz mizyfi)

PrTK, Bante
ul. 2702v

Podgórska ul. kół szkolna Hanna Wierciomowska - Jodka Markiewicz
ul. ul. św. Teresy 2/19 tel 621 7630

Zdjęcie szkolne pomyślęwska prus ASokotarski
od ję kół szkolny Barbara Kotarski Bydgoszcz

(ul. ul. Włocza 33 m 21 tel. 621 3761)

inf. od IT Sokotarski 2 Bydgoszcz ul. 02

Podporškie
7 Solntsevske pruzle 30702 zdjenu
pohleu i adres koležanki - pasácku
Kievoroshij, Kban 2 mjs. reptket
mjs. ne 50 - mii shty

VM

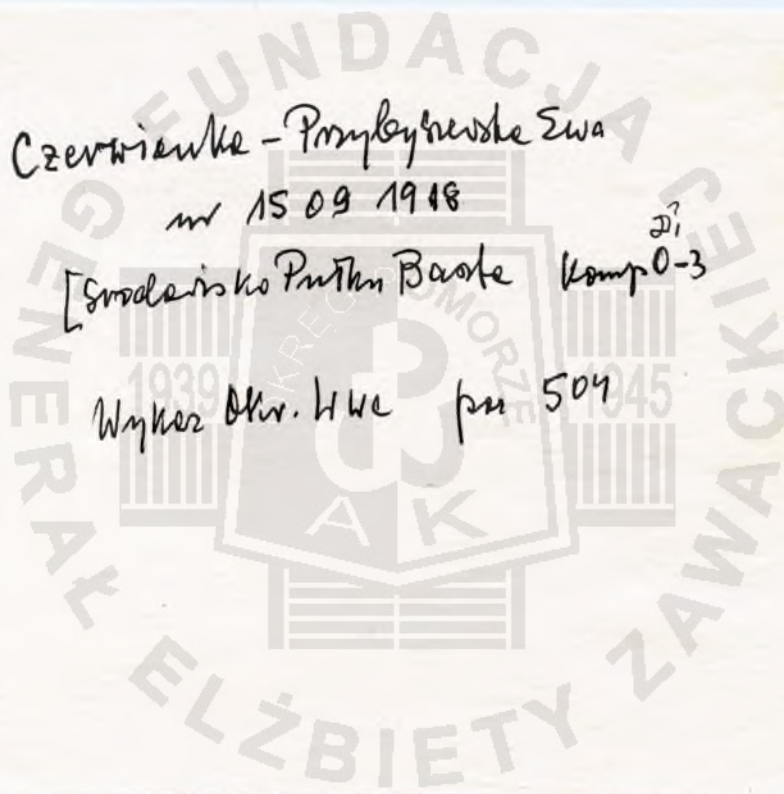
Czerwienka - Pomylbywska Swa

m 15 09 1948

[Srodzisko PnThn Baoste Komp 0-3

Wykaz Okr. HWC pu 504

PK
HWA



i

Podgórska - Ewe UM
PRZYBYŚCIEWSKA - CZERWIONKA Ewe

AK
W-we

ps. "Ewe I"

- w batalionie "Olza" Zgrupowanie
"Beszte" (VII - IX 44)
adm. SK 2 z M

Zob. Urbemek "Pielęgniarki i sanitariuszki",
W-we 1988, s. 417

P.K.N. 152001.

VM

Podgórska - Czervionka - Przybywska Ewa
ps. "Ewa I"

nr. 15 IX 1918 n. rezerwimote postka "Barka"

Barn II, Olze

Postka z dn. 2 X 1914 n. odn. Sr. Km. Ferd. z kucni

zob. ta lista Zarzkuo ps. 809 ~~810~~ i 1180

Σ2 I 2002

verte

verte

Czev wriukio - Pmy by gwodka SIA

G. Wincientepo i jadriski

nr 15 IX 1918" U 1943" wstąpił do PK

wstąpił patrolowe sanitariuszek, prowadzi
szkolenie sanitariuszek. Z chwilą wybuchu

Powstania objął na Wołostwie w pułku Benta

od początku Powstania jako patrolowe sanitariuszki

wykazata odwagę i poświęcenie. Ratuje drug

liczby rannych powstanców porośnawdrazca ich

przez front

Odmaczenie Krz. Sr. Ord. VII i Sr. Przyjem. Zastępcy

z mierzami

nr 15 liście Zarządu, poz 1180

		brak inform.	os. Kartaj 70
1	Starwisko Czertronko - Przybyszewsko		
2	Imię	EMA	
3	Data urod./rozst.	15.09.1918	
4	Stosunek wstępn./tytuł	-	
5	Organizacja	AK	
6	Przychył og./jednostka	-	
7	Funkcja	-	
8	Mr. Krajca	-	
9	Źródło	protab 1	

VIII

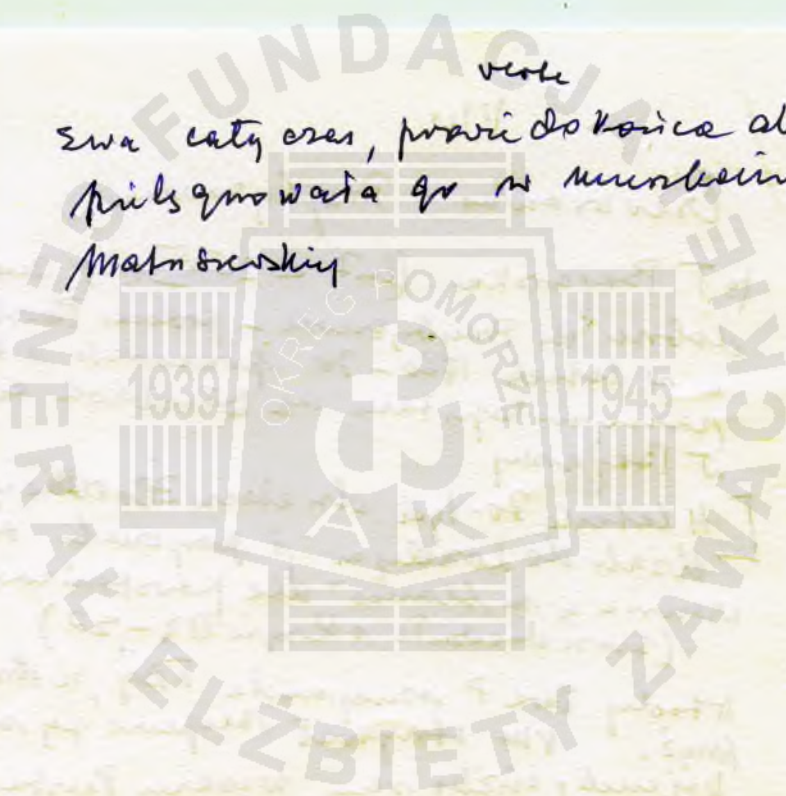
Creu wianko - Przybywska

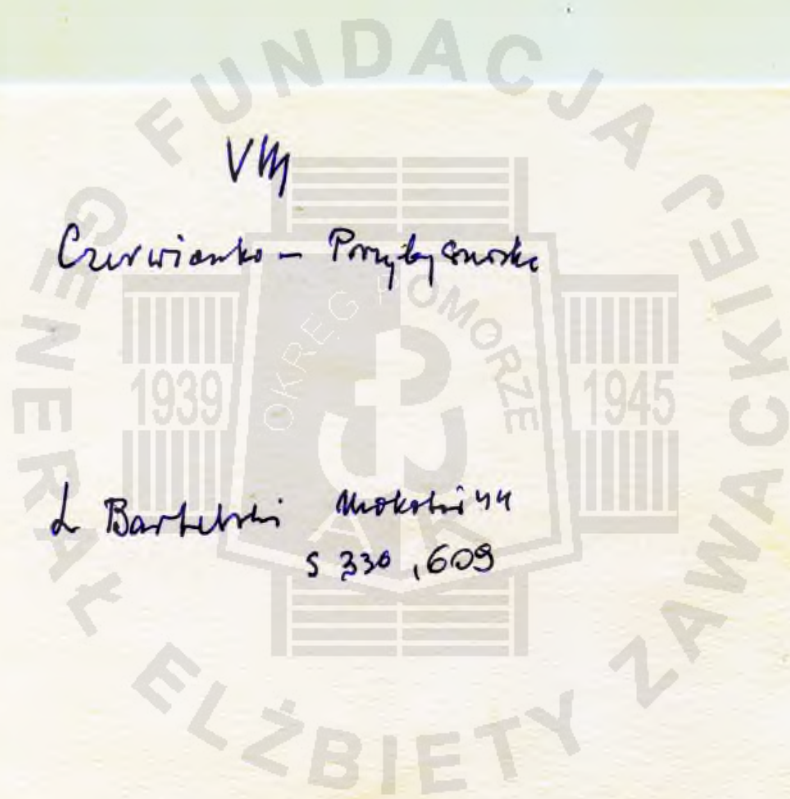
to T. Bajarska (list z 25 VIII 03) znata
dobro do Przybywska - podzes Pawbanc
a w latach 1960-70 pracowala w tym
samym kapitale we wloctach co my z
J. Bajarski

// [W latach 30-tych dziaacze ZBo4Dowcy wyprz-
dziali do Londynu i przywiezli solne
orenia "m blancs" dla prostancow
(mon ches dui To s Koryu 10X-22)

Wtedy Ewe P. znajmida T. Baj, ze strynek
Kryz. VIII strynek Kopywa zj my z
Kryzels, ciztes vey w wozari Pawbanc, Ewe
wrote

Wszystko co jest, prawi do końca dziej
Prilsgnowata qv w murksim swy
Matn swski





VM

Czerwianko - Pomysłowo

d. Bartelki Mokości 44
S 330, 608

do koperty

VM

Cretwionko - Prybyszewsko

Ewa Krasnowolska podała adres mezo
W.W. - jeżeli brakuje Ci danych:

red. Wojciech Prybyszewski

ul. Piękna 44^a

00-672 Warszawa

tel. 622.46.63

(redakcji w której W.W. jest red.
naczelny).

Podgórska Czerwionko - Prybysewska Ewa
AK
Mokotów
(ps. "Ewa")

semif.

do koperty

E. Ajewski - Mokotów walcy, 1944. Wwr 1990
s. 238 (fada), 117 (fada)

JN-K

UM
AK
W-W2
CZERWIONKO-PRZYBYSZEWSKA Fwo

Mam mieszane uczucia w związku z pozycją "Czerwionko-Przybyszewska. Znałam dobrze dr. Przybyszewską . Zetknęłam się z Nią podczas Powstania a w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pracowała Ona w tym samym szpitalu we Włocławku z moim Mężem. W latach siedemdziesiątych działacze zbowidowscy wyjeżdżali do Londynu i przywieźli odznaczenia " in blanco" dla powstańców. Jeden z nich proponował takie odznaczenie memu Mężowi, w zamian za poświadczenie jego wyróżnienia, Mąż oczywiście odmówił. W tych samych dniach Ewa P. oznAJMIŁA NAM , że otrzymała ten krzyż. O ile mi wiadomo, to Virtuti otrzymał na pewno Jej mąż , Wojciech Czerwionko. Był ciężko ranny w pierwszym dniu Powstania, zaś Ewa cały czas , prawie do końca akcji pielęgnowała go w mieszkaniu Ewy Matuszewskiej.

list od T. Bojowskiej
Zob. Koresp. Ed. z Teresą Bojowską 25 VIII 03
DK. 1503

1655

T: 3367/WSK

1. N Czerwionko - Przybyłowska z d. Podgórska (Budy)
2. I., ps. SKA c. Wincantef.
3. ur. 15 IX 1918
4. st.
5. Org. PK
6. przydz. Prac. WWA? 1939 st. sam 1945 Barute'
7. funkcje
8. nr
9. źr. Prot. 2b. 1

Wskazy 76
SK 7040/W
21 III 68

Dok. 82 Sulej

uzup.

1. Herold. brok; Herold PRL brok.

2 KHK - 'brosz mit. 2 sm.

3

4

5

6

7

Książka Kotowskiogo? "Moja kompanie" PTK "Baste" 2002n wydanie o Czerw.

8

9

10

11

12

ant. A Rajenke?

13

14

15

posterad sie
skryty
w sekretariz.

Relacje przydat Zutek in 2002
Dane ma i przyjele Solofaske i no wlede
Kaliszanki ze skisty

20 Rommishu? Gellerter

CZERWIONKO-PRZYBYSZEWSKA Ewa

